

<http://rcin.org.pl>

NIEZABUDKA
NOWOROCZNIK.

LIBRARY

NO. 1000

NIEZABUDZA
NOWOROČNIK,

W Y D A N Y

PRZEZ

Jana Garszczyńskiego.

ROK PIĄTY.

w Petersburgu.

W Drukarni Karola Kraja.

1844.



ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ,

съ тѣмъ, чтобы по напечатаніи представлено было въ Цен-
сурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ.

С. Петербургъ, 29 Января 1844 г.

Ц. Гасевскій.

~~№ 25~~

P. T. - 645

1844

.... Znasz kwiatek mały w niebieskich sukienkach,
Który rośnie ukryty, samotnie nad wodą.
Co nie raz może uwiądnąć zerwany w twych rękach.

.....
.....
Ten kwiatek mały, skromny, jest to kwiat pamięci.

J. I. KRASZEWSKI.

..... Biada życiu, gdy ze snu nie budzi
Ani żądza, ni praca; gdy w kim serce bije
Dla tego że krew płynie; kto bez jutra żyje,
Wlecze się bez nadziei, niknie bez pamiętek:
Od starej to świątyni oderwany szczątek;
Do gmachu nie przystaje, na ziemi zawadza....

JÓZEF KORZENIOWSKI.

SPIS RZECZY

podług nazwisk autorów.

P O E Z J E.

str.

A. EMILI :

Śmierć młodzieńca 208

BARSCZEWSKIEGO JANA:

Fantazja, Duch 5

Sonety 122

Małemu Bujnickiemu 164

Zapamiętałość ludzka 229

BEZIMIENNYCH 168

Szlub 281

	str.
BIELAWSKIEGO JUSTYNA :	
Z Imionnika	291
DOLEGI B.	
Życie i śmierć	271
Radość i smutek	285
F. z P.	
Tryolety	277
GOLKA ANTONIEGO :	
Śpiew, naśladowanie	86
KOPANSKIEGO ANTONIEGO :	
Hymn	1
Modlitwa	129
Z Imionnika	214
L. Z.	
Dumanie	171
M. A. :	
Wschód i Północ	9

	str.
MARCINKOWSKIEJ z KOZŁOWSKICH ANIELI :	
Do suchej gałązki	84
Moje życzenie	120
Do słowika w klatce	135
Do młodości	219
Do nadziei	260

OSIPOWICZA ALEKSANDRA :

Dumania o życiu człowieka . . .	243
Dumka	274

OSSORYJ MARCINA :

Opatrzność, Powieść	12
Do :	279

P. L.

Czumaki	288
-------------------	-----

PIOTROWSKIEGO KAJETANA KSIĘDZA :

Do Najświętszej Panny Maryj . . .	3
-----------------------------------	---

PRUSZYŃSKIEGO :

Kocio	265
-----------------	-----

	str.
RUDZIŃSKIEGO IG. :	
Kraina wspomnień	221
REUTT GOZDAWY WINCENTEGO:	
Wyjątki z powieści Malwiny	210
SIEDR. EM. KAR. :	
Fantazja	10
Do	79
Myśli o przeszłości, terażniejszości i przy- szłości	130
Do	167
Godzina	216
SWIATKOWSKIEJ JZABELLI:	
Tułacz	118
Wieżień	175
TURCEWICZA PIOTRA:	
Pomnik Renegata	116
Samson	173

H Y M N.

O Panie Wielki nowego Zakonu,
Ofiarę miłą i wdzięczną niesiemy,
I do Twojego Tronu,
Prosić pomocy bieżemy,
Zbaw o Boże

Lud wybrany.

My w pokorze,
Przed Twym Tronem,
Wraz z pokłonem,
Upadamy
Wychwalamy,
Twą wielkość Panie nad Pany.

O Ty Dziewico! co królujesz w niebie,
Z Synem co wielki w swej chwale i mocy,
My dziś do Ciebie,
Zebrząc twej Pani pomocy,
Wszyscy wołamy,
U syońskich bram progu,
Ciebie wzywamy
Módl się za nami
Twemi sługami,
Do swego Syna;
W tobie jedyna,
Nadzieja nasza po Bogu.

ANTONI KOPANSKI.



DO NAJSWIĘTSZEJ

PANNY MARYI.

Kiedy dusza w smutku tonie,
 Gdzież ma pomoc? — w Twojej obronie,
 Chrystus Syn Twój, rzekł do Ciebie,
 Kiedy ze mną będziesz w niebie.
 Gdy w Królestwie mem zasięde
 Prośby Matki słuchać będę,
 Jak Ty jesteś z świętych święta.
 Jak Twa litość niepojęta:
 To ośmiela w mym frasunku
 Błagać wsparcia w Twym ratunku.
 Gdzież się udam? jak do Ciebie,
 O! najlepsza Matko w niebie —

Wielowładna Święta Pani,
 Serce, duszę niosę w dani,
 Uproś Syna Swego w niebie
 By pomagał w mej potrzebie.
 Walczyć mężnie z samym sobą
 Stać się godnym chwały z Tobą.
 Namiętności pokonywać,
 Codzień łaski Boga wzywać.
 Cierpliwością się odznaczać,
 W przeciwnościach nierozpaczać;
 Proszę Ciebie Matko moja,
 Niech mnie wzmacnia pomoc Twoja —
 Wielbią Ciebie ludzkie dziatki
 Bo nie mają lepszej Matki,
 I ja Pani Ciebie proszę,
 Tkliwe prośby me zanoszę,
 Bądź mi Matką i obroną,
 W mych nieszczęściach mą obroną.
 A gdy dusza ciało rzuci
 Niech na łono szczęścia wróci.

Pisał w Petersburgu

Ksiądz KAJETAN PIOTROWSKI S. P.

MELODJA.

D U C H.

Gdy się cały świat zachmurza,
W czasie długiej grudnia nocy,
Gdy za oknem wyjąć burza,
Śniegi pędzi od północy.

Któs wnet stanął przy mym boku,
Na mnie zwraca bystre oczy,
Tajemnica w jego oku,
Tajemnica lice mroczy.

Gdy nań patrzę z zadumieniem,
Rzecz — Jestem dawno znany,

Władam wodą i płomieniem,
Mnie słuchają huragany.

Zwiedzam kraje i narody,
Myśl twa prędko tak nieleta,
Jak ja lecę bez przeszkody,
Z końca w drugi koniec świata.

I przy tobie zawsze byłem,
Jak cień nocny, jak blask dzienny,
Chęci, myśli twe cenilem,
Jako pieniąż podług ceny.

Od strasznych bronilem zdarzeń,
W niedoli ciebie cieszyłem,
I z labiryntu twych marzeń,
Jak po nici prowadziłem.

Zycia poznałeś koleje,
Wiatr unosił narzekanie,
Za chmurą gasty nadzieje,
Lży w piaszczystym Oceanie.

I bez uczuć człowiek błądzi.
Zdradza brata, wieży kuje,

Bezsumienny cnotę sądzi,
Ją potępia, prześladowe.

Pogardzona prawda wszędzie,
Lecz gdy runie ten świat cały,
Ta nad gruzem latać będzie,
Jak nad morzem łabędź biały.

Lza litości dar bogaty,
Co na widok nieszczęść sływa,
Ta jak klejnot zdozi szaty,
Winy gładzi, plamy zmywa.

Wichry tęskno tam śpiewają,
Co ta burza? co śpiew znaczy?
Jad roznoszą, pieśń składają,
Z ludzkich cierpień i rozpaczy.

I do czyjej wpadną duszy,
Te zabawy gorzkie świata,
Lza się z oka nieosuszy,
Zaćmią w życiu dnie i lata.

Kropla jadu, śpiewu jęki,
Jątrzą w twoim sercu rany,

Od tych cierpień, od tej męki;
Zbawi tylko krzyż drewniany.

I wnet jakby błyskawica,
Znikł przed okiem w jednym mgnieniu,
Na mym stole gaśnie świeca,
Jam samotny w zamyśleniu.

Świat w ciemnościach się zanurza,
W czasie długiej grudnia nocy,
I za oknem wyjąć burza,
Śniegi pędzi od północy.

JAN BARSZCZEWSKI.

1843 r.

Petersburg.



WSCHÓD I POŁNOC.

W IMIENNIKU PANI A. SĘKOWSKIEJ.

Porzuceni na świata lodowatym końcu,
 Nie zazdrościmy krainom sąsiedniejszym słońcu:
 Ich łąd, Kaszemirskiego ma barwę kobierca,
 Kwiat z jedwabiu jutrzeński, z płomienia ich serca;
 Lecz ich *bulbul* *) zabłyśnie — i wnet oko zmróży;
 Wnet znikną w ziemi liście, w sercach pamięć róży.
 A nasze łądy zciemnym dochowują tonem
 Pamięć istot straconych przed laty miljonem:
 Jeśli ziemia tak długo chowa martwy szczątek,
 Jakież są nasze serca — dla żywych pamiętek!

A. M.

St. Petersburg.

1825. Stycznia 24.

*) W języku arabskim. *Słowik*.

WZCHOD I POZOC.

FANTAZJA,

O! jak bolesne są dni i godziny,
Gdy się daleko od lubej zostaje,
Gdy tylko myślą gdzie obraz jedyny
Przenieść się można w szczęśliwości kraje;
Wtenczas myśl nasza w krainie pamiętek.
Lata po zbiegłych szczęśliwości marach.
A słodkich wspomnień, ostateczny szczątek,
Pogrąża serce w zakrwawionych czarach.
Dusza samotna choć szczęśliwość kreśli,
Tęskni i smutna usycha z tęsknoty
Bo opuszczona od serca i myśli
Błąka się w świetle jak w pośród ciemnoty;
Serce, myśl, dusza, unękanie srodze
W odmęcie swego ulatują świata,
I choć czasami zbiegną się w swej drodze
To znowu każda w inną stronę wzlata.

O! jakże wtenczas samotne ustronie,
Dalekie gaje i głębokie lasy,
I miejsca skryte w oddalonej stronie,
Są nam tak drogie jak spłynione czasy.
Z jakąż radością myśl szczęśliwa płynie.
Wraz z rozognioną wyobraźnią serca,
Po tej w złudzenia rozległej krainie,
Przebranę myślą w szczęśliwość kobierca;
A w omamieniu słodkiego marzenia,
Wszystko zwyciężyć potrafim swą duszą.
I urojone szczęścia przewidzenia
Zda się że zawsze spełnione byćd muszą.

EM. KAR. SIEDR.

1834.



OPATRZNOŚĆ.

POWIEŚĆ.

29. „Iżali dwa wróble za pieniądź
nie sprzedają; a jeden z nich nie
upadnie na ziemię bez Ojca wa-
szego;
30. A wasze włosy na głowie wszy-
stkie są policzone;
31. Nie bójcie się tedy, — lepiejście
wy, niż wiele wróblów.”

(U MAT. ŚT. W ROZ. X.)

W możnej stolicy, kędy ją rzeka
Nurtem na poły przedziela,

Spieszyl młodzienc, przybysz zdaleka,
I sam daleki wesela.

Różne od tłumy na nim krój, barwa,
Inny chód, inny rys twarzy,
A tchnie we wszystkim niedoli larwa,
W źrenicy — rospacz się żarzy.

Ujrzał już zdala most okazały;
Szum rzeki uszu doleciał;
Usta się piekła śmiechem rozśmiały,
Pośpieszniej jeszcze poleciał.

Jednego gmachu pominie mury...
Tam głębia!... anioł zniszczenia!
W tém — przeraźliwy, nagły krzyk z góry
Wstrzymał go, — wyrwał z marzenia.

Ruchem instynktu wzniosł wgórę dłonie;
Nim pojął, co się z nim działo,
Drżące już dziecko tulił na łonie,
Co z piętra na brnk leciało.

Trzymał je z gniewem, że mu zabiera
Chwile tak nagłe, tak drogie!

Gdy tu go tygrys — rospacz pożera,
 Tam — chwile spoczynku błogie!

Już chciał, przewłoką zniecierpliwiony,
 Dziecię zostawić losowi;
 Lecz się doń z płaczem tuląc, złękniony
 Chłopczyk za szyję go łowi.

I z trwogi siłą wpija rączkami
 I trzyma; zanim zdołali
 Zbiedz — ojciec, matka z domownikami,
 Drżący, wybladli, struchlali.

Oddał im dziecię, biegł w swoją drogę.
 Już głębią oczy swe sycił,
 Na most skwapliwą już stawił nogę,
 Gdy ktoś za ramię go chwycił.

To ojciec!... co się już był nacieszył
 Zgubą, co cud mu ochronił;
 Niewidząc zbawcy w pogoń pośpieszył,
 I zadyszany dogonił.

„Stój, dobroczyńco, z nieba zesłany!
 Więcejś mi zbawił, niż życie!

Skarb nieocenny, długo czekany!
Jedyne, jedyne dziecie!

Czem ci zawdzięczę, czem ci odpłacę?
Powiedz, zaklinam dla Boga!"

"Tem, gdy odejdiesz: bo z tobą tracę
Czas, — a i chwila mi droga."

"Ja cię tak puszczę? Ty nie pojmujesz.
Co to być ojcem!... mieć dziecie!
Ty nie masz serca! albo nie czujesz
Nic, dla nikogo na świecie!"

Młodzieniec zadrżał; rozpacz zegnało
I lice rzewliwe wspomnienie;
Oko, co piekła ogniem gorzało,
Łez odwilżyły strumienie.

Lodowe z serca przysły kajdany,
Myśl się z oddechu wywiła;
Wspomniał dalekie rodzinne ściany,
Ziemię, gdzie mili, gdzie miła.

I stał, jak wryty. Ojciec zdumiony,
Wlepił wzrok w zbawcę dziecięcia;

Aż nagle nową myślą rażony,
W ściste go ujął objęcia!...

„Wiem, kto ty jesteś! barwać zdradziła;
Bez roduś dzisiaj na świeciel!...
Lecz Bóg ci nową rodzinę zsyła,
Jak przez cię wrócił mi dziecie!

„Nie brak mi złota; na waszej ziemi
Urosły bogactwa moje,
Gdy zechcesz ze mną dzielić się niemi,
Oddam ci tylko, co twoje.

Bez roduś dzisiaj!... z Boskiej to woli
Wnuk cierpi, choć dziad zagrzeszy;
Chodź! — my cię będziem cieszyć w niedoli;
Za nim cię Pan Bóg pocieszy;”

Młodzieniec milczał i łzy ocierał;
Tamtén go ujął za rękę
I wiódł za sobą; — on się nieśpierał,
Cisnącą ściskając rękę.

MARCIN OSSORYJA.

BŁOGOSŁAWIENSTWO

M A T K I.

POWIĄSTKA

ELEGNORY SZTYRMER.

Miłość była źródłem jej błędu i miłość też stała się dla niej narzędziem kary.

I.

W jednej z bokowych allei Saskiego ogrodu, późno wieczorem, młody ułan siedział sobie zamysłony na ławce i machinalnie kreślił szabelką po piasku jakieś fantastyczne figury. Chłodny wiatr jesienny świszczwał między obnażonemi z liści drzewami, zegary miejskie jeden po drugim biły dziewiątą godzinę. Nikt już nie-

spacerował w ogrodzie, tylko kiedy nie kiedy przesmykała się jeszcze żyjąca istota w płaszczu albo w salopie i spiesznie peregrynowała do bramy. Ułan nie myślał widać o tem, że ogród mogą zamknąć na noc i spokojnie kreslił sobie dziwolągi.

W tem jakiś młodzieniec w bekieszy, z przęcikiem w ręku i kapeluszem *Waterproof* na głowie, zatrzymał się przed nim w milczeniu. Ułan podniósł głowę do góry żeby rozpatrzeć śmiałka co mu przerywał tajemniczą medytację. Nieznajomy spojrzawszy mu w oczy, parsknął wielkim śmiechem, i z najzabawniejszą miną rozpostart ręce dla objęcia człowieka z szabelką.

— Wacław!

— Henryk!

I uścisnęli się po przyjacielsku. Widać dawno niewidzieli się z sobą.

O szaleńcze! rzekł Henryk, od trzech dni szukam cię po całym mieście jak szpilki w wozie siana. Rozesłałem pięciu Żydów faktorów, pytałem znajomych, byłem we wszystkich kawiarniach; niema i niema Wacława! Myślałem już żeś się raczył utopić. Ani mi do głowy przyszło, że waszmość polubiłeś sobie zapewno dla strawności serca samotne dumania w Saskim ogrodzie.... powiedz warjacie co ty tu robisz w ciemnościach i na chłodzie?

— Zachowaj żarty na inny czas, a teraz powiedz mi

tylko czy dawno przyjechałeś ze wsi? i co cię do nas prowadzi?

—Od trzech dni jestem w Warszawie — jadę sobie na wojaż za granicę *mon cher*, będę we Włoszech, w Niemczech, w Swajcaryi....

—Winszuję ci. Jedź z Bogiem, baw się dobrze.

—Brrr! jaki waszmość dziś zimny — lodowaty, doskonale nastrojony podług kamertonu jesiennej temperatury. A czy nie raczysz po chłodzie wieczornej medytacji pójść ze mną do pierwszej cukierni na szklankę gorącego ponczyku? spodziewam się, że ten wyborny elixer doprowadzi cię na tychmiast do należytej równowagi fizycznej i moralnej, he?

—Aj! mój kochany przestań mnie dręczyć, dziś jestem w złym humorze, nudzę się okropnie, pozwól mi pójść do domu, jutro sam cię odwiedzę; może będę we-wszelzy.

—A mnie co do tego żeś ty niewesoły? jutro może wyjadę z Warszawy. Chodź prędzej, opowiesz mi z jakiego źródła spłynęły na twoją duszę nudy — Mam prawo do twojej otwartości, bom ci przyczyny własnych moich nudów nigdy nie tał — Poszli.

—Idę z tobą trzpiocie rzekł Wacław, ale wierz mi, że nie mam ci nic do opowiedzenia.

—Oho! już temu to niewierzę, owszem przewiduję, że jakieś лихо wplątało się do twego życia. Ty coś

był zawsze tak wesoły, coś ciągle miał na podorędziu śmiech, figle i koncepta, teraz deklamujesz mi jakies lakoniczne perjody, dziwnie pokutniczym głosem. Co to znaczy? Czyś się na serjo pokochał? czy cię zły duch namówił do poezii?

—Ale wierz mi Henryku, że się zemną nic nie stało, wszystko jak było dawniej, stara, oklepana historia, warszawskiego życia.

—Właśnie, właśnie tej historii chcę się dowiedzieć. Wiesz? moja siostra Łucja wyszła za mąż.

—A, winszuję, zdaje mi się żeś pisał o tem do mnie.

—Jakże, prosiłem cię na wesele. Nieraczyłeś przyjechać i nieodpisałeś nawet. Mocno to nas wszystkich zdziwiło.

—Ach! niemogłem — podobno byłem chory. Czy niepamiętasz za kogo wyszła?

Wacławie! dalibóg musisz być zakochany! miewasz sobie olbrzymie dystrakcje!

—A co takiego? a co ja zrobiłem?

—Jakże, zmituj się, pytasz się brata, co cię prosił na wesele rodzonej swojej siostry, czy wie za kogo ona wyszła za mąż — Cha, cha, cha, to wyborniel to śliczny materiał do komedii. Co się z tobą dzieje biedaku?

—Nic duszko, przepraszam, wyszło mi z pamięci. Teraz przypomniałem sobie — za Konstantego?

—Cha, cha, cha, Konstanty od trzech lat żonaty. Wstydz się, zapomniałeś tak prędko naszego pocziwego Karola.

—Aha! prawda. Cóż? wszak wesele trwało cały tydzień. W Sandomirskim i chłopci trzy dni hulają.

—O! żałuj żeś nie był. Doskonaleśmy się bawili. I zaczął mu opowiadać wesele swojej siostry, baliki w sąsiedztwie, polowanie, kuligi, miłostki swoje i drugich młodzieńców i inne ciekawości. Tym czasem weszli do cukierni, siedli w osobnym pokoiku i kazali sobie dać ponczu.

Rozmowa z początku podtrzymywana prawie przez jednego tylko Henryka, ożywiła się co raz więcej. Po jakimś czasie Wacław wstał od stołu, zapalił cygaro i chodząc po pokoju rzekł z uśmiechem — Opowiem ci swoją historją, kiedy jesteś tak ciekawy.

—Brawo! zaczynaj! — domyślam się że to pewnie jaka zawierucha w romansie.

—Ba! gorzej jak zawierucha; panienka się we mnie kocha, a matka....

—Niepozwała jej wyjść za ciebie?

—Wzbraniać nie wzbrania, ale nie daje córce błogosławieństwa.

—Dla czego?

—Narzuca mi koniecznie starszą córkę, w której kiedyś się kochałem.

—A to zabawnie! Jakże się nazywa ta stara Pani.

—Marszałkowa Starosławska. Ty jej nieznasz. Ledwie od dwóch lat mieszka z dziećmi w Warszawie.

—Nieznam.

—Poczekaj, opowiem ci wszystko, ale muszę zacząć od matki, bo ona gra w mojej historii niepospolitą rolę.

—Spodziewam się.

—Widzisz, *mon cher*, ta Pani Starosławska. całą swoją młodość była rezydentką po różnych dworach. Trafiły jej się pocziwe partie, ale w każdym upatrywała jakąś wadę i odrzucała czekając czegoś lepszego. Chciało jej się koniecznie dostać sobie męża młodego, bogatego, z imieniem, z światową manierą, amatora francuzczyzny i wykwintnego życia, a biednej rezydentce nie łatwo znaleźć takiego bogdanka. Skończyło się na tem, że się zestarzała, jak się mówi na koszu. Chciała już wstąpić do klasztoru, a przynajmniej głośno o tem mówiła, kiedy niespodzianie okoliczności się przemieniły i udało jej się złowić w siatkę nieboszczyka Starosławskiego. Ojciec mój był przytomny zawarciu się tego małżeństwa i później nie raz nam rzecz całą opowiadał. Wystaw sobie bal na wsi w Kaliskim. Młodzież tańczy, matrony siedzą sobie i rozprawiają po cichu, panna rezydentka rej między niemi wiedzie. W tem podeszły, lecz bezdzietny i bogaty wdowiec Marszałek Starosławski, podochocony węgry-

nem, zbliża się do nich w posuwistych susach, i zwyczajem dawnych Polonusów, poważnie, a krotochwilnie, zaczyna robić attencje i bawić opuszczone od mężczyn białogłowy. Niewyczerpane komplementa i dyktetyki, jakich dziś nigdzie już nieusłyszysz, leją się z ust pocziwego szlachcica. Wesołość i pochlebstwo białogłów zagrzewają jego węgę. Kurzy mu się z czupryny, oczy błyszczą ogniem, rumieniec gra na licach, kładąie dłoń na sercu i przysięga się, że affekta jego są najszczerze. Słowem oświadcza się formalnie Pannie Rezydentce, powtarzając ciągle „moja królowo! moja cesarzowo! wszak wiesz, że człowiek taki jak ja rozumie co znaczy *verbum nobile*. Panna Rezydentka płoni się, zakrywa sobie twarz chustką pod którą tłumi śmiech mimowolny. Matrony mniej żenowane, pękają ze śmiechu, mówiąc konkurentowi, że sobie z panny żartuje. „Ja żartuję? krzyknął nareszcie Starostawski i upadł na kolana przed Panną Rezydentką, otoż dopóty niewstanę z miejsca, dopóki mi decydywe słowa nie dasz, moja królowo, moja cesarzowo! — Stało się jak sobie życzył; dała mu słowo uroczyście, a matrony lękając się iżby marszałek wytrzeźwiwszy się na drugi dzień, nie zaparł się swego przyrzeczenia, wymogły na nim, że oddział róg od swojej chustki na szyj i na znak przyjętej honorowej obligacji, oddał go swojej narzeczonej. Oprócz tego całe towarzystwo natychmiast wy-

chyliło liczne toasty za pomyślność tej niespodzianej kolidacji.

Jakie było nazajutrz zadziwienie starego szlachcica, kiedy mu powiedziano co zrobił: kiedy panna młoda przywitała go z rogiem chustki w ręku, nie łatwo sobie wystawisz. Ale ponieważ całe życie trzymał się prawidła, że *verbum nobile debet esse stabile* więc i w tym razie od niego nieodstąpił i ożenił się z Panną Rezydentką.

— A to wyborna historia! myślałem dotąd, że najgorszym skutkiem węgryzna jest podagra, ale pan marszałek fatalniejszego doznał losu! jakież było pożycie tej pary?

— Na pozor niezłe, bo stary sodalis nikomu się nie-skarżył, a pani marszałkowa umiała przy ludziach dobrze udawać rolę czulej małżonki, ale wiem, że w domu było piekło. Szlachcic dostał się pod małżeński pantofel. Żona wraz po szlubie przekręciła wszystko w domu na francuzki manier. Mężowi dopóty suszyła głowę, dopóki niezaczął nosić kusego odzienia, lokajów postroiła w białe pończochy, sprowadziła sobie kompanionkę z Paryża, wyrzuciła z salonów staroświeckie meble, a co najgorsza dziwnego pokroju przyjmowała u siebie gości. Marszałek ciągle się oburzał, zawsze jednak w końcu ustępował, tylko za nic niechciał wy-

jechać z dóbr do Warszawy, chociaż kilkakrotnie tego się domagała.

Kiedy im się urodziła córka, Starostawski podług kalendarza chciał ją nazwać Małgorzatą, ale matka ani słyszeć nie chciała takiego barbarzyńskiego imienia i nazwała ją Felicją. Ta dziewczyna od samego urodzenia stała się bożyszczem matki. Pani Starostawska wyłała na nią wszystkie skarby macierzyńskiej miłości, chowała ją jak pieścidełko, i im więcej niweczyła się później zgoda między rodzicami, im więcej marszałkowa ziębła i stawała się przykrą dla męża, tem mocniej przywiązywała się do pierworodnej swojej córki. Późniejszym dzieciom nawet imion nie dała, sam Starostawski nazwał syna Michałem, a córkę Katarzyną. Matka od urodzenia była dla nich obojętna, nie lubiła je nawet, może dla tego, że i syn i córka byli żywym portretem ojca, z którym wtedy w jawnej już była niezgodzie. Biedne te dzieci wychowały się między służącymi. Nigdy niepuszczano ich do salonu. Znajomi ledwie wiedzieli, że pani marszałkowa oprócz Felicji ma jeszcze inne dzieci. Dolegało to niezmiernie ojca, i takim sposobem zawiązała się najczulsza sympatja między starcem i pokrzywdzonymi od matki dziećmi. Marszałek przesiadywał z nimi wszystkie wolne od zatrudnień chwile, pieścił, pocieszał, kształcił ich umysły, i żywą wiarę wpajał w młode ich serca. Uczucie religijne



krzepione ojcowskim przykładem, podsypane upokorzeniem, przy widocznej łasce Bożej stało się węgielnym kamieniem charakteru Michała i Kasi. Ojciec mój zajęchawszy raz do Starosławskiego, zastał go w odległym pokoiku, czytającego tym dziatkom żywoty ŚŚ. Pańskich, przy jednej łojowej świeczce, wtedy kiedy salony jego małżonki pełne były gości, gorzały światłem, brzmiały muzyką. Widok tej abnegacji starca niewymownie go wzruszył. Opowiadał nam później co to za śliczne dziatki, jaka czuła miłość wiąże ojca z nimi, i siostrę z bratem, jak smutno mu było patrzeć na ten dom rozdzielony na dwie nieprzyjazne partje. Ale pocóż ci o tém mówić, wystawisz sobie łatwo jakie smutne sceuy zdarzały się co dzień w rodzinie Starosławskiego, i jak te swary rodziców musiały być bolesne dla młodych dzieci. Nareszcie marszałek dla usunięcia od nich złęgo przykładu, oddał syna do Warszawy do szkół, a córkę na pensją. Tu się wychowywali i ojciec mój każdą razą kiedy był w stolicy odwiedzał je i pocieszał. Przed dwoma laty Starosławski umarł i marszałkowa przeniosła się natychmiast tutaj. W kilka tygodni po przyjeździe, odkryła salon dla młodzieży, i ja jeden z pierwszych poznałem ją.

—Pewnie w grubej żałobie?

—Gdzie tam! niesłyszałem nawet od niej, że niedawno straciła męża. Żyła wystawnie, dawała huczne

bale, ludzie mówili, że Panna Felicja jest do wzięcia.

—A Kasia?

—Ta była jeszcze na pensii. Trzymano ją tam umyślnie, żeby nieprzeszkadzała siostrze. Zresztą prawie nikt niewiedziało, że Pani Starostawska ma jeszcze inne dzieci, bo w salonie jedna tylko jaśniała Felicja. Ja sam zapomniałem co mi kiedyś ojciec mówił przed 10 laty o Michale i o Kasi.

—Gdzież był Pan Michał?

—W domu w tylnych pokojach.

—*Tandem* pokochałeś się w Felicii.

—A jakże? z pierwszego spojrzenia. I prawdziwie niepodobna było zostać obojętnym na tyle urody i wdzięków. Niemasz wyobrażenia co to za śliczna, czarująca, wspaniała brunetka, z ognistym czarnym okiem, białutka, zgrabniutka, milutka, a do tego raz romansowa i sentymentalna jak Heloiza, drugi raz żywa, szydząca, lekkomyślna jak najmłodniejsza paryzka kokietka, to łezki ma na oczach, to śmiech spazmatyczny krzywi jej twarzyczkę. Ja wtedy należałem do Lwów Warszawskich, lubiłem niezmiernie kobiety nowej romantycznej szkoły, podobne do bohaterki Sue i Sanda. Zdziwisz się niemało kiedy ci powiem, że miłość moja niespotkała żadnych przeszkod. Owszem po kilku wizytach, po kilku tańcach, Felicja widocznie zaczęła mi sprzyjać i dystygnować między mnóstwem swoich wielbicieli. Ma-

tką też, może nawet zbyt widocznie okazywała mi przychylność. Kiedy stałem się prawie codziennym gościem, nazywała mnie żartobliwie synem, ztąd i ja zacząłem ją nazywać mamą, a Felicję siostrą. To pokrewieństwo doprowadziło nas do zupełnej poufałości. Mów sobie co chcesz, a pierwsza miłość choćby później zmarniała, zostawia jednak wspomnienia, których zatrzeć niepodobna. Niemogę zapomnieć naszych rozmów, naszych wieczornych przy świetle księżycy spacerów, tych ognistych wybuchów dziewiczego serca, które mi się oddawało na wieki, na ziemi i za ziemią, tych nawet w późniejszym czasie dość częstych sprzeczek i prędkiej po nich zgody, przez pośrednictwo matki. Była w tém wszystkim jakaś upajająca siła, słodycz, rozkosz, oczarowanie, prawdziwa gorączka szczęścia. Miotany namiętnością nieznałem pokoju, niemogłem o niczem pomyśleć z rozwagą, nawet o tém co się zemną działo. Chaos w myślach, chaos w uczuciach, prawdziwe pijaństwo moralne! Prawie nieustannie kochanką miałem umysł zajęty, ale myśli moje przewracały się w głowie, jak bryły rospalonego granitu, zbite w jedną masę, nie szykowane porządnie, nie prowadzące do żadnego zdrowego zdania. Myślałem, że tak rzekę *cała istota*, tak samo jak człowiek nieustannie myśli o sobie samym, nierozpatrując jednak siebie w każdej chwili. Nigdy niezastanawiałem się nad charakte-

rem Felicji, nad jej oświeceniem, sercem, i ztąd doszedłszy do zupełnej poufałości wcale jej jednak nie znałem. Była to prawdziwie ślepa i szalona miłość.

Taki stan duszy nie jest naturalny, i dla tego długo trwać nie mógł. Exaltacja wycieńczyła ostatnie moje siły, zacząłem słabnąć.

—Ale mój kochany, cóż to dziwne — przerwał Henryk — ile mi wiadomo, ty już kopę razy tak samo się exaltowałeś i tak samo ziębleś.

—Może być, odpowiedział sucho Wacław — słuchaj cierpliwie. W miarę tego jak umysł mój przychodził do równowagi, zacząłem rozpatrywać Felicję i co chwila coś mi się w niej niepodobało. Pełna dumy arystokratycznej mówiła zé wżgardą o innych stanach. Skłonna do szyderstwa, nieprzepuszczała żadnej wady w swoich znajomych, szczególnie u kobiet i sarkazmy jej były jałowite. W jej sercu niebyło litości. Raz kiedy spotkaliśmy żebraka na spacerze, ofuknęła się na niego, że ją prosił o jałmużnę. Oburzyła mnie ta niehumanność i oddałem mu całą sakiewkę. Felicja żeby się usprawiedliwić zaczęła dowodzić, że większa część żebrzących niezasługuje na litość, że to są próżniaki, oszusty, łotry i t. d. Odpowiedziałem jej zimno, że takie rozumowania mogą być bardzo mądre, może i słuszne pod względem ekonomii politycznej, ale w kobiecie pokazują brak zasadniczego czucia. Tego wieczora po-

różniliśmy się i matka ledwie nas pogodziła. Felicja, przy całej swej namiętnej miłości, była uparta w zdaniach, kapryсна, exaltowana, romansowa do śmieszności. Sentymentalne, jej perjody, które wprzód mnie zachwycały, powtarzając się nieustannie znudziły mnie kompletnie. Pragnąłem widzieć więcej naturalności, więcej prostoty w mojej kochance, albo raczej w narzeczonej, bo chociaż się jeszcze nieoświadczyłem matce, jednak z tego nazwiska *syna*, które podobało jej się używać czasami przy gościach, wszyscy uważali mnie za przyszłego jej zięcia. Prosiłem Felicii, żeby porzuciła deklamacją. Ztąd częste żale, nieporozumienia, gniewy, a nareszcie posądzenia o zmianę sentymentów. Śmiałem się, kiedy mi wyrzucała obojętność, bo ta była jeszcze daleka odemnie. Niezważając na codzienne usterki, kochałem ją i miałem nadzieję, że jak zostanie żoną, to zastosuje się do mojego charakteru. Rachowałem na to niezłomnie. Małżeństwo i stan macieżyński, sprawiają tak ogromne moralne zmiany w kobiecie, że powinniśmy je uważać jako dwa wielkie cuda, które powtarzają się przed naszymi oczyma w życiu niewiast. Widziałem nieraz piętnasto-letnią dziewczynę przed szlubem i było to dziecko, po kilku dniach niepozna wałem jej, tyle już w niej było zdrowego rozsądku, powagi i przenikliwości w kwestiach serca ludzkiego, a kiedy kobieta zostaje matką — O! wtedy zdaje

się, że niebo opromienia ją światłością z góry, i jeżeli tylko serce jej nie jest do szczytu zepsute, to może powstać z najcięższego nawet szczebla moralnego upadku. Rachunek był zbyt czyny — Bóg inaczej rozporządził...

—Mój Wacławie, pozwól, że ci przerwę. Powiedz mi skąd ci się wzięła taka pobożność? dawniej jakoś tego niebyło?

—Nie w cukierni miejsce mówić o tem przedmiocie.

—Oho! Pan Wacław niezartuje; — jednak zmiłuj się, powiedz choć kilka słów, niezmiernie jestem ciekawy.

—Proszę cię nie męcz mnie. Wiesz że miałem ojca wielce pobożnego, który z młodych lat starał się wszczepić we mnie Religją. Na nieszczęście ułanerja i światowość zatarły później owoc jego usiłowań. Teraz wróciłem tylko do prawdy.

—Wszystko to dobrze *mon cher*, ale jakiż był początek tego nawrócenia?

—Bądź cierpliwy — dowiesz się.

—No cóż tedy dalej?

—Otoż, kiedy tak dziwnie splatały się gorycze z rozkoszą w mojej miłości, i kiedy całą nadzieję szczęścia budowałem na tej przemianie, która miała nastąpić w charakterze Felicji po szlubie, — skończył się karnawał. Po wielkiej nocy, miałem zamiar napisać do oj-

ca, który nic jeszcze niewiedział o moich miłostkach, prosić go o błogosławieństwo i ożenić się. Pod wpływem myśli o tak ważnej przemianie w moim życiu, na pierwszym tygodniu wielkiego postu, postanowiłem pójść do spowiedzi. Od kilku lat już zaniedbywałem tego obowiązku religijnego, i czas przeznaczony od kościoła dla najważniejszych medytacji, przechodził dla mnie obojętnie. albo, w pustocie i niecierpliwem oczekiwaniu świąt i zabaw. Tą razą jakiś głos wewnętrzny wymównie pobudzał mnie do upamiętania się, jakaś tajemnicza siła pociągała mnie do świątyni Pańskiej. W sobotę po popielcu pierwszy raz w życiu obudziłem się ze snu o szóstej rano i za nic nie mogłem na nowo zasnąć. Chciałem kazać zgotować kawę, ale jakiś głos szeptał mi ciągle: „idź do kościoła! idź do spowiedzi!— Nie mogłem się oprzeć mimowolnemu pociągowi serca, ubrałem się i poszedłem do Fary. Ranek był śliczny, słońce wydało mi się cudownie pięknem, świeże powietrze lało się jakby balsam w moje piersi, i dość puste jeszcze a spokojne ulice, nowością widoku wprowadziły mnie w tęskne zadumanie. Kiedy weszłem do kościoła, jakaś wonna świeżość przy drzwiach wionęła mi na twarz, jakby skrzydło anioła studzącego gorącą kę światowej pustoty. Cisza głęboka, przerywana tylko szmerem modlitwy kilku osob, solenność świątyni, ogrom budynku, obrazy ŚŚ. Pańskich, wszystko to na

człowieka przyzwyczajonego do zgiełku i pustoty, musiało sprawić wielkie wrażenie; postępowaniem nie śmiało, jak winowajca ku kaplicy Matki Boskiej Bolesnej, i zatrzymałem się prawie u samych krutek ołtarza. Długo myśli moich i uczuć nie mogłem doprowadzić do równowagi. Kilka razy zaczynałem mówić pacierze, ale wzruszenie moje było tak wielkie, że odejmowało mi władzę myślenia wyłącznie o tém co wymawiały usta. Książki do nabożeństwa nie miałem, ani z sobą, ani nawet w domu. Chciałem paść na kolana, lecz jakiś głupi wszyd, a razem przekonanie, że to będzie więcej dzieło instynktu, jak akt prawdziwej woli, wstrzymały mnie. Mimowolnie rzuciłem okiem przed siebie i spostrzegłem młodzieńca i dziewczę kłęczących przy kratkach, i tak podobnych do siebie, że niemogłem wątpić, iż to brat i siostra. Modlili się tak gorąco, tak przykładnie, że cała moja uwaga skupiła się na tej parze. Twarz dziewczycy dziwnym jaśniała urokiem w uniesieniu modlitwy. Myślałem o tém, jakie musi być szczęście tej młodej gołąbki czystą duszą ulatującej ku niebu, jaka rokosz napełniała jej serce w tajemniczym akcie miłości Bożej, w pokornej odezwie do Ojca miłosierdzia. Długo, długo patrzyłem na nią i bndowałem się jej przykładem. Widziałem łzy jej przed spowiedzią, widziałem niebieską spokojność po przyjęciu komunii. O! mój biedny Henryku, ty nie-

pojmujesz tych uczuć, które w wówczas napełniły moje serce.

—To prawda. Ale cóż to za dziewczica?

—Kasia, siostra Felicii, najmłodsze dziecko marszałkowej.

—Jak to? co ty mówisz? jakżeś jej niewidział w domu P. Starosławskiej?

—Zaczekaj, opowiem ci wszystko tak, jak się działo. Kiedy niezajoma z bratem wychodziła z kościoła, postrzegłem Jana lokaja marszałkowej, który wzięwszy ich książki od nabożeństwa, z tyłu poszedł za nimi. Tegoż samego dnia, upatrzawszy dogodną chwilę, wzięłem starego sługę na indagację.

—Powiedz mi Janie z kim ty chodziłeś dziś do Fary?

—Z paniczem i z panną Katarzyną.

—A, to kuzynek i kuzynka pani marszałkowej...

—At, co Pan sobie żartujesz — dyc to rodzone dzieci.

Przypomniałem sobie natychmiast co mi kiedyś ojciec o nich opowiadał, i żeby wyciągnąć od Jana resztę tajemnicy, podchwyciłem z uśmiechem: „A wiesz Janie, dla czego nazwałem ich kuzynkami.

—O! wiem — odpowiedział sługa, dla tego, że niepodobne do imości, ani do panny Felicii; ale żebyś pan znał ś. p. marszałka, to byś wiedział, że te dziatki jak

dwie krople wody do niego podobne. Były to też ulubione jego dzieci. Och! one mu tylko zamknęły powieki, one go tylko pamiętają i modlą się za jego duszę. Nieuwierzysz pan co to za dobre panięta! ledwie zbiorą jaki grosz, wraz niosą do kościoła na żałobną mszę po ojcu, albo biednym, albo nam sługom pomagają, a sami często potrzebują.

—Ale gdzież te dzieci były do tego czasu.

—Panna Katarzyna niedawno z pensii wróciła do matki, a panicz zawsze był w domu.

—Dla czegoż ja ich nigdy niewidziałem w salonach?

—Panicz sam niechce, a panience matka zakazała.

—Z jakiegoż powodu?

—At, długo o tem gadać! Idź pan sobie do panny Felicji i dowiedz się.

Stary zrobił grymas, obtarł łzy z oczu i odszedł z niechęcią. Z głosu którym były wymówione ostatnie słowa, i z twarzy Jana widziałem wyraźnie, że nie był przyjacielem panny Felicji, a z jej przyczyny i mnie nie bardzo sprzyjał. To mnie zastanowiło. Sympatja lub antypatja ludzi osiwiiałych na usługach jednego domu, miała zawsze w moim pojęciu wielką powagę; przykro mi było że Felicja przez całe swoje życie niepostrafiła sobie zaskarbić względów Jana. Cały ten dzień byłem w złym humorze, a wieczorem wcześniej jak zwy-

czajnie poszedłem do domu. Kilka razy sprzecaliśmy się o błahe drobnostki — Felicja była uparta; ja się gniewałem, matka musiała nas godzić.

Na drugi dzień odbyłem spowiedź, i z kościoła pobiegłem natychmiast do Felicji, pragnąc ostatecznie załagodzić ślady wczorajszej usterki. Niezastałem jej w domu. Snać niespodziewając się żebym tak prędko wrócił z kościoła, a może też umyślnie dla mojego umartwienia wyjechała z matką do sklepów. Stary Jan powiedział mi, że pani ledwie na obiad przyjedzie.

— Jaka to szkoda rzekłem — że się wszyscy porozjeżdżali.

— Panicz w domu — szepnął Jan nieśmiało.

— A, masz rączę, muszę się z nim poznać. Prowadź mnie do niego.

Poszliśmy przez kilka pokojów na sam tył domu. Otworzyłem drzwi i spostrzegłem brata i siostrę siedzących przy jednym stoliku. On czytał książkę, ona rysowała.

— Nareszcie! — zawołał Henryk — jakże wygląda P. Katarzyna?

— Śmieszny to jest zwyczaj — odrzekł Wacław, opisywać kobietę człowiekowi, który ją nigdy nie widział. Powiedz mi na co się to przyda? śliczny profil twarzy, dziwnie urocze niebieskie oko, piękne sploty ja-

snych włosów, drobniutka postać... cóż z tego zrozumiesz?

—O bardzo wiele, już ją sobie doskonale wyobrażam. Jakież na tobie zrobiła wrażenie?

—Wcale nieszczególne. Po scenie w kościele, należałoby się spodziewać czegoś więcej jak uczułem. Zreszto może i niemogło być inaczej. Pokój Michała w którym ją ujrzałem, żadnego nie miał podobieństwa do salonu, w którym królowała Felicja. Zamiast brązów i adamaszku, bieda i praca wyglądały ze wszystkich kątów. Sama Kasia niespodziewając się wizyty była w rannym prostym szlafroku, a nagłe wejście moje wprawilo ją w przestach, pod którego wpływem zwyczajna jej fizjonomia przyjęła zupełnie inny wyraz. Nareszcie ja sam po spowiedzi, pełen miłości dla Felicji, patrzyłem na jej siostrę więcej przez ciekawość i litość, jak z prawdziwem zajęciem się jej osobą. Ale później kiedy ją lepiej poznałem, kiedy nasze serca zrozumiały się, co dzień stawała się piękniejszą w moich oczach. Bo widzisz bez udziału serca nie można pojąć żadnej piękności. Jest to wielkie dobrodziejstwo nieba, że uroda kobiet poddana jest sądowi serca mężczyzn, inaczej bowiem najpiękniejsza kobieta w kraju, w prowincji, w mieście, byłaby celem zabiegów całej młodzieży, i ta rywalizacja mogła by mieć najgubniejsze dla społeczności skutki. Tak zaś, każde męskie serce szuka

swojego ideału piękności, i w ogóle jeden drugiemu nie staje na zawadzie. Nawet rzadko jeden pojmuje gust drugiego, i często z czego jeden szydzi, to drugiego doprowadza do zachwyty. Dla mnie największa zaleta Kasi jest w jej duszy i ztąd też chociaż postać jej ustępuje w piękności Felicii, ale ten wyraz niebieskiej słodyczy, rozlany na twarzy, ta spokojność zamyślenia, ten łagodny rzut oka, i sama kibić wątpa, eteryczna, co zdaje się może rozwiać się od tchnienia wiatru, słowem *dusza jej powierzchowności*, jeśli tak mogą się wyrazić...

—Stój! stój! poczciwy Wacławie, jak widzę do jutra nie skończysz mi opisywać piękności swojej ulubionej. Wróć się do pokoju Michała, uspokoj tego biedaka i jego siostrę, wszak oni dotąd patrzą na ciebie wielkimi oczyma i niewiedzą czego chcesz od nich.

—Ach, prawda. Otoż wytłumaczywszy, że miłą mi i dawną upragnioną znajomość z nimi, winienem protekcji starego Jana, zaprosiłem się do nich na kawę po spowiedzi. Michał przysunął mi krzesło, Kasia cała zapłoniona, chciała wyjść z pokoja. Usilne moje prośby skłoniły ją do pozostania, i kiedyśmy wszyscy usiedli rzekłem z niejakim wzruszeniem: „Winienem pani dogonną wdzięczność...”

—Jak to być może? ja pana pierwszy raz widzę, chociaż od dawna wiele o nim słyszałam.

— Ale ja panią widziałem wczora u Fary. Patrzałem z uwielbieniem, jak przykładnie odbyłaś pani Wielkonocną spowiedź, i budująca jej bogobożność, takie na mnie sprawiła wrażenie, że po kilku latach obojętności religijnej, dziś z prawdziwą rokoszą poprawiłem swoją opieszłość. Pani to należy się....

— O, nie, to łasce Bożej, która nad każdym z nas czuwa.

— Niezawodnie, ale też i przykład pani nie był dla mnie daremny. Nie miał że bym być jej za to wdzięcznym? wszakże oprócz łaski Bożej, świętobliwe życie ojca pani i jego nauki, przyłożyły się zapewne do ugruntowania jej w wierze.

— A, to co innego! to ojciec! i jeszcze jaki ojciec.... niewiem czy inne dzieci znajdują w jednej osobie tyle skarbów miłości, przyjaźni, światła, niewyczerpanej dobroci ile my mieliśmy w Papie. O gdybyś pan go był znał.... łzy przerwały jej mowę.

— Znam go z opowiadań mego ojca, odpowiedziałem.... lecz w tej chwili wszedł Jan i powiedział że marszałkowa spodziewana ledwie na obiad, wróciła z córką do domu. Pożegnałem miłą parę i wsunętem Michałowi mój adres, prosząc aby mnie często odwiedzał. Michał uśmiechnął się i oddając mi bilet rzekł— wiem oddawna gdzie pan mieszkaś.

— Jakim sposobem? spytałem z uśmiechem.

—O! to najmniejsza moja wiadomość odpowiedział spokojnie, ja znam pana lepiej niż się możesz spodziewać, i niemówił bym mu tego, gdyby wiadomości powzięte o nim przeszkadzały mi go prawdziwie szacować.

—Wybornie; z jakich że źródeł?

—Pomówiemy o tem w innym czasie. Żegnam Pana.

Wyszedłem za przewodnictwem Jana naprzód na ulicę, a ztamtąd już przez paradne drzwi do marszałkowskiej, Felicja zarzuciła mnie pytaniami o wielkości pokuty, którą mi naznaczono; szydziła, drwiła, śmiała się z nagle z jawionej we mnie skłonności do pietyzmu, pytała co też zrobiłem z moją świeckością, z moim lekkomyślnym trzpiotactwem i doprowadziła do tego, że po mimo proźb matki pożegnałem ją z niechęcią, nieskończywszy nawet kawy.

W krótkim czasie znajomość moja z Michałem ustaliła się. Polubiłem go z całej duszy, prawdziwą i szczerą przyjaźnią. Lubo znacznie młodszy latami, od natury jednak odebrał, daleko poważniejszy odemnie charakter, samotność rozwinęła w nim więcej rozwagi, a przez pracę nabył nie pospolitej nauki. Ja z moją lekkomyślnością, z moją jeszcze niewygasłą namiętnością do pustoty światowej, czuję całą jego wyższość, lubie jego dojrzałą rozmowę, jego gruntowną pobożność, surowe prawidła poczciwości i honoru, i to wiel-

kie pojęcie, które ojciec wlał w niego, o obowiązkach człowieka w tym życiu. A przy tym zna mnie doskonale, częścią z listów mojego ojca do nieboszczyka marszałka, które jemu się dostały, częścią z opowiadań kogoś z moich kolegów, a najwięcej z własnej obserwacji. Siostrę swoją Katarzynę kocha namiętnie, oświeca jej umysł, rozwija w niej talenta, pracuje po nocach, żeby jej dostarczyć tego, czego matka odmawia, słowem całkiem dla niej wylany.

Pewną razą przyszedł do mnie smutny bardzo; ja także znudzony sarkazmami Felicji, byłem w złym humorze, rozmowa zawiązała się o jego rodzinie, Po jakimś czasie rzekł mi: „Czy prędko będziesz naszym kuzynem?”

—Spodziewam się... odpowiedziałem zmieszany; że wkrótce to nastąpi, muszę wprzód napisać do ojca.

—Słuchaj że, będę z tobą mówił otwarcie. Może już wiesz od swego rodzica, historją naszego domu, a jeśli niewiesz, to poznasz ją niebawem; w każdym razie jako człowiek honoru nienadużyjesz tajemnicy. Rodzina nasza od dawnego czasu jest rozdwojona. Matka i starsza siostra, składają panującą połowę, ja i biedna moja siostra, jesteśmy Ilotami w domu. Odepchnięci od pierwszych chwil życia, od macierzyńskiego serca, niepotrafiliśmy ani miłością, ani pokorą zaskarbić sobie najmniejszej odrobinki, ani przywiązania,

ani sprawiedliwości, ani nawet łaski. Bóg to kiedyś rozsądzi w niebie, ale teraz serca nasze toną w gorczy i łzy płyną skrycie w zakątkach rodzicielskiego domu. Jeszcze od matki wszystko się łatwiej znosi, czasami też i odzywa się w niej głos natury, ale siostra nasza Felicja, jątrzy ją ciągle i kłóci pokój domowy. Dla czego? nieumiem ci wytłumaczyć, ale tak jest. Ja jako mężczyzna mogę się jej oprzeć i obronić Kasię, lecz w mojej niebytności, nieszczęśliwa dziewczyna narażona jest na wszystko, co tylko złośliwość może wynaleść najboleśniejszego. Lękam się żeby słaba, a nadzwyczajnie czuła jej istota nie upadła pod brzemieniem codziennych utrapień, żeby to serce pełne anielskiej dobroci niezałała trucizna nienawiści. Z tego możesz pojąć jak mocno bym pragnął, żeby starsza moja siostra prędzej wyszła za mąż. Z jednej strony matka widząc, że Kasia nie może już siostrze przeszkadzać, niezawodnie stanie się dla niej łagodniejszą, a z innego też względu Felicja dostawszy męża poczciwego i moralnego, przez jego wpływ, może się stać przychylną dla Kasi. Daruj mi zbyt otwarte może wynurzenie się, ale pomyśl, że wypadaloby ci nareszcie coś stanowczego przedsięwziąć. To mówiąc pożegnał mnie.

Niewiedziałem prawdziwie na co się zdecydować. Obraz obudwu siostr stał mi w myśli. Jedna wspaniale piękna, ale dumna, uparta, lekkomyślna, sarka-

styczna, a podług tego co słyszałem od brata, złośliwa i okrutna; druga dziwnie łagodna, skromna, cicha jak anioł, pełna żywej wiary, cierpliwości i nieskażonych uczuć dziewiczego serca. Napisałem list do ojca prosząc go o radę. Odpowiadając na pismo, winshawał mi z prawdziwą rokoszą, nawrócenia religijnego, ostrzegał jednak, abym nie zbyt ufał własnym siłom. Mówił mi, że każda nagła zmiana w trybie zwyczajnych usposobień człowieka, rodzi exaltację, pod wpływem której, zbawienne postanowienie wydaje nam się niezachwianem. Radził mi dobrze zastanowić się nad sobą, korzystać z rad światłego kapłana, ażeby ten chwalebny zapał nie stygł tak prędko, jak się we mnie obudził. Wiem, mówił mi, że teraz szczerze pragniesz powrócić do Boga, ale znam ciebie od dzieciństwa, lękam się żeby zbyteczne upodobanie w pustocie światowej niezagłuszyło w tobie dobrej woli. Zdaje mi się, że przykładna pobożność młodej dziewczyny, jej łzy i miła twarzyczka sprawiły na tobie mocne wrażenie i to cię zagrzewa do naśladowania, ale cóż będzie później, kiedy czas pierwsze uczucie osłabi? Oczekujesz od religij prawdziwego szczęścia na ziemi i w tym nie mylisz się, lękam się tylko czy dobrze pojmujesz, że Religja przede wszystkim jest *obowiązkiem*, wymaga ciągłego ćwiczenia się nieustannej walki, cierpliwości i pokory. Będąc źródłem najtkliwszych uczuć, nie

przestaje jednak nigdy być poważną i surową.” — Co do rady, o którą go prosiłem; ojciec, błogostawił przedsięwzięcie kolligacji z córką jego dawnego przyjaciela, ale upominał, żebym się niekwapił, żebym wprzód dobrze poznał osobę z którą mam życie podzielić. Z kilku słów niby nawiasem rzuconych, widać było, że niebardzo pochlebne miał zdanie o Felicii; przeciwnie opisywał z przyjemnością przymioty Kasi, które dostrzegał w niej z dzieciństwa, i odwiedzając ją często w Warszawie na pensii, chwalił anielską dobroć tej dziewczyny, jej zdrowy rozum, upodobanie we wszystkim co jest piękne, szlachetne i wzniosłe, nadewszystko zaś żywą i gruntowną wiarę. Słowa szanownego starca stały się dla mnie świętą wolą, bo to były ostatnie jego rady. W kilka tygodni potem, straciłem ojca, i ten wielki smutek, przerwał na czas jakiś wszystkie moje miłostki. Zamknąłem się w domu. Jeden tylko Michał odwiedzał mnie. Poczciwy chłopiec doskonale pojmował moje strapienie, i bezużyteczność wszelkich pocieszeń, przeto albo milczał, albo zajmował mnie rozmową religijną, poważną, i krzepił siły mojej duszy. Pokochaliśmy się jak dwie sieroty.

Pierwszą razą kiedy wyszedłem na ranną przechadzkę, spotkałem brata i siostrę wracających z kościoła. Kasia powiedziała mi w kilku słowach, jak bolesną by-

ła dla niej wiadomość o śmierci mojego ojca, i lzy stanęły jej w oczach.

— Ach! rzekłem, starzec w ostatnim liście mówił o pani z uwielbieniem, z roskoszą.

— O! zawołała Kasia, ja mam święty obowiązek pamiętać nieboszczyka, on był przyjacielem naszego papy, on nas z bratem zawsze kochał jak rodzone dzieci, odwiedzał, darzył, pocieszał, wspierał radą. Byłoby to największą niewdzięcznością, gdybyśmy go mogli zapomnieć.

Mimowolnie rozrzewniłem się.

— Nie płacz pan, rzekła Kasia — Kiedyś wszyscy będziemy razem, nasi ojcowie i my. Długoż to życie ludzkie na ziemi?... moment, chwila znikoma, w porównaniu z życiem w Bogu, z exystencją zamogilną.

— O! na miłość Boską podchwycił brat, skończył tę smutną rozmowę. O takich rzeczach ma pieczę opatrność, modlmy się, a niejątrzymy rany Wacława rozbiieraniem smutnej jego straty. W podobnych wypadkach, pociecha jest tylko w Bogu. Spółczucie ludzi przelane w słowa, staje się słodką trucizną, którą chciwie pije strapiony, niepostrzegając, że żałość swobodniej krzewi się w jego sercu.

Tego samego dnia wieczorem przyszedł do mnie Michał. Twarz jego była smutna, zachmurzona, jakaś

myśl widocznie ciążyła mu na sercu. Po kilku zapytaniach o moim zdrowiu, rzekł: „Powiedz mi otwarcie wszak ty kochasz Felicję?”

—Kochałem ją kiedyś szalenie, odpowiedziałem na to, ale przyznam ci się, że od czasu poznania młodszej twojej siostry, po ostatnim piśmie mego ojca, miłość moja znacznie osłabła. Wprzód towarzystwo Felicii było dla mnie niezbędnem, teraz kilka dni już zbieram się dom wasz odwiedzić i zawsze odkładam na jutro. Wyznaję ci szczerze, że nieoziębłem jeszcze dla Felicii, ale czuję w sobie wielką zmianę.

—A słowo? wszak jesteś narzeczonym.

—Słowo? słowo? ja nigdy niedawałem żadnego słowa; jeżeli się podobało twojej matce w poufalej rozmowie, czasami nawet przy obcych nazywać mnie synem, to nie moja wina.

—Jakto? więc ty nieoświadczyłeś się mojej siostrze?

—Nigdy!

—A to co innego. Jednak... jednak to nazwisko syna, na które zezwoliłeś bez oporu, które tak długo słyszałeś bez niechęci, wkłada na ciebie jakiś obowiązek....

—Bez wątpienia! mam też nadzieję, że będę synem twej matki — myślę tylko ściśle porachować się z sobą, ażeby zapewnić szczęście i swoje i drugiej osoby.

—Jedna z nich zawsze będzie nieszczęśliwa.

—Słuchaj mój drogi, czuję w sobie tyle przywiązania dla młodszej twojej siostry, że gdybym nie zbadawszy, czy to jest przyjaźń, czy miłość, ożenił się ze starszą, mógłbym sobie i jej przygotować najokropniejszą przyszłość. Znasz charakter Felicii. Kto mi zaręczy, że zostawszy żoną, zastosuje się do mojego sposobu myślenia? Kto mnie upewni, że ta sympatja, którą mam dziś dla drugiej, pomimo małżeństwa z Felicją nie rozżarzy się w gwałtowny płomień w moim sercu, i niezatruje nam całe domowe szczęście? Kto wie, czy w usterkach z popędliwą Felicją niewyrzucałbym jej nieustannie łagodnej Katarzyny? Dla czegoż wreszcie mam dla błahich powodów, kwapić się z tak stanowczem w życiu krokiem, i nierostropnie pozbawiać się szczęścia, które może niebo dla mnie przeznaczyło?...

—Musi być w twoich rozumowaniach coś wątpliwego, bo mnie niezaspakajają.

—Na to mi sam daj radę.

—Niemogę.

Narada nasza skończyła się na niczem.

Kiedy znów zacząłem bywać u marszałkowej, oziębłość moja dla Felicii jeszcze bardziej się powiększyła. Póki sam byłem lekkomyślnym lwem Warszawskim, zmienny jej charakter podobał mi się, lecz od czasu jak rozwaga i smutek odjęły mi trzpiotowstwo, stosun-

ki nasze musiały się skrzywić. Matka dawnym trybem była słaba, zaślepiona, córka raz sentymentalna, drugi raz sarkastyczna, chwilę powolna jak dziecko, potem uparta i złośliwa. Dogryzała mi najwięcej wyrzucając pedantstwo, nudziarstwo, brak wesołości, nareszcie zaczęła podejrywać zmianę w uczuciach. Raz na balu tańczyłem dwa mazury z jedną panną, natychmiast Felicji podobało się widzieć w niej swoją rywalkę i zaczęła się zazdrość. Odtąd miłość tej dziewczyny przybrała tak gwałtowny charakter, że niewiedziałem co z sobą począć; bywałem jednak u marszałkowej, chociaż mnie to wiele kosztowało, Lecz w tym samym czasie, nie-raz od poczciwego Jana wiedziałem, kiedy Kasia wychodziła z bratem, i mogłem chwilę przepędzić w jej towarzystwie. Jakąż to różnicę widziałem między temi dwiema kobietami... Jakże nie miałem pokochać Kasi wszystkimi siłami mego serca.

Przed kilką tygodniami, po rannej mszy odprowadziłem Michała i Kasię do samego domu. Właśnie kiedy miałem ich pożegnać, Felicja co w tym czasie zwyczajnie spała, wyszła niespodzianie na balkon, i zobaczywszy mnie czule całującego rękę jej siostry, wydała krzyk przenikliwy. Skutki tego zdarzenia były okropne. Niemówię już o tem co mnie się dostało od matki, a szczególnie od Felicji, ale biedna Kasia, czego też ona niewycierpiała. Czego dotąd nie cierpi z tej

przyczyny! Rzeczy doszły do tego stopnia, że kiedy zobaczy Felicję, to mdleje z przestachu. Wpadła w rodzaj jakiegoś obłąkania. Wyobraźnia jej doszła do takiej potęgi exaltacji, że często z głębokiego zadumania zrywa się i ucieka wołając, że ją siostra chce zabić. Niekiedy też zamyśliwszy się, wywołuje mój obraz, w duszy widzi mnie przed sobą, rozmawia ze mną w głos, słowem marzenie staje się dla niej rzeczywistością.

—Więc ona ciebie kocha? spytał Henryk.

—O! więcej jak ci opisać zdołam — odrzekł Wacław; jest to dawna miłość wypiastowana w sercu jeszcze przed poznaniem mojej osoby. Wdzięczność dla mego ojca, to co jej o mnie mówił, to co czytała w listach do marszałka, co jej brat opowiadał wtedy, kiedy uważając mnie za narzeczonego Felicii, zewsząd wywiadywał się o moim charakterze, wszystko to usposobiło ją do tych uczuć, które później osobiste poznanie rozżarzyło.

—Nikt że jej niemówił o twoim trzpiotowstwie?

—Poznała mnie wcale nielekkomyślnym człowiekiem.

—Czegoż tu medytować?... cha, cha, cha, idź do matki i oświadczyć się!

—Spóźniłeś się z radą Henryku. Byłem już u niej przed dwoma tygodniami.

— No i cóż.

— Cóż? Felicja, którą od kilku dni wtedy niewiedziałem, zobaczywszy mnie, ledwie mi się na szyję nierzuciła. Matka była pochmurna, smutna, patrzyła na córkę i łyzy jej się kręciły w oczach. Wiedziałem, że obie przyprowadzę do rospaczy, jednak zebrawszy ostatnie siły, rzekłem do marszałkowej, drżącym od wzruszenia głosem: „Chciałbym z panią pomówić kilka słów bez świadków.” — Oczy staruszki zabłyśły radością, Felicja zapłonią wybiegła z pokoju. Usiadłem zmieszany i w pół głosu szepnąłem: „Oddawna pani nazywasz mnie swoim synem....”

— Tak, podchwyciła marszałkowa wesoło, spodziewam się, że pan oto się niegniewasz?

— Przeciwnie, zawsze byłem pani wdzięczny za ten dowód jej przychylności. Dziś chciałbym jej otwarcie wyznać swoje uczucia, powierzyć najważniejszą kwestję mego życia na jej decyzję. Jedno słowo pani, może mnie uczynić najszcześliwszym z ludzi, lub wtrącić w przepaść cierpienia. Lecz nie o mnie tu jednego chodzi — to samo słowo rozstrzygnie los drugiej osoby. Odwołuję się do macierzyńskiego serca pani, ufam....

— Co znaczą te zagadki? przerwała matka błada i pomieszana, mów pan wyraźnie, kochasz Felicję i o jej rękę prosisz? czy tak?

— Nie! — kocham P. Katarzynę....

Marszałkowa pochyliła głowę na piersi z niemą ro-

spaczą. Za drzwiami sąsiedniego pokoju, rozległ się krzyk przeraźliwy, długi, okropny i coś upadło z głośnym łoskotem. Pobiegliśmy z matką. Felicja leżała przy drzwiach jak martwa.

Kiedy ją przyprowadzono do przytomności, spojrzała na mnie wzrokiem dzikim, obłąkanym, przerażającym i rzekła — ja tego nie przeżyję! Matka szlochając chciała ją przytulić do łona, wyrwała się z jej objęcia, padła przedemną na kolana, wyciągnęła ręce i żyzy brzyznęły jej z oczu — »zlituj się nademną, krzyknęła namiętnym głosem, nieodpychaj mnie od siebie! o mój luby, mój miły, mój drogi Wacławie, czy podobna żebym ja w twoich oczach mniej była piękna, jak ta zasmolona błaznica...

—Pani! przérwałem — nieznieważaj tego anioła.

—Pani! Pani! krzyknęła zrywając się jak szalona, mnie nazywa panią, a ją aniołem? o! dajcie mi noża, albo trucizny, i skwapliwie szukała po pokoju narzędzia do zabójstwa.

Niepodobna mi opisać ci tę okropną scenę. Bez wątpienia litowałem się nad Felicją, ale jeszcze wyraźniej czułem jakąś trwoę w sercu, widząc do jakich ostateczności, do jakiego szaleństwa może się posunąć kobieta światowa, której namiętność niezna hamulca wiary. Jak rozhukane morze, burzliwemi porywy pędzi okręt do zguby, jeśli igła magnesowa nieprostuje

jego drogi, tak roskołysana namiętność unosi kobietę na bezdroże hańby i grzechu, jeśli światło religii nie przewodniczy jej na drodze żywota. Bez religii, ani rozum, ani przyzwoitość, ani wstyd niewieści nie potrafią wstrzymać szalonych jej zapędów....

—Aj! aj! mój biedny Wacławie, wystawiam sobie fatalną twoją pozycją. Jakże się ta scena skończyła.

—Bardzo źle. Marszałkowa niechciała słuchać mojego usprawiedliwienia, pokazała mi na drzwi i milcząco powiodła córkę do drukiego pokoju. Wyszedłem.

Całą tę noc Michał, przewartował u łóżka biednej Kasi. Nie mogła oka zmrózyc, drżała od febrы i strachu. Na korytarzu kilka razy słychać było przeraźliwy krzyk Felicji, wrywającej się ku drzwiom Kasi, żeby ją zamordować; słychać było bieganie ludzi wstrzymujących szaloną, płacz, jęki i upominania matki. Piekiło było w tym domu!

Nazajutrz odebrałem list od matki, w którym zaklinała mnie na wszystkie obowiązki, żebym jej córki nie doprowadzał do rozpaczы, może do mogiły, i żądała ostatecznej odpowiedzi. Napisałem, że kocham Kasię i jej tylko mężem być mogę. Wieczorem wpadł do mnie mnie Michał okropnie zmieniony. „Jak się ma twoja siostra? spytałem z największą niespokojnością.

—Najgorzej! — odpowiedział z boleścią; gdyby rozpaczala, gdyby miotała się gwałtownie, miałbym na-

dzieję, że boleść wkrótce się przesili, ale nie mogę patrzeć na cichą jej męczarnię. Siedzi smutna, milcząca, nieodpowiada na moje pytania, cała zatopiona w myślach, których wrażenia ciągle zmieniają się na jej twarzy. To łzy zwolna spadają na jej lica, to uśmiech przelotny je ożywi, to się wzdryga ogarniona tajemniczą trwogą, to padnie na kolana i gorąco się modli. Czasami sama z sobą w głos rozmawia i w smutnych wyrazach widać truciznę ulatniającą się w głębi serca złamanego cierpieniem.

— O! biedna, nieszczęśliwa, zawołałem z rozpaczą — cierpi przezemie, moim obowiązkiem jest ją ratować. Znasz mnie Michale, spodziewam się że mnie dopomożesz....

— W czym?

— A jużci w tém, żebym się prędzej mógł ożenić z twoją siostrą, bo ten tylko widzę środek ratunku.

— Pragnąłbym z całej duszy, ale mówiłem już o tém z matką i powiedziała mi stanowczo: „robcie sobie co chcecie, tylko nie proście mnie ani o pozwolenie, ani o błogosławieństwo” — bez błogosławieństwa zaś matki Kasia nigdy niezgodzi się być twoją.

Nieśmy nieuradzili! nieszczęśliwa znajduje się w najokropniejszym położeniu; sam niewiem co dalej począć. Straciłem zupełnie głowę. Błąkam się jak cień z moim smutkiem.

—Mój kochany rzekł Henryk — czego tu się smuć? czego medytować? żeń się.

—Mówiłem ci już, że bez błogosławieństwa matki, Kasia nigdy mi nieodda ręki.

—Daj pokój! już ja to biorę na siebie. Kocha cię zbyt mocno, żeby długo wytrwała w postanowieniu. Sama marszałkowa może się da uprosić.

—Wątpię.

—Powiadam ci, że już my z Michałem to zrobimy. Nie myśl więcej o tej sprawie.

—Dziwi mnie, że od razu tyle obiecujesz; — zkąd ci się wzięła ochota plątać siebie w tą smutną historję.

—Oprócz przyjaźni, mam jeszcze drugą pobudkę osobistą.

—Jaką? na miłość Boga.

—Kto wie? może kiedyś będziemy w kolligacji.

—A to znów coś nowego.

—Tak *mon cher*, dziwne jest serce ludzkie! z twojego opowiadania, poczułem w sobie jakąś sympatją do tej salonowej Felicii. Byłbym prawdziwie szczęśliwy gdyby mnie pokochała. Zostaję w Warszawie dla twojego i mojego interesu.

—Co się z tobą dzieje Henryku? co ci po sercu, które spustoszyła burza namiętnego szafu?

—Właśnie to spustoszenie obudza moją sympatją.

Cóż dziwnego że młoda, niedoświadczona dziewczyna przywiąże się mocno do mężczyzny? Czasami dzieje się to dla tego, że pierwszego poznała, czasem dla tego, że najlepiej tańczy, albo że nosi piękny mundur, albo że dowcipny w rozmowie. Rzadko to bywa prawdziwa miłość i nieraz w tydzień po szlubie następuje rozczarowanie. Ale kiedy kobieta szukając szczęścia, gorzki kielich wypije, to jeżeli drugi raz się pokocha, można się spodziewać, że to drugie uczucie będzie mniej gwałtowne, ale pewnie więcej trwałe jak zwyczajne miłości.

—O jakże się mylisz mój filozofie! jak dziwaczne zdanie masz o kobietach! wierz mi, że im prostsze i wolniejsze od szatu jest serce dziewczyny, im więcej ona zasługuje na nazwisko parafianki, tym zdolniejszą jest czuć prawdziwą miłość, i byź pocziwą, dobrą żoną.

—Masz swoje zdanie, a ja swoje.

II.

Smutny i cichy był szlub Wacława z Kasią. Michał, Henryk i kilku świadków składali cały orszak państwa młodych. Na żadnej twarzy nie było widać wesela. Z kościoła Kasia przyjechała do mieszkania, które Wacław bogato i z wyśmienitym gustem przygotował. Wdziąta na każdym kroku przepych, ale nic ją niecieszyło, bo na progu domu niespotkała ją matka z chlebem i solą, z błogosławieństwem i łzami radości, czekały ją, tylko obojętne figury lokajów w błyszczącej liberii.

Nazajutrz napisała do matki list długi, czuły, pokorny, prosząc o przebaczenie i o błogosławieństwo. Wacław także pisał, sądząc, że po szlubie staruszka da się łatwiej przebłagać. Obydwa listy zostały bez odpowiedzi, i to im zatruło pierwsze dni małżeńskiego pożycia. Kasia płakała, Wacław się gniewał na matkę. Wkrótce potem marszałkowa z córką wyjechały za granicę, Henryk tą samą drogą pośpieszył za nimi, Michał udał się do majątku dla objęcia ojcowskiego spadku i urzędzenia interesów siostry, młodzi małżonkowie zostali sami jedni.

Czas powoli wszystko zabiera, i Kasia uspokoiła się w swoich obawach. Postać jej nadobna rozkwitła na

nowo wdziękami, jak po przejściu burzy, prostują się zgięte kwiatki i świeższą błyszczą barwą. Kochając niewypowiedzianie męża, znajdowała w domowym po-
życiu wszystkie roskosze o których kiedyś marzyła, wszystkie błogie uczucia, których instynkt piastowała w niewinnym sercu. Wacław też w niewyczerpanych skarbach jej miłości, w jej słodkim i pełnym uległości charakterze, wskromnem i religijnym życiu, widząc rękojmię najpomyślniejszej przyszłości, błogosławił chwilę, w której ostygł zamiętłego szału, i temu aniołowi oddał swoje serce. Jednak właśnie dla tego, że widział w swojej żonie tyle pięknych przymiotów, niepodobna mu było przestać na cichym pożyciu domowym.

Szczęście upaja. Wacław był dawniej światowym człowiekiem, był miłym gościem w pierwszych salonach Warszawy, przeto ożeniwszy się, nie chciał i nie mógł wyłączyć się z towarzystwa. Cieszyła go nawet dziecinna myśl, salonowych tryumfów nadobnej swojej małżonki, i jakaś pociecha, że Kasia po tylu cierpieniach, pozna nareszcie świat i zabawy tak właściwe osobom jej wieku. Opierała się jego zamiarom, ale widząc żeby mu to było przykro, chętnie zezwoliła. Miała przecucie, że życie światowe niezadowolni ją, że go nigdy niepolubi i nieomyliła się. Zabawy nie mogły zając duszy nawykłej do myśli smutnych i poważnych,

ciężko, duszno jej było w modnych salonach. Płaskie grzeczności mężczyzn, fałszywe uśmiechy kobiet, sarkastyczność słynąca dowcipem, obojętność na najpierwsze obowiązki, obmowa i intrygi potoczne oburzały ją i napełniały nudą, tęsknotą i boleścią. Bywała jednak w towarzystwach i przyjmowała u siebie, bo Wacław tego żądał, bo wiedziała, że mąż jej przyzwyczajony od młodości do gwaru świata, nie mógł się bez niego obejść. Wybaczła mu chętnie tę słabość, bo tyle szlachetnych przymiotów ją wynagradzało, tylko boleśnie jej było patrzeć na stopniowo stygnący w nim zapal religijny, który kiedyś razem z miłością ożywił jego serce. Uważając religiją za fundament wszelkiego szczęścia na ziemi i za ziemią, słusznie się lękała o swego Wacława. Widziała że ojciec jego nieomylił się. Wacław istotnie za nadto zaufał trwałości swego zapalu. Na pustyni, albo na wsi, ziarno wiary przyniosłoby może w jego sercu plon obfity, ale wśród zgiełku wielkiego świata, z przejściem dni cierpkich z osiągnięciem celu swych zabiegów poczęło marnieć. Pierwsza exaltacja, niepodtrzymywana gorliwą duchowną pracą, powoli stygła, i stopniowo coraz więcej zaniedbując obowiązki, które kościół nakazuje, wracał do dawnej lekkomyślności. To samą mogło się stać z jego miłością, a o tem nieszczęściu nie mogła pomyśleć bez trwogi. Przy usposobieniu do marzeń wyrobionem tyła troskami, przy tliwym uczuciu,

dość jej było raz wpaść na tę smutną myśl, że Wacław może dla niej oziębnąć, żeby-już nigdy z tą obawą się nierozstać. Dowodziła sobie najwymowniej, że Wacław zbyt mocno ją kocha, aby kiedykolwiek mógł się przemienić, śmiała się z pustej swojej trwogi, a jednak ta trwoga mimowolnie coraz więcej w korzeniała się w jej sercu, dręczyła ją i przybierała charakter jakby chronicznej moralnej choroby. Śledziła każdy krok męża, w towarzystwie podsłuchiwała każde słowo, chwyciła ulotny uśmiech, i często zwyczajna jego grzeczność dla kobiet, trucizną rozlewała się w jej łonie. Skutki tego niedługo trwały, to prawda, cierpienia jej kończyły się, jak tylko znów byli sami z sobą, bo Wacław dostrzegłszy chmurkę tęsknoty na czole pocziwej żony, obsypywał ją takimi pieściami, był dla niej tak dobry, tak czuły, tak niewyczerpany w oznakach tkliwego przywiązania, że Kasia napawając się tą roskoszą, oburzała się tylko na bezzasadną swoją podejrzliwość. Te skryte walki serca, w nieustannym utrzymując go wzruszeniu, roznieciły w nim płomień miłości do niezwyklej potęgi, zamieniły go w exaltacją. Trzymać całe godziny wzrok utkwiony w miłą twarz Wacława, słuchać z zachwyceniem dźwięku słodkiej jego mowy, być zawsze gotową na każde jego skinienie — oto czego jedynie pragnęła ta tkliwa istota, kiedy Wacław był w domu. Nieraz kiedy po obiedzie

drzemał na kanapie, Kasia siedziała przy nim jakby w gorączce poetyckiego zachwytu, i rospatrując rysy spiętego, nie mogła się nasycić tym szczęściem. W nieobecności męża wyobraźnia otwierała dla niej cały świat cudownych marzeń; siedząc samotnie w swoim pokoju jedyną rozkoszą jej było myśleć, dumać nieustannie o ulubionym, przedstawiać sobie jego postać, wywoływać z duszy echo ostatnich jego słów, prowadzić z nim tajemniczą rozmowę i bujać z nieobecnym po czarujących nadpowietrznych strefach fantazji. Nieprzychodziło jej nigdy na myśl, żeby w tym błogim upodobaniu mogło być coś zdrożnego, żeby religja nawet potępiała tak daleko posunięte uczucia dla człowieka, choćby ten człowiek był mężem; przeciwnie zdało jej się, że tylko pełni obowiązek zaprzysiężony u ołtarza i częściej obwinała siebie o obojętność, jak była sobą zadowolona. Pielęgnując w skrytości tę exaltację, jako najdroższy skarb duszy, a nie mając przy sobie dobrej matki coby odgadła tajemnicę, była pozbawiona wszelkiej rady rozumu, doświadczenia i religii. Uważała siebie za najszcześniejszą z kobiet, a w istocie stan jej był smutny. Takim sposobem przeszedł prawie rok. Gdyby została matką, pierwsze dziecko ten najdziwniejszy fenomen w życiu białogłowy, co wywołując nową miłość w jej łonie, zapala razem nową pochodnię światła w jej umyśle, to dziecko możeby się stało narzę-

dziem ratunku biednej kobiety. Ale Bóg odmówił jej tego błogostawieństwa.

Kiedy takim sposobem usposobienie z natury, długie pasmo przeszłych cierpień, delikatny skład ciała, miłość zbyt tkliwa i częsta samotność domowa, rozwijały w Kasi dziwną skłonność do exaltowanych marzeń, Wacław szczęśliwy powolnością żony i niesłyszając nigdy od niej żadnej wymówki, bujał sobie dawnym zwyczajem po salonach Warszawskich. Kilka rostargnień żony, zwróciło jednak jego uwagę. Przypisując wszystko samotnemu życiu, postanowił mimo jej oporu częściej w świat z nią wyjeżdżać, Kasia z westchnieniem zgodziła się.

Raz, kiedy zupełnie ubrana na wieczor, siedziała w swoim gabinecie czekając męża żeby z nim jechać, spokojna dumka osunąwszy się na tło exaltowanej miłości, przeszła stopniami w marzenie, zmieniła się w wizję. Obraz męża siłą wyobraźni wywołany z duszy, stanął przed nią tak jasno, że go przyjęła za żywego Wacława, i bez słów, tajemniczym głosem myśli zaczęła z nim rozmawiać.

—Mój drogi Wacławie, jestem dziś cokolwiek słaba, czy niemógłbyś mi pozwolić zostać w domu?

—Moje serce, jeżeli żadnym sposobem nie możesz wyjechać, to zostań, ale zrobiłabyś mi wielką przyjemność, gdybyś była zemną na tym wieczorze, bo od-

dawna śmieją ze mnie, że cię niby na klucz w domu zamykam.

—O jeśli tylko pragniesz tej oznaki mego przywiązania, to najchętniej się zgadzam. Wszak ja dla ciebie wszystko w świecie gotowa jestem uczynić! Nieumiem ci okazać, niepotrafię wypowiedzieć, jak mi słodko pełnić twoją wolę, uprzedzać twoje życzenia, myśleć twoją odgadywać, bo ty mój miły, mój luby Wacławie, jesteś dla mnie wszystkim na ziemi, ojcem, matką, mężem, opiekunem, przyjacielem, kochankiem! na tobie spoczywają wszystkie moje nadzieje, całe szczęście moje na ziemi!

—O moja droga, kiedyż ja wątpiłem o twojej miłości! wiem, że i ty jesteś pewną mego przywiązania. Może czasami boleśnie ci patrzeć na moją lekkomyślność, na zaniedbanie obowiązków religijnych, ale błagam cię bądź cierpliwa, mój aniele jestem młody, zballamucony światowem życiem, nie mogę się od razu poprawić.

—Na miłość Boga! najmiłszy mój Wacławie, nieusprawiedliwiał się. Jestem zupełnie szczęśliwa. Niewyobrażam sobie, czy może być szczęśliwszą kobieta; a choćbym miała jaką gorycz, nie domnie należy sądzić twoje postęпки.

Słodkie marzenie biednej Kasi, doszło do takiej potęgi złudzenia, wizja do takiego stopnia wydawała jej

się rzeczywistością, że kiedy służący wysłany przez niecierpliwego Wacława, stukając z lekka wdrzwi gabinetu zawołał: „Pan czeka na panią w sali!” Kasia uśmiechnęła się tylko i rzekła: „Patrz Wacławie co to za śmieszny człowiek! i zdało jej się, że mąż trzymał się za boki od śmiechu, i mówił do niej: „Nasz Wojciech musi mieć w czubku, trzeba wziąć drngiego lokaja.” — Służący powtórzył jeszcze raz polecenie, a nieodbierając odpowiedzi, ze zdumieniem doniósł o tem panu, który z niecierpliwości wszedł był już na schody, Wacław niespokojny pobiegł czem prędzej do żony i gwałtownie drzwi otworzywszy, niespodzianie stanął przed nią. Kasia nagle zbudzona z marzenia, widząc jeszcze w wyobraźni ulubioną postać męża, i spostrzegłszy przed sobą drugiego żywego Wacława, wydała przeraźliwy krzyk trwogi, pobladła i straciła przytomność w boleśnych histerycznych cierpieniach.

Wacław nic z tego niepojmując, niewiedział czemu przypisać ten przestrah żony. Kiedy się nieco uspokoiła, pytał się o przyczynę, ale w dziwnie zmieszanych jej słowach, przebijało się tyle obłąkania, że jeszcze więcej zawikłał się w swoich domysłach. Powtarzała mu nieustannie, że dziwne rzeczy dzieją się na świecie, że w tym samym czasie, kiedy z nim rozmawiała, drugi *on*, drugi Wacław wszedł do jej gabinetu, i jakimś dzikim na nią spójrzyał wzrokiem. Wszy-

stkie perswazje i dowody męża, nie mogły ją wyprowadzić z błędu. Przytaczała mu to, co do niej mówił i dziwiła się jakim sposobem własnych swoich słów niepamięta. Niezachwiana pewność Wacława, jego żarty, jego filozoficzne argumenta mieszały jej rozum co raz widoczniej. Ogarnęło ją jakieś obłąkanie, wpadła w gorączkę i mąż całą noc przesiedział przy jej łóżku w bolesnem zadumaniu. Ta scena z początku go przestraszyła, potem kiedy Kasia miała się lepiej, jej uporczywe przekonanie, że istotnie widziała dwóch Wacławów w swoim gabinecie, przyprowadzała go do śmiechu. Żał mu było też cokolwiek wieczoru, który tak przyjemnie spodziewał się przepędzić, jednakże opłakany stan żony, i marzenie w czasie gorączki, pokazujące najtkliwszą jej miłość, wzbudzały w jego sercu żywą litość dla biednej Kasi. Przez cały czas jej choroby, ani na krok nieoddalał się z domu. Wszystkie chwile z nią pędził, najczulej się nią zajmował. Lecz zaledwie przyszła do zdrowia, ciche pożycie domowe zaczęło go nudzić, świat z całą uludą swych błyskotek, zaczął go nęcić do siebie. Kasia spostrzegła to, i sama błagała go, żeby z jej przyczyny nieodmawiał sobie przyjemności. Oburzył się z początku, potem ustąpił i znów wszystko poszło dawnym trybem. On sobie bujał po Warszawie, ona siedziała w domu samotna i marzyła. Czasami jednak obowiązki towarzyskie i wo-

ła męża wyrwały ją z cichej ustronj gabinetu, i zmuszały do przykrych dla niej wizyt i zabaw. Te wycieczki w światowe koła salonów, były nader ciężkie dla duszy z przyjaźnionej z samotnością, tym więcej, że nigdy nie mogła się ustrzedz rostargnień, które uwagę wszystkich na nią zwracały i zasilaly zabawnemi anekdotami pobieżne salonowe plotkarstwo. Wacław ścigany grzecznem, ale dla człowieka światowego, bolesnem szyderstwem kobiet, od którego niemasz żadnego ratunku, niechętnie widział w swojej żonie tę szczególniejszą wadę charakteru, wstydzil się często za nią, i nieraz zbyt ostro z niej żartował. Powoli zaczęło szeptać, że małżonka P. Wacława z platonicznej miłości ku mężowi dostała fixacji, i zepsute umysły ludzi światowych, dla których nic nieznaczy wyszdyć najszlachetniejsze uczucie, zaczęły puszczać w obieg dziwaczne gadki, wyrobione zawsze na tle exeltowanej miłości małżeńskiej. Wacław widział sarkastyczny uśmiech na ustach każdego ze swych znajomych. Kobiety szczególniej drwiły z niego nielitościwie i nareszcie do tego stopnia doprowadziły utana, że człowiek poczciwy, co się dawniej chlubił przywiązaniem żony, płaskim zwyczajem ludzi światowych, począł się wstydzic zbytniej czulości swojej towarzyszki. Spekulował biednym swoim mozgiem, jakby ten płomień serca nieco oziębić.

Spokojne, błogie dotąd pożycie młodej pary, musiało się przez te spekulacje zachmurzyć, Kasia spostrzegła w mężu jakąś przymuszoność, nienaturalną, suchą grzeczność, nawet obojętność i szukając przyczyny takiej zmiany, po długim namyśle rzekła sobie: „Ma słuszość mój drogi Wacław; ja go za mało kocham, albo raczej mało mu okazuję moją miłość. On taki dobry, taki zawsze otwarty zemną, pod wpływem żalu, nieśmie mi wyrzucać moje obojętne postępowanie, i tylko żartując niby z przesadzonych moich uczuć, daje mi poznać potrzebę poprawy. O mój Boże! dla czegoż ja wprzód niedomyśliłam się jego szlachetnej urazy? dla czego dotąd nie wyprowadziłem go z błędu?!— Pojęła zupełnie przewrotnie zmianę w postępowaniu Wacława! Chiała go nieustannie pieścić, prosiła żeby ją częściej woził do salonów, pragnęła w każdej chwili być przy nim. Ułan się przeląkł; uwierzył na prawdę, że żona jego dostała pomieszania. Nieśmiało z nią pomówić otwarcie, bo wiedział, że rozumowanie jego przyjęłaby za znak zupełnej obojętności, i tkliwe jej serce niewytrzymałoby tego ciosu. Sprowadzał więc tylko doktorów z wielką ostrożnością, ale i ci nieuspokoili go. Każdy mówił, że jeśli umysł jej rozprzął się nieco, to taką moralną chorobę, moralnemi też wypadają leczyć środkami. Z resztą radzili spacer, zabawy i zimną wodę. Ułan był w desperacji, ale ta nie-

przeszkadzała mu nasmuciwszy się w domu, pomedytowawszy rano, bawić się po tém dobrze całe wieczory. Zresztą był karnawał, pora zabaw, po której następuje długi post, wystarczający dla człowieka światowego na smutki całego roku. Na ostatni bal proszono go koniecznie z Kasią. Prosiła młoda piękna kobieta, która po żonie zajmowała w jego sercu drugie miejsce. Nie mógł żadnym sposobem odmówić.

Dwa dni przed tym bale, umyślnie starał się byź z żoną zimnym, obojętnym, niezmiernie poważnym. Gniewał się za każdą żywszą oznakę przywiązania. Perorował o nieprzyzwoitości pieszczot w pożyciu małżeńskim. Stawił jej za przykład miłość naszych prababek. Malował z zapalem poety obraz dawnej polskiej białogłowy, kochającej męża, dzieci i krewnych; bez uniesień, bez exaltacji, bez powierzchownych oznak uczucia, a jednak daleko prawdziwiej i trwalej jak dzisiejsze kobiety, zepsute czytaniem romansów. Kasia martwiła się okropnie, ale niepojęła zamiaru męża, przeciwnie smutek podsycił jej exaltację.

I tą razą lękając się, żeby niecierpliwý Wacław długo na nią nieczekał, ubrała się na bal wcześniej i siadłszy sobie na kanapie pograżyła się w dumanie. Myśli jej układały się na tle miłości, w dziwnie piękne obrazy szczęścia jaśniejące nie ziemską barwą i nieopisaną rokoszą napełniały jej serce. Wacław nieodstępny

anioł wszystkich jej marzeń, był przy niej czuły, dobry, zakochany jak w pierwszych dniach znajomości. Rozmawiał z nią o tym błogim czasie i wyznawał z żalem, że się nieco przemienił. Nareszcie spojrzawszy na zegarek, rzekł do niej skwapliwie: „Czas jechać moja droga.” — Jedźmy odpowiedziała i poszła ku drzwiom. Ona naprzód, on za nią. Marząc i w marzeniu słysząc z tyłu za sobą stąpanie męża, przeszła przez pokoje, po schodach, aż na ulicę, gdzie stała zaprzężona karetka. Służący odemknął drzwiczki i dziwił się dla czego pani nie siada, a Kasia czekała póki mąż nieusiędzie. Po chwili, kiedy widmo jej wyobraźni usiadło i ona też weszła do karety i pojechała. Takim samym sposobem po przybyciu na miejsce, wysławiając sobie, że mąż idzie za nią, weszła do balowego salonu pełnego już gości. Przypadkiem pierwsza osoba co ją spotkała, była właśnie gospodyni domu, ta dama co miała drugie po niej miejsce w sercu ułana. Po przywitaniu, spytała ją z widoczną ironią, czy nie na pokucie zostawiła męża w domu? Kasia uśmiechnąwszy się z zapytania, które jej się wydało zabawnem roztargnieniem tej damy, pewna będąc że Wacław tuż przy niej stoi, rzekła jej żartobliwie: „Niewytrzymałby tak ciężkiej pokuty! przywiozłam z sobą nieboraka i oto mam honor zaprezentować go pani.” — Obróciwszy się spostrzegła, że nikogo przy niej niebyło, odgadła

natychmiast swoje zaślepienie i zrozumiawszy, jak okropnie skonpromitowała siebie i swego męża, zachwiała się od wstydu i trwogi. Porwały ją spazmy, śmiech serdeczny, boleść której skreślić niepodobna, w salonie powstało zamieszanie, szept, domysły,... w tém wpadł Wacław, niezmiernie zafrasowany, chciał wymyśloną historją wszystko zagładzić, ale już było za późno. Popsuł rzecz jeszcze więcej i nakoniec zabrawszy na pół martwą żonę, pojechał do domu.

Tą razą czuł więcej gniewu jak litości. Wiedział, że podobna scena, w wielkim świecie, zamiast tkliwego współczucia, wzbudza tylko szyderstwo i stało małżeńskie podaje na żądło obmowy, którego nic nie zdoła uhamować. Postanowił wziąć dymisią i wyjechać z Warszawy.

Stało się inaczej. Proźba o uwolnienie od służby, powoli przechodziła szczeble władz wojskowych, a tém czasem żona jego znękana cierpieniem wpadła w suchoty. Wacław mocno zmieniony w miłości, pędził najlekkomyślniejsze życie. Pojmując jak wiele się przyczynił do nieszczęścia biednej Kasi, dręczony wyrzutami sumienia, starał się widocznie głos ten wewnętrzny przytłumić w gwarze i odmęcie świata; raz zaś wstąpiwszy na bezdroże, niepostrzegł jak zaszedł daleko. Nie dość mu było salonów, poprzyjaźnił się z szaloną młodzieżą, która go wciągnęła do hulatyki i szulerki.

Grzęzł coraz głębiej w błoto. Czasami widok cierpiącej suchotnicy, jej anielska cierpliwość, oko Iżę zamglone, zwracające się w milczeniu do góry, jakby wśląd za cichą modlitwą o kroplę łaski Bożej dla męża, budziły wzbląkanym gorzką rozpacz, ale potem mówił sobie: cóż ja jej pomogę? — niekiedy Iżę uronił, ale szedł znów do swoich towarzyszków zapomnieć o wszystkim. Kasia, ofiara najczystszej miłości, nieoświęconej tylko błogosławieństwem matki, więdła i usychała z każdym dniem. — Dziwna rzecz! czego nie mogły dokazać żadne rady, żadne rozumowania, dokazała najskuteczniej choroba. Cierpienia fizyczne stały się lekarstwem dla choroby moralnej, i im więcej upadały siły ciała, tym jaśniejsze światło Opatrzność zlewała w jej duszę. Pokój wstąpił do jej serca, poznała swoje zaślepienie. Exaltacja jej znikła i zostało tylko słodkie chrześcijańskie przywiązanie do męża, oparte na fundamencie miłości Boga, tkliwe, ale poważne, wolne od wszelkiej gwałtowności, jak każdy obowiązek religijny. Wacław dostrzegał tej zmiany, ale jej niepojmował, Zdało mu się, że w chorobie i dawna miłość jej oziębła.

Pewną razą, kiedy przed wyjazdem na wieczor siedział sobie zamyślony w domu, służący oznajmił mu, że jakiś jegomość przyszedł go odwiedzić.

— Kto taki? spytał obojętnie.

— Mówi, że dobrze z panem znajomy, ale nazwiska swego niepowiedział.

Wacław wyszedł do salonu, spojrzął na gościa i krzyknął z radości.

— A! Henryku, cóż to tak prędko wracasz nam z zagranicy.

— Niechciało mi się rzekł Henryk, ale cóż robić *bon gré malgré*, musiałem powrócić; teścia moja mocno zachorowała.

— Jaka teścia? czyś się ożenił zagranicą? — pewnie z jaką namiętną Włoszką.

— O! nie! z Polką i znasz ją dobrze *mon cher cousin*. Ostatnie słowa wymówił dobitniej i uśmiechnął się.

— Co ty mówisz warjacie!... z Felicją?... czy to może być? żartujesz pewnie?

— Powiadam ci że tak jest w samej rzeczy. Patrzaj oto szlubny pierścionek z jej cyfrą i data mojego szlubu. Wesele miało być w Warszawie, bo chciałem żebyś na moją intencją potańczył, ale choroba matki popsuła nam rachunki i odebrawszy jej błogosławieństwo pobraliśmy się w Dreźnie.

— Hm! wieszuję! — mruknął ułan, jak gdyby go ta nowina do żywego ubodła. — Pewnie romans ciekawy? opowiedz mi jak się to stało?

— Najprostsza historia. Z początku zwątpilem, żeby mogła zapomnieć, *kogoś* dobrze ci znajomego. Inny

na moim miejscu byłby zwinął chorągiewkę; ja przeciwnie, poznawszy tę śliczną kobietę, nie mogłem się od niej oderwać. Wiedziałem z resztą, że zagranicą serce kobiety łatwiej jakoś dawne miłości zapomina, tym bardziej, że oko niewidzi wiarołomcy kochanka. Postanowiłem umrzeć albo się ożenić, i nakoniec wycierpiawszy Tantalowe męki, jak widzisz nie umarłem, ale ożeniłem się. Oto cała moja powieść. Dodaj tylko do tego, żeśmy się za granicą doskonale bawili, i że najlepiej wojażować z osobą, którą człowiek kocha.

—Cóż? i masz nadzieję być z nią szczęśliwym? — spytał Wacław zmieszany.

—Nie wątpię o tem mój kuzynku. Zdaje mi się żeś się szkaradnie omylił w jej charakterze.

—Dajże pokój, niewiem jak teraz, ale była wietrznicą, kapryśną, upartą...

—Gdzie tam! Wesoła to prawda, ale z gruntu dobra kobieta, tylko nie lubi nawet cienia moralów. Im więcej ją kto moralizuje, tem gorszą się staje. Już taka jej natura! Jeżeli chcesz jej co wpoić, albo ją ostrzedz, to niejnaczej jak żartem, albo zgrabnym sarkazmem, albo nareszcie doprowadziwszy ją w poufalej rozmowie do tego punktu, żeby sama spostrzegła swoją nierostropność.

—Nie ma żadnej religii.

— Mylisz się. Ona tylko nie lubi mówić o swojej pobożności, i im więcej kto jej prawi o obowiązkach religijnych, tym mniej przyznaje się do swoich prawideł. Rzecz pewna nie jest tak bogobojna jak Kasia, bo lekkomyślność i upodobanie w błyskotkach świata, wiele jej przeszkadza, ale wcale nie jest obojętną w wierze. Szkoda żeś nie był świadkiem, jak przykładnie odbyła przedszlubną spowiedź, z jaką czułością zalana łzami odebrała błogosławieństwo matki, ręczę ci żebyś się był zbudował.

— A czy dotąd jeszcze jak dawniej nienawidzi moją żonę?

— Zdaje mi się, że w tym względzie przemieniła się zupełnie.

— Dla czegoż, dawniej tak jej dopiekała?

— Wyłączne przywiązanie matki do Felicji od dzieciństwa, niedozwoliło siostrze szczerze się kochać. Pótem rozum Kasi kształcony przez ojca, jej poważny charakter, i skłonność do powtarzania ojcowskich moralów zupełnie je powasniły. A najwięcej zapewna różniła je niezgoda rodziców; Felicja trzymała stronę matki, Katarzyna ojca.

— Wiem o tém, ale nierozumiem, co tak mogło różnić rodziców. Starostawski przecie był najpoczciwszy człowiek, łagodny iak gołąbek...

— Powiedz, najszlachetniejszy człowiek! Ile mogą domy-

ślić się z różnych okoliczności, plan wydania panny rezydentki za starego marszałka, był ukartowany od matron na balu i nie bezprzyczyny. Żona moja nie jest rodzoną siostrą Kasi. Później Starosławski dowiedział się o wszystkim, i chociaż nikomu o tem nic nie mówił, chociaż w testamencie nawet niewspomniał, jednak żonie dał to uczuć i ztąd zniweczyła się wszelka między nimi zgoda. Z tego powodu marszałkowa znieawidziała swoje młodsze dzieci. Szczególniej póki żył Starosławski, dzieci te pieszczone przez niego, kształcone ubóstwiane, zawsze jej przypominały słabość przed szlubną; teraz przeciwnie, osobliwie w chorobie kilka razy już życzyła sobie je zobaczyć i pobłogosławić! Jak tylko będzie się miała lepiej, spodziewam się, że cała rodzina nasza przyjdzie nareszcie do zupełnej harmonii.

—Moja żona także słaba, i mocno słaba— chodź zobacz się z nią. Tylko na ten raz nic jej nie mów, ani o pokrewieństwie naszym, ani o matce. Przy jej czułym charakterze, te niespodziane wiadomości, a szczególnie wieść o chorobie mojej teści, mogłyby mieć najgorsze skutki. Poczekajmy pomyślniejszej chwili.

Nazajutrz rano Kasia kazała męża prosić do siebie i kiedy usiadł przy łóżku, rzekła mu spokojnie: „Wiesz Wacławie jaki sen miałam tej nocy?

—Znowu zapewne jakaś mistyczna wizja! — zawo-

łał Wacław z niechęcią. Wierz mi moje serce, że twoja skłonność do exaltacji, najwięcej ci szkodzi. Przyzwyczajwszy wyobraźnię do ciągłego natężenia, jesteś nieustannie otoczona fantastycznymi widmami, jakby w jakim śnie gorączkowym, nie żyjesz na ziemi, lecz w w prawdziwej krainie duchów. Czasby już moja duszo pohamować w sobie nareszcie ten popęd do marzycielstwa.

—Bądź spokojny Wacławie, kiedyś miałam istotnie tę słabość, lecz od czasu jak choroba przykuła mnie do pościeli, jestem zupełnie przytomną. Zdaje mi się, że jakaś zasłona spadła z moich oczu, widzę wszystko w innym jak dawniej świetle. Wizje i marzenia nastąpiły z mej duszy jak mgły poranku rostrącone promieniami słońca. Czuję błogi pokój w sercu, kocham cię czule, lecz spokojnie, bo myśl moja znalazła niezłomną pociechę i nadzieję w niewyczerpanem miłosierdziu Bożem. Nie wiem co mi sądzono, czy żyć jeszcze z tobą, czy pójść do Ojca? ale los mój w ręku Opatrzności, czegoż bym się miała trwożyć?

Ułan zapłakał w milczeniu.

—Poco te łzy Wacławie? rzekła cierpiąca łagodnym głosem, i podała mu wyschlą swoją rękę, — przestań mój drogi; niechciałabym, żeby twój smutek zakłucił mi tę jasną pogodę myśli, której teraz używam. Posłuchaj lepiej mego snu.

—Widziałam nieboczczyka papę. Stał przy moim łóżku, w szacie białej jak śnieg, z jakąś dziwną jasnością w około głowy, i smętnie na mnie patrzył. Ojciec mój! ojciec! zawołałam prędkoż znów będziemy razem? i chciałam dłoń jego ucałować; lecz starzec usunął rękę i rzekł mi, „śpiesz się córko pojednać się z matką, bo chwile życia twego są policzone, a z każdej zdasz rachunek sędziemu.” O ja nieszczęśliwa rzekłam, gdzie teraz znajdę moją matkę? wszak ona za granicą; gdybym ją choć na jeden moment ujrzeć mogła!... Patrz! zawołał ojciec i wskazał mi ręką w drugą stronę; spojrzałam tam, i spostrzegłam pokój mojej matki, i ją samą leżącą w chorobie na łóżku, a przy niej była moja siostra i niewiem dla czego Henryk....

—Boże! Boże! krzyknął przestraszony Wacław, widąc Henryk musiał niedotrzymać słowa, i szepnęła jej wczora, że matka przyjechała.

—Przepraszam! rzekł smutnym głosem Henryk wchodząc ostrożnie do pokoju Kasi; wczora nic nie mówiłem, ale teraz przyjeżdżam od staruszki z wyraźnym żądaniem, żeby Kasia natychmiast ją odwiedziła, bo ma się bardzo źle.

—O jedźmy co prędzej do niej, zawołała biedna suchotnica— Wacławie, zaklinam cię na wszystko nieodmawiaj mi tej ostatniej pociechy na ziemi, niepozabawiaj mnie przebaczenia i błogostawieństwa matki, wszak-

że ojciec mi powiedział, że chwile moje są policzone i z każdej mam zdać rachunek sędziemu." Wyciągnęła do męża drżącą rękę i z niemą boleścią oczekiwała zezwolenia. Wacław nie mógł się sprzeciwić jej woli, chociaż widział jak mało było już siły w ciele jej wycieńczonem chorobą. Posadzili ją tedy do karety, obłożyli poduszkami, i ostrożnie pojechali.

Kiedy przybyli do mieszkania marszałkowej, cały dom był zebrany w pokoju staruszki, konająca trzymała w rękę śmiertelną gromnicę. Ksiądz śpiewał nad nią psalmy pokutne. Felicja i wszyscy domownicy płacząc, wtórzili pieniom kapłana. Umierająca miała oczy nieruchomie ku drzwiom zwrócone, usta jej szeptały wewnętrzną modlitwę, ręka bezskutecznie usiłowała się podnieść z piersi, kiedy przytomni żegnali się znakiem krzyża świętego.

W tej chwili weszła Kasia podtrzymywana przez Wacława i Henryka. Staruszka nagle zerwała się, usiadła na pościeli i zawołała głośno: „pódź sam zbłąkana córko moja na łono matki — i kiedy na pół zemdlona Kasia klękała przy łóżku, przeżegnała ją z lodowaciałą już ręką mówiąc: „Błogosławię ciebie i twego brata w Imię Ojca i Syna i Świętego Ducha! przebaczam wam i wy mi przebaczcie. Potem upadła na pościel i Bogu ducha oddała.

Po kilku dniach z dwóch różnych ulic, dwa pyszne

pogrzeby ciągnęły razem na Powązki. Wszakże na smętarzu jedna tylko była mogiła i w tej położono razem marszałkową i jej córkę Katarzynę.

Kiedy wszyscy wracali z pogrzebu, Wacław ocierając ostatnie łzy, wziął Michała za rękę i rzekł — jeszcze raz powtarzam ci, żem ja najwięcej winien śmierci twojej siostry.

— A ja ci mówię — odrzekł z westchnieniem Michał, że to jest palec Boży, nie ludzkie dzieło. Niemasz dla niewiasty szczęścia w małżeństwie bez błogosławieństwa matki! Kasia przez przywiązanie do ciebie i pod wpływem cierpień domowych, pozwoliła sobie złamać ten zakon wspólny wszystkim religijom. Kasia padła ofiarą własnej winy. Miłość była źródłem jej błędu, miłość też stała się dla niej narzędziem kary.

ELEONORA SZTYRMER.

Petersburg.

Lipiec 1838 roku.

FANTAZJA,

D O

Dnie me spłynęły, jako sny złowieszcze,
 których wspomnienie gorycz w sercu budzi,
 A choć tęscliwe, tak jednak je pieszczę,
 Jakbym się mienił najszczęśliwszym z ludzi.
 Bo w drodze życia miałem dnie swobody,
 Gdzie dusza wolna szczęściem się poila,
 I otrząsnwszy ziemskości zarody,
 W krainę szczęścia szybko się wznosiła.
 I tam mieszkając bez celu i planu,
 Bała się wrócić do pierwszego stanu.
 O! w życie takie któż mnie dziś wprowadzi,
 Kiedyś samotny wśród świata i ludzi,

Gdy terazniejszość całą przeszłość gładzi,
 A myśl o szczęściu już mnie dziś nie łudzi;
 I obojętność wmieszana w nadzieję,
 W sercu truciznę i boleści sieje.—

Pierwsze dni słodkich młodociannych marzeń,
 Nad brzegiem Zbrucza w mej głowie zasiałem,
 Byłłem szczęśliwy z moich wyobrażeń,
 Choć im i myśli i serce oddałem?
 I cóż zyskałem że młodzieńczą duszę,
 Rzuciłem w senność gdzie szczęście się nie śni?
 Zebrałem plony — ułudę, katuszę,
 Żal wszystkich wspomnień i żal wszystkich pieśni.

Rzucony później w kraj piasku i błota,
 Ujrzałem nowy cel mych wyobraźni,
 Lecąc do niego przez złociste wrota
 Schwyciłem miłość, żądając przyjaźni. —
 Gorzka nadzieją — z tobą żyjąc długo,
 W tobie dla serca szukałem pociechy —
 I cóż zyskałem będąc twoim sługą?
 Za pieśń,— dziękczynność; za miłość,— uśmiechy!

Jak więzień długie przesiedziawszy lata,
 Zwolna przywyka do murów więzienia,
 Polubi kraty, odwyknie od świata,
 Stawszy się głuchym na własne cierpienia;
 A uwolniony z tak długiej niedoli,
 Ujrzy się obcym wśród ludzi, bez skazy,

Wzdycha do kajdan, i w zeszej niewol.,
 Chce widzieć szczęścia minione obrazy!
 Tak ja rzuciwszy przeszłości wspomnienia,
 Wróciłem chwilę na podolskie niwy,
 A choć swobodny z dawnego cierpienia,
 Jednakże wówczas niebyłem szczęśliwy.
 Bo już przywykłem omamiać sam siebie,
 Przywykłem latać swobodnie po niebie,
 I czerpać w myśli dziwne wyobrażenie,
 Szczęście nadziemskie i piekielne kaźnie!

Jak dzień rocznicy człowieka urodzin,
 Przywodzi myśli spłyniony wiek ranny,
 Tak mi najmiłszy z życia mego godzin,
 Drugi lutego, dzień Gromnicznej Panny.
 W dniu tym jak dzisiaj przypomnieć jest miło,
 Gdy wśród zebranych biesiadników grona,
 Twoja naiwność żartem podbudzona,
 Duszę i serce w nowy świat wtrąciło.

Pomnę tę chwilę, choć dziś z twej pamięci,
 Brzegi Dniestrzańskie zgładziły wspomnienia,
 Myśl jednak moja czas ten jeszcze święci.
 Niechając go puścić w odmęt zapomnienia.
 Bo jeszcze dla mnie na przeszłościach fali
 Świecisz nadzieją jako gwiazdka złota,
 Przytłumiasz ogień co w sercu się pali,
 Uśmierzasz burzę co mą duszą miota —

O! ile wspomnień dnie te mi przywodzą,
Chociaż się one więcej nieodrodzą,
Bo twoja dusza, cała twoja postać,
Myślom w przeszłości kazała pozostać.
Tam widzę wszystko jak gdyby na jawie,
Słyszę twą wolę, co niebo rokuje,
I wątek uczuć, dziś zgładzonych prawie,
W tej chwili jeszcze w sercu wyczytuję.
Lecz czyż to wróci, coś sama stłumiła,
Powiedz mi okiem, gdy lękasz się słowa,
Zagaś nadzieję coś w sercu wzniciła,
Niech w twoim oku, będzie twoja mowa —
Wszak to talizman — gdzie jednym obrazem,
Boleść i radość malują się razem,
Gdzie dusza zлана w jeden punkt ogniska,
Całą swą mocą i wielkością błyska.
Tym talizmanem wyjaśń przyszłość moją,
Ukróć niepewność, uśmierz niepokoje,
Lub pozwól duszy że ze snu zbudzona,
Te słowa wrzuci do twojego łona —
O przyptynę ja kiedyś we wspomnień łańcuchu,
Zatrzymam się... wspomnienia krokiem się nieruszają,
Aż powiesz: „natrętny duchu,
Ciężysz nad moją duszą, twoją cichą duszą,
Jak księżyc mórz oczyma, podnoszący ciemnie,
Jesteś wszędzie, koło mnie, nademną i we mnie.”

Luba, jam koło ciebie, i z tobą i w tobie,
Nieprzychodzę wyrzucać, ani przypominać,
Ani śmiem błogosławić, ani chcę przeklinać,
Przyśniło się mi tylko kilka pytań w grobie....

EM. KAR. SIEDR.



D O

SUCHEJ GAŁĄZKI.

Gałązko zdjęta z rodzinnego drzewa,
Wichrem pędzona w oddalone kraje,
Pęk twego kwiatu w owoc niedojrzewa,
Bo mu już słońca i życia niestaje.

Gałązko uschła, tve liście rozwiane,
Wiatr tocząc niesie na dzikie bezdroża,
Tak moje myśli lecą skołatane,
Bo dla nich dawno zgasła szczęścia zorza.

Biedna gałązko! błędzisz po zagonie,
Trudno ci przyłgnąć do obcego krzewu,
Ni tobie wrócić na dawne ustronie —
Ty drzysz miotana od wiatrów powiewu.

A twoja postać, jak zmarłych skielety!
Jak cień przeszłości, — odarta z nadziei;
I mojej wiosny zwiędły już bukiety,
I ja dni wlokę w podobnej kolei.

Ja ciebie przyjmę gałązko zwiędnięta,
Będę odwilżać codzien łzami memi,
Tyś dla mnie jedna z drużyny została,
Będziemy razem błędzić na tej ziemi!

ANIELA z KOZŁOWSKICH MARCINKOWSKA.

1843 roku.

Stary Konstantynow.



SPIEW.

NAŚLADOWANIE.

Nie dla mnie rannęj zorzy świt,
 Nie dla mnie jasna twarz słońca,
 Jak radość błoga, mamiąca,
 Nie dla mnie! nie dla mnie jej byt!

Nie dla mnie! gdy zejdzie, nieci
 Roskosz życia i na niebie,
 Ze smutku mnie nie wygrzebie,
 Ona nie dla mnie już świeci!

Nie dla mnie pòla - i gaje
 Cudowną szatę przywdziały,
 Boską roskosz tchnie świat cały,
 I słodycz nie dla mnie daje!

Nie dla mnie źródła i rzeki!
 Nieugaszą mych płomieni!
 Ich szmer duszy mej nie zmieni,
 Snem nie skleji mej powieki!

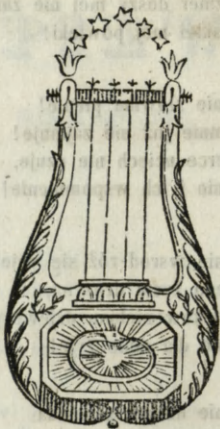
Nie dla mnie słowika pienie!
 Ono mnie już nie zajmuje!
 Me serce uciech nie czuje,
 Nie dla mnie i ich wspomnienie!

Nie dla mnie wśród róż się wije!
 Błogiego życia drożyna,
 I wdzięków niebian dziewczyna,
 Niestety! nie dla mnie żyje!

Nie dla mnie miłych gromada
 Przyjaciół zbierze się w koło,
 Jam nie ich! — zejdzie wesoło
 I bezemnie ich biesiada!

Dla mnie przyjdzie radości czas,
Gdy w dzień najmniej spodziewany
Wejdzie! powie! gość żądany
Niepotrzebnyś tu! choć do nas!

ANTONI GOLEK.



DREWNIANY DZIADER.

I

KOBIETA INSEKTA.

P O W I E Ś Ć.

Już słońce skryło się na zachodzie, niebo było pogodne, powietrze ciche, w lesie odzywały się melodyjne i dzikie krzyki ptaków; bliski czas był noclegu, a więc spieszyłem co prędzej zostawić cienie lasów. Wychodząc w pole postrzegam na wzgórku szlachecki domek dobrze zagospodarzony, na urodzajnych niwach dojrzewały złote kłosa, i liczne bydło rycząc powracało z pola. Zau-

fany będąc w uprzejmej gościnności białoruskich mieszkańców, zwracam tam na odpoczynek po całodzienną podróżą. "

Widzę człowieka powracającego z pola, już lat podeszłych, twarz ogorzała od słońca, kapota z szarego domowego sukna, na głowie przeświecał się włos siwy, w twarzy widać była spokojność i czerstwość zdrowia. Domyślając się że to był gospodarz, witam go i proszę by był łaskaw pozwolić odpocząć z podróży do dnia następnego.

— Proszę, proszę odpowiedział z uprzejmnością, teraz dnie porządne, można być daleko nie spiesząc — Pewnie Pan Bóg prowadzi do Połocka, ztąd jeszcze czterdzieści wiorst drogi przez puste i piaszczyste bory, jednemu, a jeszcze pieszą, smutno i niedobrze podróżować wśród ciemnej nocy.

Gdy się zbliżamy do mieszkania, dwa psy ogromne spotkały nas na dziedzińcu i srogo poglądały na mnie.

— Nielękaj się rzecze gospodarz, dla przychodzących one nie są straszne, lecz dzikim zwierzom niepozwoła zbliżyć się do mieszkania i dla bydła najlepsze stróże, w naszym gospodarstwie takie psy bardzo drogie, wilków mnóstwo i niedźwiedzi, nieraz napadały na obory sąsiednie.

W prowadził mnie do świetlicy, gdzie były stół, krzesła i inne sprzęty domowe z brzoźowego drzewa pro-

stej roboty, lecz wygodne. Na ścianach w rakitowych ramkach wisiały obrazy, Zbawiciela, Matki Boskiej z podpisem w dole *Klauber sculpsit* i sztychowane niegdyś w drukarni Połockiej Ś. Ignacy Lojola, Andrzej Boboli, Franciszek Ksawery i inni. Na szafie w kącie postrzegłem jakąś głowę drewnianą, z nosa i łysiny podobna do portretu Sokratesa, twarz pokłuta, poszarpana, i opalona w niektórych miejscach.

Z ogrodu przyszała gospodyni okrążona dziećmi, starsza córka którą nazywała Anielą, miała włos czarny, postać piękną, wzrok żywy i tyle ją obdarzyła natura, że bogate klejnoty i jedwabie do jej piękności nicby dodać nie mogły, z wielką przyjemnością patrzałem na tę szczęśliwą rodzinę.

— Jesteś że z tego powiatu, lub z dalekich stron podróżujesz? rzekła gospodyni domu.

— Znajome mi od dzieciństwa okolice Połocka, lecz szukając losu przeżyłem wiele lat daleko, teraz zwiedzam te strony. O! jak wielkie widzę odmiany, góry i lasy tylko utrzymały dawny swój widok.

— A dawno jak zostawiłeś rodzinne strony?

— Już mija rok ośmnasty.

Gospodarz poglądając na mnie, rzecze, zdasię, że cię kiedyś widziałem w tych stronach, lecz nazwiska przypomnieć nie mogę.

Powiedziałem mu moją familiję, on zradością chwycił

mię za rękę i rzekł: „Jestem Z.... byliśmy kiedyś koledzy szkolni, i tu poszła długa rozmowa, o szczęśliwej przeszłości, o młodych towarzyszach i nauczycielach szkół Połockich, o znajomych, kto gdzie i jak żyje, kto i kiedy zostawił swoją rodzinę, o starcach którzy już przeszli do wiecznego mieszkania. — Potym Pan Z... zdjął szafy drewniany biust. — A tego staruszka czy przypominasz? kiedyś to on lepiej wyglądał; kiedy wysunąwszy się z za ściany przez ciasne okienko dawał nam rady i przestrogi, teraz z twarzy jego możesz widzieć, ile i on musiał przecierpieć, póki tu trafił do mnie, on dla mnie drogą jest pamiątką, patrząc na niego wspominam te mądre przestrogi, i powtarzam one dzieciom moim, ten synek mój malenki, dobrze wie co pozwala i co zabrania ten dziadek drewniany.

— O! musiał ten dziadek przejść straszne koleje po rozstaniu się z cieniem klasztornym, okrutnie świat jego przywitał, głowa prześwidrowana, oczy przekłute, usta opalone; ludzie nie lubią prawdy, lecz pewnie on będąc na świecie, był niemy i nikogo nie obrażał na pomnieniu.

— Trudno ludziom dogodzić, może cierpiał za to, że milczał — powiem o jego wędrówkach i o innych dziwnych zdarzeniach, o których słyszałem od osob mieszkających w naszym sąsiedztwie. — A teraz podróżnemu trzeba się posilić.

Stół nakryto, podano wódkę i zakąskę; Aniela dobyła z szafy dojrzałe maliny, które zebrała sama w ogrodzie i wyborne jabłka. Tu Z... chwalił swoje owocowe drzewa, które sam sadził i szczepił, gdy mię częstował i zachęcał do jedzenia uprzejmy gospodarz. Odmykają się drzwi, wchodzi sędziwy starzec wspierając się na kij, głowa i wąsy białe, był to niegdyś ogromny i silny mężczyzna, lecz brzemie wieku nachyliło wyniosłą jego postać.

— Jak się masz panie rotmistrzu, w dobry czas trafiłeś, rekomenduję ci gościa miłego, niegdyś kolega mój szkolny, daleko gdzieś się błąkał po świecie i teraz po wielu latach odwiedził swoją rodzinę, przepędzimy razem wieczór na przyjemnych rozmowach, znajdzie się o czym mówić po tak długim niewidzeniu.

Nie wiele czasu przeszło już i samowar przyniesiono, nalewa się herbata, pan stary rotmistrz siadając przy stole, rzekł do gospodyni: „Moja pani dawniej herbata była lekarstwem od bólu głowy, a teraz bez niej i żyć nie mogą, jaka odmiana w świecie.

Pan Z... postawiwszy szklanke na stole — słuchaj teraz rzekł do mnie, opowiem tobie o dziwnych zdarzeniach z drewnianym dziadkiem dzieci choć może nie raz słyszały te opowiadanie, ciekawe spokojniutanko stanęły przy ojcu.

Co się zdarzyło z Drewnianym Dziadkiem.

W Połocku kiedy Jezuickie mury przerabiano wedle nowych rozporządzeń, wyrzucano razem z gruzem wszystko to, co było niepożytecznym i bezpotrzebnym, osądzony był i ten biedny dziadek na tę wzgardę; zasypany wapnem i potłuczoną cegłą leżał blisko ścian tych gmachów, farba włosów i twarzy już wiele się zmieniła od dżdżów i upałów; robotnicy kupca najęci dla oczyszczenia tych miejsc, wykopali go z pod gruzu, przynieśli do swego gospodarza, sądząc, że może na co się mu przyda, kupiec zamyślony patrzył na tego dziadka, i sądził że to musi być portret jakiegokolwiek wielkiego człowieka, zawołał do siebie faktora Żyda Załmana, pytając się co znaczy ta twarz drewniana, może ma na sobie rysy wodza, lub mędrca jakiego dawnych czasów.

— Znam dobrze uśmiechając się rzekł Załman, ani wodza, ani mędrca, ale ta głowa kiedy wyglądała z muru to gadała, mówią, że niekiedy bardzo rozumnie, ja ją sam widziałem.

— Gadała? cóż to do licha, drewniana głowa, pewnie przez jakie czary?

— A może i czary, na co ona tobie, odstęp mnie, ja za nią nagrodzę.

— Chcesz jak widzę mnie oszukać plotąc takie dzi-

wy niestworzone, drewniana głowa gadała, to być nie może.

Podczas tej rozmowy żyda z kupcem, zbliżył się ktoś ubrany po nowej modzie, może to był jaki urzędnik, lub nauczyciel i patrząc na drewnianego dziadka, — to głowa Greckiego filozofa Sokratesa, czytałem o nim i widziałem jego portret, jak ta twarz podobna, on wiele od swej żony Xantypy przecierpiał, i za prawdę którą ogłaszał światu.

Kupiec rad będąc, że znalazł taki skarb, portret wielkiego Sokratesa, słyszał niegdyś o jego rozumie i cierpieniu, odpędził żyda od dziadka, postanowił go mieć na wsi w swoim domu i niekiedy mówiąc o cierpliwości Sokratesa, naganiać postęпки swej żony, gdyż i jego małżonka Efima była podobna do Xantypy.

Po kilku dniach, już dziadek drewniany z kupcem przejechał na wieś, w odległości na kilkadziesiąt wiorst od Połocka, gospodarz wniosł do izby, z chlubą pokazuje swej żonie, tłumacząc jej, że to portret sławnego Greckiego mędrca.

Efima patrząc z ukosa na dziadka — Te straszdyło drewniane z brody i z nosa podobne do ciebie — otoż warto było wieść jego z sobą.

Próżno mąż przekonywał, że to jest wielka rzadkość i już nieszczęsny dziadek miał być wyrzucony z domu i nocować pod odkrytym niebem, na szczęście przy-

szedł sąsiad i przyjaciel, uśmierzył krzyk Efimy, i wmówił jej, że ta twarz nic odrażającego w sobie nie miała, może być, że to wyobrażenie jakiego pustelnika lub mnicha, który niegdyś świętobliwie prowadził życie, a przeto zasługuje na jakikolwiek szacunek.

Zgodziła się nareszcie Efima zostawić w domie tego dziadka, jednakowoż nieraz plwała na niego nazywając straszylem, i ciągle poglądała gniewliwym okiem. Gospodarz tłumaczył przyjacielowi swemu, że to jest portret sławnego mędrca Sokratesa i pomieścili go na ścianie między dwoma oknami.

W nocy kiedy wszyscy spali, jeszcze nieprześpiwał kogut, Efima z krzykiem porywa się z pościeli, budzi swego męża, aby natychmiast zapalił ogień, że ten dziad drewniany przestraszył ją i ona cała drży z przelęknienia, mąż wstał zdziwiony tym wypadkiem i oświecił izbę.

— Ten dziad drewniany rzekła Efima, przez całą noc w okropnych mi się marzył postaciach, uciekałam od niego przez dzikie lasy i bagna, on ciągle pędził za mną z ognistą pochodnią i chciał mię wtrącić w jakąś przepaść buchającą płomieniem, gdy się obudziłam z tych snów drżąc z przestachu, przy świetle księżyca zobaczyłam go na ścianie, pałały mu oczy i okropnie poglądał na mnie, ach! zmiłuj się wynieś te straszdyło precz z izby.

Mąż przypominając słowa żyda, że on kiedyś rozmawiał, myślał sam sobie, a może być i prawda, że w nim kryją się jakie czary, jednakowoż nic o tym nie mówiąc swej żonie, wziął dziadka ze ściany wniósł do piekarni, postawił na piecu, a Eſimie starał się w mówić, że te sny i groźne oczy dziadka, jej się marzyły od niespokojnych myśli, jednakowoż ogień palił się noc całą i Eſima ledwie zasnęła spokojnie przed świtaniem.

A tak dziadek w piekarni na piecu zapomniany przez kilka tygodni, cały poczerniał od dymu, który tam co dzień pływał pod sufitem jakby chmura jaka. Poniekąd czasie służące kupca i kilka jeszcze dziewcząt tej wsi, zdjęły dziadka z pieca, z zamiarem postraszyć parobków, którzy po wieczerzy o ciemnej porze mieli zamiar iść spać na siano, a więc uprzedzając ich przyjście pośpieszyły do odryny, obwiązawszy prześcieradłem pęk słomy, na którym w górze sterczała głowa dziadka; chciały postawić jakby upiora przy ścianie, w tym nagle około nich zrobił się szum nadzwyczajny, i oczy dziadka zaświeciły ogniem; dziewczęta z krzykiem rzuciły się do ucieczki, niektóre bez tchu padły na drodze, inne zaś wbiegły do chaty blade jakby trupy; dowiedziawszy się o tym zdarzeniu pośpieszyli na ratunek omdlałym, ledwo je przywrócono do życia, pęk słomy i dziadka znaleźli leżącego przy

ścianie. Tu Efinia krzyczała, że on ma diabła w sobie, gospodarz i inni mężczyźni dowodzili, że one miały te zdania z przyczynę lęklivego charakteru, jednakowoż już dziadek niepowrócił do chaty, rzucony w odrynie leżał tam na wilgotnej ziemi.

Rozniosła się wieść o tém zdarzeniu po całej okolicy. Uswojski karczmarz ze wsi, która o pięć wiorst była odległa od mieszkania kupca, słysząc takie opowiadania o drewnianym dziadku, niewierzył tym dziwom, będąc lat piętnaście lokajem przy dworze pana N., przeczytał kilka romansow tłumaczonych z francuzkiego jezuka i już wszystkie zdarzenia nadzwyczajne były dla niego pojęte, cudy i czary nazywał głupstwem. Jednakowoż ciekawy widzieć drewnianego dziadka, przyjechał do kupca, poszli do odryny, znaleźli tę głowę walającą się w ciemnym kącie, której powierzchowność już zaczęła pleśnieć od wilgoci, gospodarz dowodził jemu, że to jest głowa Sokratesa, który przed światem odkrywał prawdę i był znieawidziany od żony, Uswojski powierzył temu, bo i sam nieraz słyszał rozmawiających o tym sławnym filozofie Greckim; i prosił kupca aby mu odstąpił tego dziadka, za co wódką lub czym innym jemu odwdzięczy, zgodził się na to kupiec, gdyż wiedział, że jego żona nigdy się nie pogodzi z głową nie-szczęśliwego mędrca.

Uswojski przywiozł go do swojej karczmy, pomie-

ścił w kącie na ławie za długim stołem, i kto tylko przyszedł do niego, aby wypić kieliszek wódki, on z chlubą pokazywał drewnianego dziadka, dowodząc, że twarz zupełnie jest podobna do dawnego mędrca Sokratesa, który cierpiał i umarł za prawdę.

Przeszło kilka tygodni, w dzień święty zebrało się wiele do karczmy rolników i służących przy dworze pana N. po zachodzie słońca, już zmrokiem, pijanym dworakom przyszło do głowy poswawolić i pożartować z Uswojskiego. A więc gdy się karczmarz na czas niejaki oddalił z domu, wzięli tego dziadka, prześwidrowali zwierzchu w dwóch miejscach głowę, naleli tam wody, przekłuli oczy szydłem, krople wody jakby lizały się po twarzy i płaczącego dziadka, znów postawili w kącie za stołem.

Ledwo Uswojski wszedł do karczmy, oni pokazując na dziadka, patrzaj twój Sokrates płacze, pewnie nie dałeś mu wódki, albo innym czymkolwiek skrzywdziłeś.

Gdy karczmarz z zadziwieniem poglądał na dziadka, wnet na podwórzu psy podjąwszy pyski w górę wyć zaczęły, ryczało bydło w oborze, kury zlatując z miejsca noclegu, niespokojne z krzykiem biegały po ziemi, wiatr szumiał około karczmy, na wszystkich okropna napadła trwoga, przyszedł czad wódki, wszyscy udali się do modlitw, aż póki się to nie uspokoiło. Słyszalten

także, że ci swawolnicy kiedy powrócili do dworu, pan niewiadomo z jakiego powodu był nadzwyczaj niespokojny i pałał gniewem, i za to że się bawili długo w karczmie, kazał ukarać różgami.

Uswojski opatrzył dziadka i opowiadał wszystkim te zdarzenie, prosząc każdego, aby nieczynili mu żadnej zniewagi; przeszło kilka miesięcy i wszystko poszło w zapomnienie, i samże karczmarz mając w domu u siebie gości sąsiadów i kuzynów, podweseliwszy się dobrze, zapomniał o wszystkim, i obracając się do drewnianego dziadka, rzecze, ty wódki z nami nie pijesz, wypal choć cygaro, mam kilka darowanych od przejeżdżającego pana, dla ciebie niepożatuję, i zapaloną cygarę włożył dziadkowi do gęby; w tym w biegają sąsiedzi i krzyczą, że dach karczmy pali się, otrzeźwiał karczmarz, wybiegli goście, zebrał się lud zrzucili dach karczmy i ledwo ją uratowali od pożaru.

Miał to w sekrecie Uswojski, myślał jakby wyprawić z domu tego dziadka, obawiał się z nim postąpić niegrzecznym sposobem, rzucić do ognia lub do wody, bo już doświadczył jak on karze za wyrządzone krzywdy, a więc czekał tylko zdarzenia, czy nie będzie miał kto ochotę jego nabyć, a tym czasem już nie w kącie za stołem, lecz zawsze miał zamkniętego w szafie.

W tychże stronach na wschód za lasem żył Pan Cha-

packi, miał kilku poddanych chłopków, był kilka trygenium assessorem, a potym podsędkiem, uczył się niegdyś w szkołach i skorzystał z nauk, że niczemu nie wierzył i drwił ze wszystkiego.

Przejeżdżając się sam jeden na lekkich drożkach, odwiedził karczmarza, z którym go oddawna przyjaźnił interes komercyjny, przez niego bowiem zbywał i nabywał konie, których był wielkim amatorem. Uswojski chcąc zbyć z rąk drewnianego dziadka, wydobył go z szafy i stawiając na stole — Oto panie sędzio jaką mam rzadkość, niech pan zgadnie, ta twarz do kogo jest podobna?

— Chapacki poglądając, jakiś chłop rzece, łysy i brodaty.

Nie panie sędzio, to nie chłop, to twarz wielkiego niegdyś mędrca Sokratesa, ja to wiem najlepiej, wielkie sekreta i teraz jeszcze kryją się w tej głowie, znam pana od dawna i w dowód tylko mego szacunku i przywiązania mogę tę rzadkość ustąpić panu — i opowiedział obszernie wszystko, co się zdarzyło u kupca i w jego karczmie.

Chapacki śmiał się do rozpuku słuchając tych awantur i dziwił się prostocie i głupstwu ludu, dobył z kieszeni tabakierkę, — nu dziadku rzece, gniewałeś się za cygaro, a ja ciebie potraktuję dobrą tabaczką. To mówiąc nos dziadkowi zasypał szczyptą tabaki.

— Co robisz panie sędzio, dalibóg żeby z tego nie-
było źle?

— Niełękaj się, on się za to nierozgniewa, wszak
to głowa jak mówisz sławnego mędrca Sokratesa, a
wszakież mądre głowy lubią zażywać tabakę, bo to im
pomaga do myślenia.

Uswojski przeżegnał się i modlił w sekrecie, bojąc
się, aby się cokolwiek nie zdarzyło w jego karczmie.

— Niełękaj się, u mnie dziadek nie będzie swawolić,
bo ja i sam także niemniej umiem od Sokratesa. No po-
żegnaj się z nim panie Uswojski — siadł na drożki,
położył dziadka na kolanach, zaciął konia i znikł przed
oczyma karczmarza, który stojąc długo przeprowadzał
go wzrokiem.

Było to po południu nie więcej godziny półtora,
dworek pana Chapackiego za lasem odległy od kar-
czmy nie dalej wiorst cztery, jednakowoż dziwna rzecz,
koń w biegu niewstrzymanym mijał góry i lasy, jez-
dziec widział co raz nowe obrazy miejsc nieznanomych,
mijały blisko drogi wsie, dwory i pola, lecz nigdzie nie
mógł postrzedz swego mieszkania, spotykał podróżnych,
chciał się od nich dowiedzieć w jakie się strony za-
błąkał, lecz koń jego był tak bystrym w biegu, że nie
mógł się rozmówić kilku słowami. Słońce skryło się
za góry, już wieczor, droga się pokryła szarym zmro-
kiem, koń pobielony pianą, już cicho postępował. Cha-

pacji myślał o tym, aby trafić do wsi, tam przenocować i rospytać się o drodze. W tym nagle czarna chmura pokryła niebo, noc tak zrobiła się ciemna, że o krok przed sobą nic niewidział, i razem deszcz ulewny; nie-szczęśliwy podróżny nie wiedział co począc, przy świetle błyskawicy obaczył blisko drogi malenką budowę, był to smętarz i od dawnych lat tam drewniana stała pusta kaplica; zwraca z drogi Chapacki, aby skryć się przed burzą, od wiatrów w spokojnym miejscu za ścianą postawił konia, sam zaś wchodzi do kaplicy i w kącie stojąc czekał póki przeminie ta zawierucha, dostał z kieszeni tabakierkę i tylko otworzył, aby zażyć tabaki, przy świetle nagłej błyskawicy, obaczył jakąś ogromną suchą rękę nad tabakierką, już była gotowa wziąć szczyptę tabaki, przełękniiony wypuścił z rąk tabakierę, wybiega za drzwi i niedbając na deszcz i wiatry uciekał w pole sam niewiedząc gdzie. Szczęście, że w prędkim czasie uleciały te chmury i on na wschodzie zobaczył ranną jutrzenkę i wieś niedaleko na wzgórku, pośpieszył tam, spotkał kilku wieśniaków idących z kosami na łąki, od nich dowiedział się, że on blisko Witebska, kilkadziesiąt wiorst od swego domu; w towarzystwie kosarzów przyszedł na smętarz, znalazł konia i drożki na miejscu i tabakierkę w kaplicy na ziemi, lecz dziadka tam nie było, i on niepamiętał gdzie i jakim sposobem jego stracił; w przeciągu kilka dni

powrócił do domu, i od tego czasu pan Chapacki bardzo dobrze wiedział, że są i jemu rzeczy niepojęte choć umiał niemniej Sokratesa.

W przeciągu roku prawie, dziwne wieści nosiły się o dziadku; mówiono, że jakoby jakiś pielgrzym, nosząc go w rękę jawiał się w niektórych wsiach, uczył lud bojazni Bożej, napominał ich, ażeby oni szanowali dawne zwyczaje i obyczaje swoich przodków, żeby nieodstępowali od prawdziwej wiary. Słuchających i nabożnych ludzi błogosławił, od zepsutych i niewiernych uciekał.

Inni mówili, że przed zachodem słońca było raz-dziwne zjawisko, widzieli to pastusi i orecze, że jakaś piękna kobieta na łące, w białym odzieniu, podobna do anioła, wiankami rozmaitych cudnych kwiatów ubierała głowę temu dziadkowi, i gdy oni powodowani ciekawością szli, widzieć bliżej te zjawisko, ta kobieta jakby duch jaki oddalała się od nich, ni rowy, ani gęste krzaki przeszkodą jej być nie mogły, w biegała na jezioro i jakby obłok biały unosiła się nad jasną wodą i znikala. — Wiele podobnych i innych było rozmaitych powieści.

— Teraz opowiem jakim sposobem po długiej i dziwnej wędrówce, ten dziadek drewniany trafił nareszcie do mnie. — Znasz dobrze naszą Białoruś drogi gościu, przy wszelkich nieurodzajach, jeden produkt tylko, któ-

ry najwięcej zaspakaja nasze domowe potrzeby, a ten jest len, jeśli Pan Bóg komu błogosławi na polu. W zaprzeszłym roku miałem dość tego towaru, u nas skupują kupcy, i razem zebrawszy z całej Białorusi, Dzwina na strugach pławią do Rygi. W tym więc interesie przyjechałem do kupca, chcąc jemu zbyć swój towar. W tym domie znalazłem wielki rozruch, jego żona Efima od wielkiego przełknięcia i gniewu mało cały dom nieburzyła, wyrzekając na swego męża, że on przywiozł zaczarowane straszdyło, które ciągle jej nie daje pokoju, kupiec tylko że przed godziną z drogi powrócił do domu i uniawinniając się przysięgał przed nią, że on zupełnie w tym nie jest winien; ledwo się ten rozruch cokolwiek uspokoił, zapytałem u kupca o przyczynie tak wielkiej niespokojności jego żony. On mi powiedział, że głowa mędrca Sokratesa niewiadomo jakim sposobem jej się zjawiła przed oknem i teraz leży za ścianą, wprowadził mię z domu, aby pokazać tego dziadka, i prosił mię, abym koniecznie wziął go do siebie, położyłem go do swego pojazdu, pomówiłem z kupcem o interesie i powróciłem do domu.

Posłyszałem po jakimś czasie taką rozmowę między sąsiadami. — Efima ciągle kłucąc się z swym mężem, znieawidziała go i chciała porzucić na zawsze, a może jeszcze miała przyjaciela, który ją do tego namawiał. A więc gdy mąż był w odjeździe, ona zbierała wszy-

skie ruchome rzeczy, aby zabrać z sobą i mężowi zostawić dom pusty, w tym nagle spojrzała w okno i obaczyła drewnianą głowę tego dziadka, niewiadomo skąd i jakim sposobem ona jawiła się pod oknem, krzyknęła z przestachu i zemdląła, posłyszeli w drugiej izbie domownicy, przybiegli do niej na ratunek, ledwo mogli powrócić przytomność, z tręcili dziadka z okna, aby się on drugi raz jej nienawinał na oczy, pod czas tego rozruchu, przyjechał kupiec, i tu wszczęła się okropna burza, lecz dobrze, nie udało się jej dla męża swego zostawić dom pusty.

Ja teraz rok drugi mam u siebie tego dziadka i dzięki Bogu wszystko idzie pomyślnie, cenię go jako najdroższą pamiątkę.

Gdy kończył Pan Z.... opowiadać, odezwał się rotmistrz. — A ja stary człowiek opowiem starą powieść o kobiecie insekcie i o tym dziadku, bo mówiono teraz, że jakaś kobieta go ubierała kwiatami, tak ona już odpokutowała za swoje grzechy, powiem co od drugich słyszałem, a czy to prawda, czy nie, co mi do tego.

KOBIETA INSEKTA.

W dawne czasy żyła w tych stronach bogata pani niepamiętam jej nazwiska, ale mniejsza oto. — Otoż ta pani okrótnie postępowała z swemi poddanemi i z sługami, których miała przy sobie, zapomniała o wierze i obowiązkach chrześcijańskich, jej się zdawało, że człowiek jest jej własnością, tak jak i każda rzecz, że ona ma prawo z nim postępować jak zechce.

Odzierała biednych chłopków, całą mozolną ich pracę trwonila na rozkosze wtenczas, gdy ich głód morył. Odziana była w drogich jedwabiach i brylantach wtenczas, gdy jej poddani nie mieli czym się pokryć od chłodu i wiatrów, jeśli kto popełnił małą winę, w ukaraniu była niemilosierna, lecz często i bez winy okrótnie karała. Nieżyczliwość do takiego stopnia doszła, że zapalała się gniewem, jeśliby dziewczyna z jej włości pomyśliła wyjść zamąż za człowieka wolnego i majątnego, wraz ta nieszczęśliwa ofiara cierpiała w żelaznych kajdanach, jak gdyby popełniła jakie wielkie wykroczenie.

Takie prowadząc życia ta złośliwa kobieta, postrzegła, że jej już wiek podeszły i sumienie ciągle szeptało, że będzie kiedykolwiek koniec tym bezprawiom, a

już i zdrowie słabiej zaczęło, widząc swój koniec bliższy, zmieniła się cokolwiek w obyczajach, rzuciła się do nabożeństwa i miłosierdzia, dawała jałmużnę ubogim, rozdzieliła jakąś sumę w Połocku na klasztory, aby modlono się wszędzie, żeby Bóg dał jej zdrowie i wiek przedłużył. Uderzono w dzwony po wszystkich kościołach, zebrał się lud, ogłoszono to z ambony, poszły do nieba święte ofiary i modły nabożnych ludzi. Ubłagany modłami wiernych, zlitował się Bóg nad tą grzesznicą, pozwolił długo żyć na tej ziemi i czekał pokuty.

Lat sto przeżyła, lecz nie tylko nie było żadnej poprawy, gniew i okrucieństwo co raz więcej rosły w jej sercu. Tak, że większa część poddanych, zostawwszy swe chałupy, tułali się po świecie, szukając sobie pożywienia, słudzy domowi uciekali daleko rzucając z przekleństwem swoją panią. Sąsiedzi ją zniechęcili, nikt niechciał odwiedzić, nikt niechciał ją spotkać, ani się zbliżyć do jej mieszkania. — A gniew niczczył całą jej budowę ciała, schła od złości i postać jej zmniejszała się co raz więcej.

Tak żyjąc długo zapomniana od ludzi, schła i umniejszała się stopniowo, już była podobna do chorowitego karła, potem do niemowlęcia, co raz się staje szczuplejsza. Nakoniec przemienia się w jakąś dziwną insektę, długie przezroczyste z jednej i z drugiej stro-

ny wyrosły skrzydła, a złość zawsze taż sama w sercu.

Wiele lat minęło, ta grzeszna kobieta żyła jakby zakłeta, w postaci jakiejś skrzydlatej poczwary, a kto się zbliży do jej mieszkania, ona ztamtąd wylatuje z okropnym krzykiem, wciąż lata około głowy i przełęknionego odpędza przychodnia.

Z dalekich stron przybył nowy dziedzic pan A. zwałdał tym majątkiem, i gdy sąsiedzi opowiadali jemu o napastowaniu tej strasznej insekty, on kazał odemknąć wszystkie okna, okurzyć dymem pokoje, i na próżno ta z okropnym piskiem i krzykiem rzucając się w oczy straszyla ludzi, zwyciężona dymem musiało lecieć do ogrodu i skryć się między drzewami, lecz złość wrzała w jej sercu i chciała koniecznie wystraszyć z domu nowego gospodarza.

Słudzy pana A. opowiadali, że o północy słycać szum i jakieś piski pod podłogą i po kątach domu, niekiedy straszne jawiają się mary i jakieś zwierzątka, podobne do żab i żuków, mające czarne kocie głowy i oczy świecące jak iskry, gdy się kto zbliży, wnet znikają, wpadając gdziekolwiek w szparę lub szczelinę ściany; i że to koniecznie muszą być złe duchy, radzili swemu panu, aby on poprosił księdza i dom poświęcił. Pan śmiał się i mówił, że te zdania pocho-

dzą od ich przesądów, gdyż do tych czas jeszcze nic podobnego niewidział i nie słyszał.

Po kilku dniach niebo było pogodne w czas południowy. Pan A. odemknął okna i sam jeden siedział w pokoju zamyślony, w tym w pada dziwna insekta, lata po pokoju i w piskliwym jej głosie słyszy straszne łajania i przekleństwa, siadła przednim na stole, on postrzegł postać kobiety, nogi i ręce suche podobne do nóg pszczoły, i sama cienka jak gdyby łądka; wnet porywa się ze stoła, krąży około głowy pana A. i już chciała wplątać się w jego włosy, ten nakrywszy głowę chustką i broniąc się jakby od pszczoły wybiegł z domu przełękniiony, kazał ludziom dymem wypędzić tę straszną poczwargę, i zamknąć okna.

Przeszło dni kilka, pan A. w ogrodzie pod cieniem lipy czytał romans, jawia się znowu ta insekta, zrzuca krople jakiejś trucizny, te spaliły karty książki i odzienie na nim, wijąc się około głowy, łajala i przeklinała jego, piskliwym głosem ludzkim; drżący cały od przełęknięcia pan A. w biega do domu i myślał siedząc, jak się pozbyć tej okropnej poczwary.

Przy każdym zdarzeniu ta dziwna insekta nie dawała jemu pokoju, razu jednego, kiedy konno objeżdżał swoje pola, ona latając około jeźdźca, przeraźliwym krzykiem przełękła konia, ten z wielkim pędem leciał przez góry i rowy, zrzucił z siebie pana A. leżał skrwa-

wiony bez tchnienia, oracze pospieszyli na pomoc, przynieśli do domu, i doktor przywołany ledwo go wyratował od bliskiej śmierci.

W całej okolicy rozeszły się te wieści i tylko rozmowa była o złej kobiecie, która się zamieniła wstraszoną insektę, wszyscy sąsiedzi żalowali pana A. lecz nikt z ich nieodwiedził chorującego, gdyż wszyscy obawiali się przybliżyć do jego domu.

Pan A. kiedy przyszedł do zdrowia, przypomniał rady sług swoich, myślał o sposobie jak się pozbyć przekłętą insektę i złych duchów, z którymi pewnie ona poprzyjaźniła się, postanowił poprosić kapłana i dom poświęcić, a więc po zachodzie słońca, kiedy ta insekta spała ukryta w trawie, kazał założyć konie i nocą pojechał do Połocka.

Rano po mszy świętej spotykali jego znajomi, wszyscy z ciekawością wypytywali się o tej dziwnej insekcie i o nieszczęśliwym zdarzeniu kiedy go koń unosił, bo już o tem słyszano w mieście.

Gdy przyszedł do klasztoru i opowiedział jak się działo, dziwili się wszyscy. Ksiądz człowiek pobożnego życia, to pewnie rzecz dziełanie złych duchów i jakiegokolwiek czarownicy, która się zupełnie wyrzekła Boga, trzeba temu panie A. zaradzić, postarać się o twoją spokojność i o jej duszę, i tegoż ranka pan A. z księ-

dzem pospieszył do domu, nie bojąc się w tym czasie napadnienia insekty.

Przyjechali do dworu, ksiądz odprawivszy swoje modlitwy, kiedy zaczął pokoje kropić święconą wodą, strach wspomnieć co się tam działo, z straszliwym piskiem i sykaniem, ze wszystkich kątów posypały się straszdyła, motyle u których zamiast skrzydeł, płomienia wybuchały z boków, pękate robaki oddychające dymem jakby pęcherze podnosiły się w górę, krzykliwie świerszcze i żmieje skrzydlate latały nad podłogą.

—To są grzechy czarownicy, rzekł ksiądz, kazał odemknąć okna i one z piskiem i sykaniem precz ulatały i nikły w powietrzu.

Gdy dom zupełnie był oczyszczony święconą wodą od nieczystych potwor, P. A. poprowadził księdza do ogrodu, zkąd wylatywała ta szkodliwa insekta. Tam gdy kapłan odmawiał święte modlitwy, w krzakach agrestu odezwał się głos piskliwy, w którym można było zrozumieć przekłębta i bluznierstwa, a potém narzekania, jęki i płacze, zebrali się wszyscy dworowie ludzie patrzyć na te dziwy, ksiądz kropiąc święconą wodą te krzaki, kazał jej wylecieć ztamtąd i usiąść na bliskiej gałęzi lipowej, ona wnet ztamtąd wyleciała jakby strzałka i siadła na lipowym listku, patrzali wszyscy z zadumieniem w tej insekcie zupełnie było widać postać kobiety, a z boków długie wznosiły się skrzydełka

ksiądz zdjął ją z listka, zamknął do szklanego słoika i wniósł do pokoju.

I już bez bojaźni przypatrywali się wszyscy z bliska temu zjawieniu, postrzegli długi włos spadający z główki, która nie większa była od ziarna zwyczajnego grochu, jak iskierki błyszcząły zausznicie w uszach i coś rumieniło na szyi jakby sznurek korali, żółta jedwabna sukienka i zdawało się, że spięta pasem takiegoż koloru, blada i widać było, że w tym czasie cierpiała okropne spazmy od gniewu.

Na drugi dzień ta pani insekta z księdzem przyjechała do Połocka, widziało te dziwy całe zgromadzenie klasztoru i mieszkańcy tego miasta tłumnie przychodzili widzieć te cuda niesłychane, rzucono jej pokarm do szklanego słoika, lecz ona ani go skosztowała, i głosu żadnego niewydała, przez cały ten czas była niema, w poruszeniu tylko był widać gniew i niespokojność.

Trzeba teraz pomyśleć o jej duszy, rzekł ksiądz, i w słoiku poniosł ją do ustronnej części klasztoru, gdzie był długi korytarz, z jednej strony architektoniczna sala, z drugiej muzeum, blisko tej sali wyglądał z muru jakby a z okienka ten biust drewniany mędrca Sokratesa. Ksiądz tę kobietę insektę włożył do głowy filozofa w przytomności wielu widzów, czytał jej modlitwy i religijne nauki. Lecz co się działo z tą głową Sokratesa, strach wspomnieć, ona wtenczas była podobna

do palącej się bomby, miotła się na wszystkie strony, pobledli blisko stojący, bojąc się, aby ona nie pękła i niezaszkodziła patrzącym na to, a ksiądz ciągle czytał modlitwy i nauki o Bogu i miłości bliźniego.

Co wieczor odbywały się podobne rekolekcje dla tej kobiety, i ona dziwny przedstawiała widok z tą nie-szczęśliwą głową mędrca, strach napadał na każdego, kto tylko przechodził przez ten korytarz, ten biust drewniany, od którego pierwiej słyszano tyle rad mądrych i religijnych, czernił i łajał bez żadnego względu wszystkich przychodzących, studenci obawiali się zbliżyć do tego drewnianego dziadka, bo już nie był on dla nich łagodnym admonitorem, lecz najokropniejszym przesładowcą.

Kilka miesięcy przedłużały się te nauki i modlitwy, nareszcie w padła do serca iskra wiatry i miłości tej zapamiętałej kobiecie insecie, i ta twarz drewniana przyjęła widok przyjemniejszy i łagodniejszy, i już z ust jej słowa wychodziły pełne bojazni Boskiej i miłości bliźniego, jawiła się raz księdzu w pięknej wysokiej postaci podobna do anioła, cudną twarz otaczał promień, suknia jej bielsza była od śniegu, podziękowała za modlitwy, nauki i starania dla niej uczynione, i wnet znikła. Ksiądz padł przed ołtarzem na kolana, dziękował niebu za nawrócenie i zbawienie tej duszy.

Gdy kończył pan rotmistrz opowiadać, Panna Aniela

i małe dziatki Pana Z.... powiedziawszy dobranoc rodzicom, poszli do drugiego pokoiku dla odprawienia wieczornych modlitw.

Ciekawą rzecz opowiedział pan rotmistrz, rzekł gospodarz; o tym zdarzeniu z dziadkiem, jeszcze nieśly-
szałem, że głowa tego mędrca była mieszkaniem po-
kutującej grzesznicy, oto przybyła nowa powieść do
biografij drewnianego dziadka.

Do późnego wieczora rozmawialiśmy jeszcze o prze-
szłych czasach, o towarzyszach szkolnych, o znajomych
żyjących i o tych co już odpoczywają w grobie, do rozmów
naszych ciągle się wtrącały smutek i nadzieja. Na-
koniec pan rotmistrz wziął swój kij i czapkę, chciał
iść do domu, gospodarz go zatrzymał na nocleg, po-
wiedział nam dobranoc, zgaszono ogień, ja zmordowa-
ny pieszą wędrowką zasnąłem mocno.

(Ciąg dalszy tej powieści w następnym roku.)

JAN BARSZCZEWSKI.

1843 r.

POMNIK RENEGATA.

Wstępie dzikim, nad którym gieniusz śmierci władnie,
 Gdzie burza jedna świszcze piaszczystymi chmury,
 Gdzie skwar rosę pożera, nim na ziemię spadnie,
 Bieleją się skieleły zniszczonej natury.

Bez krzyża, bez mogiły ten smętarz wśród świata,
 Koście same wśród wichru wiercą się w przestworzu,
 I echem martwem sławią dzieje Renegata
 Szmerząc klątwę nieśmiertną, po śmiertelnem morzu.

Gdzie pójrzysz, wzrok trętwieje, zmarły życia ślady;
 Jeden głąz tylko sterczy na całym obszarze,
 Podnoże jego kryją wydechłe owady,
 A postać czarna świeci, jako trup w czamarze.

Czy słońce jasne zejdzie, czyli w nocnej dobie
 Zabłyśnie w gwiazd orszaku księżyc z wysokości;
 Głaz ponury, jak strażnik przy natury grobie,
 Stoi zawsze samotny pośród zwalisk kości.

Od niego zwierz ucieka, dziki ptak odlata,
 Burza tylko z wściekłością szalejąc po stepie,
 Bryżnie chmurą szkieletów w pomnik Renegata,
 I z jękiem głuchym zamrze, jak w grobowym sklepie.

P. TURCEWICZ.

Petersburg.



Czy słońce jasne rozbija, czy w nocnej dobie
 Kąpielnie w wieńcu orszaku kęsię z wysokości
 Głaz ponury, jak strażak przy natęży grobie,
 Stoi zawsze samotny poród zwalisk kości.

Od niego zwierz uciska, dzięki piak odłata,
 Butxa tylko z wściekłością szaląc po stepie,
 Brzyja chmurę szkiełków w pomnik Renegata,
 I z igłami szlachetnym zawsze, jak w gębowym sklepie.

T U Ł A C Z.

R. TURKOWICZ.

Z północy wiatr z gradem świsnął,
 Bor zaszumiał — jęk na skale,
 Błady księżyc z chmury błysnął
 I płynął przez czarne fale.
 A tocząc swe blade koło,
 Przyświecał głuchej pustyni
 W tém zatrzymał smętne czoło
 Nad grobem w ciemnej jaskini.
 Tam jakiś młodzian w żałobie
 Twarz blada — wsparty na dłoni
 Zawsze o północnej dobie
 Przy tej mogile łyż roni.

I na w pół z jękiem wyrzeka:
 „O matko! widzisz twe dziecię,
 Z łez nieosycha powieka —
 Tułaczem jestem na świecie!
 Czy słońce świeci na niebie,
 Czy północ cicha jak w grobie —
 O matko! jak źle bez ciebie,
 Jak dobrze było przy tobie!
 Jak długo na twej mogile
 Jęk tłumię wśród nocy mroku,
 I w nocne tułam się chwile
 By łzy nieostrzegł kto w oku.
 O, kiedyż memi tęsknoty
 Będziesz z uśpienia zbudzona,
 Kiedyż tułacza sieroty
 Przyjmiesz do zimnego łona?

I. SWIĄTKOWSKA.

Petersburg.

1842 roku.

MOJE ŻYCZENIE.

Gdyby mi w inną zamienić się postać,
Opuścić świata granice,
I tam na innym świecie pozostać,
I szybkim lotem jak błyskawice
Przelatać niebios przestworza,
Olśnić się słońca promieniem,
Płynąć z lekkim wiatru tchnieniem,
Utkwić nad ziemią jak zorza.
Tamby się czucia słodyczą poły,
Oczy duszy otworzyły...
Przesady świata na wieki zniknęły,
Wszystkie cierpienia usnęły.

Tam zacząłbym nowe życie,
 I wraz z istotami raju
 Niewinny, ja niebios dziecie
 Żyłbym w nad powietrznym kraju.
 Tam by mi nowe szczęście się zaczęło,
 Blask jego urok marzenia podwoił,
 Tchnienie rokoszy myśli wionęło;
 Ja bym w nieć duszę mą wpoił.
 Tak żyłbym wiek nieskończony,
 Nieczując nudy, tęsknoty,
 Nieznając zbrodni, ni cnoty,
 I od ludzi oddalony!

ANIELA z Kozłowskich MARCINKOWSKA.

23 Marca 1835 r.

Małomolińce.



SONETY.

LETNIA NOC W FINLANDII.

II.

Tylko że słońce zaszło, już i wschód w płomieniu,
 Spi Fińska odnoga, wzdycha jasne łono,
 Noc w białej szacie stojąc nad wodą uśpioną,
 Jak kochanka jej śni się w przyjemnym marzeniu.

Dziwny widok po całym niebieskim sklepieniu,
 Pokrywa blade światło przestrzeń niezmierną,
 I znikły ognie planet pod białą zastoną,
 Gdzie nie gdzie srebrny obłok żegluję w milczeniu.

Poglądam ku rodzinie, może tam wysoko
 Na błękitcie, promienie tej gwiazdki jaśnieją,
 O! lubła którą niegdyś zważyliśmy nadzieją.

Ach! życie me tułacze, ni tve jasne oko,
 Ni promień tej nadziei ngidy nie osłodzi.

Lecz oto — i słońce wschodzi.

N E W A.

Gdy w jesieni świat znika pod nocną zastoną,
 Czarowny widok Newy, nadbrzeżne granity,
 I długi rząd pałaców krepą wód pokryty,
 Rysuje się w głębinie — w oknach ognie płoną.

Lecz te ognie nie grzeją zimne rzeki łono,
 Nie dziwią ją ogromnych gmachów złote szczyty,
 Ni stolicy północnej ten blask znakomity;
 Płynie dalej, jej w morzu zginąć naznaczono.

Stoi tułacz milczący pośród nocy cienia,
 O! Newo! nieszczęśliwy ten podobny tobie;
 I jego czarną krepą pokryte marzenia.

Wesoła wrzawa w mieście on ciągle w żałobie,
 I gdzież jego nadzieje? gdzie jego wspomnienia?
 Ach! wspomnienia daleko, a nadzieje — w grobie.

3.

TRZY SŁOŃCA.

Noc przeszła, mróz silniejszy i powietrze mgliste,
 Milczy cała przyroda jak w letargu spiąca,
 Na wschodzie jakie dziwy, trzy słupy ogniste
 Tam palą się nad Newą — to trzy wschodzą słońca.

O! kraino północna, kiedy w odrętwieniu
 Natura twa pod śniegiem wśród tumanów zaśnie,
 O trzech słońcach ty marzysz w posępnym milczeniu,
 Gdy i jedne nie grzeje, i dzień prędko gaśnie.

Tak człowiek nieszczęśliwy gdy go los zabija,
 I serce mu zakrwawia ciężkie niepokoje,
 On pamiątki przeszłości w wspomnieniu rozwija,

Ich pięknnością nasycić żąda myśli swoje,
 Marzy o rajskim szczęściu, a jemu nie sprzyja
 I jedna mała chwilka, — takie życie moje.

4.

WIEK ŻELAZNY.

Widziałem wieże świątyń — jakże wielka strata,
 Te mury smutek zaćmił — serce ściska trwoga,
 Ach! ten Anioł co przodków niósł modły do Boga,
 Już z niebios wysokości więcej tam nie złata.

Widziałem groby ojców, wiatr piaskiem zamiata,
 Zda się i ludzi z tamtąd zwiąła burza sroga,
 I dla dzieci nieczułych już zarosła droga,
 Dziki krzak tylko na nich gałęzi rozplata.

Gdy komu za występki żelazne kajdany
 Każą dzwigać, przeklina swój wyrok surowy,
 O jak daleko więcej człowiek oplakany.

Gdy duszę jego ciężkie krępują okowy,
 Sumienie go niebudzi, z występków się chwali,
 Ach! kiedyż łaża pokuty te okowy spali.

5.

Grozi chmura z północy, świat cieniem pokrywa,
Niebo gaśnie zaćmione czarnych fal zasłoną,
Grzmi bez przerwy bnrzliwe jej paląc się łono,
Całą naturę bojaźń okropna przeszywa.

Na hasło trwogi dzwon się kościelny odzywa,
Dymiąc się zioł święconych kwiaty w ogniu płoną,
Już lecą kule gradu, z twarzą przełęknioną,
Łzawe oczy podnosząc rolnik Boga wzywa.

Powstają silne wiatry, od wschodu — zachodu,
I wnet chmurę unoszą za Lapońskie skały,
I szczytąki jej rozsiały tam po górach lodu.

Gdzie nie może pokonać potęgą świat cały,
Zwycięża łza, modlitwa i wiara narodu,
Kto wierzy widzi cuda....

6.

Wiatry wyły, latała w chmurach błyskawica,
Przestrzeń wody pokryły gęste nocne cienie,
Łódź moją pośród burzy niosło przeznaczenie,
Nie sięgła dna głębini nadziei kotwica.

Spotykam cudną postać — jasną zorzę lica,
Świeci woda jak lustro, precz lecą chmur cienie,
Pada do stop anioła niebieskie sklepienie,
I planet miliony i czoło księżycy.

Lecz o jak krótko trwała ta jasna pogoda,
Znikła niebieska postać, znów się świat zachmurza,
Wyją wiatry północne grozi straszna burza.

I łódź moją porywa wichrem wzdęta woda,
Płynę niewidząc brzegu, niewiem w jakiej stronie.
Kończąc te smutne życie fala mię pochłonie.

JAN BARSZCZEWSKI.

MODLITWA

Bijcie się w piersi, wyznajcie swe grzechy,
Oto Pan wielki przez ręce kapłana,
Zstępuje w serca i balsam pociechy
Z sobą przynosi, spieszmy więc do Pana,
On nas swem ciałem ożywi.

Niegodzien jestem łaski Twojej Boże,
Niegodzien jestem byś do serca mego
Wstąpił; Twe jedno słowo zbawić może,
Z pragnieniem czekam Panie słowa Twego,
Które mi życie powróci.
Słowo niech tylko usłyszę z ust Pana,
To słowo dotknie duszę blaskiem słońca,
Wtenczas z zapalem padłszy na kolana
Będę go wielbił aż do życia końca,
Przez lat i wieków tysiąca.

ANTONI KOPANSKI.

9

MYŚLI O PRZESZŁOŚCI, TERAŹNIEJSZOŚCI
I PRZYSZŁOŚCI.

Zapuszczam myśli w głębinę pamiątek,
I nią chcę chwytać upłynione lata;
Bo przeszłych chwili już zniszczony wątek,
Okryła w części zapomnienia szata.
Myśli więc moje z wieków zapomnienia,
Stratę dni miłych przywodzą pamięci;
A miłe jakieś przyjemne wzruszenia,
Do dalszych badań serce moje nęci.
Wtenczas myśl moja jakby z cienia grobu,
Zwolna wywodzi zapomniane duchy;
I marą złudzeń skrytego sposobu,
Chwilom dzisiejszym przeszłe daje ruchy.

Wtedy myśl moja najczęściej tam płynie,
 Gdzie pierwszy urok zapalił mą duszę;
 Gdzie na zniszczonej błogich chwil ruinie,
 Nowy świat, nowe miał zadać katusze.
 Sięgam tej chwili, bo ta chwila sławy,
 Pierwsza, dnia życia upiękniła w kwiaty;
 W kwiat szczęśliwości w złudzenia bogaty
 Pełen roskoszy, trosków i obawy.
 Ale te kwiaty choć są tak zdradliwe
 Jak ów kwiat piękny bojący się dłoni, (*)
 Co za zbliżeniem swe listki płochliwe
 Zwiją w około i od zguby chroni.
 Tak i ten kwiatek, który zdradę ściska
 Wśród mgły dalekiej pięknym się wydaje,
 Lecz ile razy chcesz go ujrzeć zbliżka
 Zmniejsza się, wędnie i znikomym staje.

Młodości! której myśl urojeń szklista
 Pełna i w piękne złudzenia obfita,
 O jak twa dusza niewinna i czysta
 Często żałością i smutkiem okryta!
 Lecz ileż razy szczęśliwość marzona
 Dnie twe okryje szczęśliwości szatą,
 I choć w tej myśli jesteś zawiedziona
 Jednakże tęsknisz za znikomą stratą.

(*) Nolli me tangere.

Bo twoja dusza pełna wyobraźni
 Zostać nie może w miejscu gdzie spoczywa,
 Tylko się chwiejąc wśród szczęścia bojaźni
 Krąży — do swego przykuta ogniwa! —
 I dusza moja krążąc w swym obiegu,
 Na przeszłych chwilach staje zatrzymana,
 Jak gdyby z szczęścia uciekając brzegu
 Chciała być znowu tęsknotą nękana.
 I lecąc wpada w te chwile uroku
 Co ciągle w myśli toczą swoje fale,
 I lecąc szybko w przeszłości potoku
 Z terażniejszością waży się na szale;
 Wtedy bieg myśli w swych nurtach pędzony
 Przeleci przeszłość, terażniejszość zburzy
 I płynąc dalej już niepostrzeżony
 Z terażniejszości w przyszłość się zanurzy.

O ty dla której myśl święcę jedynie!

I serce moje czucia swoje roni,
 Jeśli do ciebie myśl moja dopłynie,
 Lub jeśli z boku co usłyszysz o niej,
 Pomnij naówczas, że czucia mej duszy
 !, Ciągle w przeszłości błakają się sferze,
 Lub terażniejszość gdy która z nich wzruszy
 Pędem już leci w przyszłości trzebieże.

Gdy się w przeszłości zanurzę potoku
 Wtenczas cię widzę tym okiem niestety!

Którym, raz pierwszy powstałaś w mém oku
 I krwawe w serce wtopiłaś sztylety.
 To znów cię widzę od siebie zdaleka,
 Patrzącą zimnym, obojętnym okiem,
 Ach! tęp wspomnieniem, gorących łez rzeka
 Kryje cię znowu przed moim widokiem.
 To już te miejsca rokoszne i błogie
 Któreśmy okiem wspólnym oglądali,
 Lub te zabawy tak i dzisiaj drogie,
 Co słodkich wspomnień drogę mi usłały.

I tak latając w przeszłości pamiątkach
 Gdy nią swe czucia i duszę oburzam
 Przechodząc zwolna po przeszłości szczątkach
 W teraźniejszości zwolna się zanurzam —
 W niej krótką chwilę zatrzymany staję,
 Spojrzę w głąb duszy, spojrzę w koło siebie
 I los zawistny i czucia me złaje
 I wszystko przeklnę, nawet.... nawet.... ciebie!....
 I dzień ów przeklnę i ową godzinę
 I czas, i miejsce, i te wszystkie chwile,
 I na mą duszę własną zwałę winę
 Że się zbić dała tak nieznacznej sile.
 Bo patrząc na dal jakież me widoki,
 Jakież w przyszłości mogą mieć nadzieje,
 Chyba tak bliskie, jak bliskie obłoki
 Albo tak stałe, jak wiatru zawieje —

Ach! wiejcie wiatry tak szybko i silnie
 Jak myśli moje toczą swoje fale,
 I tam zalećcie gdzie myśli me pilnie
 Snują się ciągle smutnie lub wspaniale;
 A tam stanowszy jeśli się dowiecie
 Powabnej sercu mojemu nowiny
 Wracajcie duszy nowe nadać życie
 I zniszczyć krwawe podłożone miny.
 Wtenczas niech smutek rzuci moją duszę
 I wieczną serce radością napełni,
 A wszystkie jeszcze gdy przeszkody skruszę
 Serce me puhar szczęśliwości spełni.
 Lecz gdy przeciwne doniesiecie wieści
 Pozwólcie razem niech przeszłości chwile
 Z terażniejszymi i przyszłe boleści
 Skryję na wieki w zapomnień mogile.

EM. KAR. SIEDR.

1834 roku.



D O

SŁOWIKA W KLATCE.

Słowiku gościu mój pożądanym
Zanuć mi tkliwą piosenkę,
Gdym był szczęśliwy, gdym był kochany
Przypomnij dni mych jutrzeńkę.

I dawną roskosz, dawną swobodę,
Nim opuściłem moją zagrodę.

Słodko ci śpiewać w majowej dobie,
Przy świeżym wiosny poranku,
Cała natura śmieje się tobie
Ty młody wiosny kochanku!

Bo ty jęz nuczysz, i twoje pienie,
Budzi w mej duszy słodkie marzenie.

SŁOWICZEK.

Ja mam tu śpiewać piosnkę wesołą?
 Jak niegdyś w rodzinnym lasku,
 Kiedy tu smutno, ciemno w około,
 Niewiadać jutrzeńki blasku.

Niesłychać tutaj szmeru strumyka,
 Ni woni kwiatów, tchnienia wietrzyka.
 Przykre jest dla mnie moje więzienie,
 Posępne jego osłony,
 To nie jest dawne moje schronienie,
 To nie mój lasek zielony;

Ja lubię śpiewać w rodzinnym gaju
 I życie pędzić w rodzinnym kraju.

J A

Ptaszku mój luby, twoja tęsknota
 Smutkiem mą duszę przenika,
 I ja na świecie jestem sierota,
 I dla mnie wszystko już znika,
 I moje serce tęskni w niewoli
 A w oku błyszczy łezka niedoli.
 Twoja niedola skończyć się może,
 Ty wrócisz w rodzinne strony,

Powitasz znowu wiosnę i różę
 I twój gaik ulubiony,
 Gdzie wzniosłych topol zielenią wianki,
 I tam zaśpiewasz dla swej kochanki.

SŁOWICZEK.

Ach! wróć mnie, wróć mnie, w moje ustronie!
 Gdzie pierwszą wiosnę przeżyłem,
 Gdzie wonnym kwiatem usłane błonie,
 Gdzie się rokoszą poilem,
 A kiedy spocziesz pod drzew tych cieniem,
 Ja cię swobody powitam pieniem.

ANIELA z Kozłowskich MARCINKOWSKA.

1843 r.

Stary Konstantynów,



KILKA SCEN

Z

FAUSTA GETEGO.

—
N O C.

Faust z wyrażeniem niespokojności duszy, siedzi przy stoliku, pod wyniosłem sklepieniem ciastnego pokoju golyckiej architektury.

Jam zostałem i medykiem i jurystą, — jam dosięgnął do stopnia filozofa i w końcu wlekąc się po śladach teologów, przystałem na dobitkę i do tych ostatnich. Mnie uświęcili godłem magistra, a co większa drażnią praw doktorem, jednakże głupca rozpoznać nie mogli!... Już

dziesięć lat spędzając marnie, i tam i siam ja za nos tych szcolarzy wodzę; jednakże przeświadczam się zawsze, że pomimo wyścigłych poznań ludzkich, mądrość istotna od nas zbyt daleko. Otoż to właśnie źródło tych cierpień, które mię bezustanku dręczą. Chociaż ja czuję się być wyższym od innych, chociaż daleki jestem od zabobonów, nielekam się djabłów i piekła, ale piers za to jęczy, od udręczeń smutku, i dumy cień nie zjedzie w sercu, ażeby wielkie tajemnice prawdy, ogłaszać przed nędznym pokoleniem ludzi. Nie mam ja skarbów ani pałaców, nic nie mam coby zamieniało poniesione straty, i pies tak nie żyje jak ja żyję; lecz za to ja oddałem się magij i spoilem się jako brat z duchami!... ich więc przywołam na pomoc! Może być oni opowiedzą mnie tajemnicze drogi istnienia, może być od nich usłyszę słowa odwiecznej mądrości, może być w końcu przy ich pomocy, odkryję istotne siły stworzenia, poznam odwieczny początek i skrytą przyczynę światów; a wtedy nie będę już jak dotąd szukać jednych próżno-brzmiących wyrazów, ale wybrnąwszy z głupstwa, przestanę już pleść o tём, czego i sam nierozumiem. O księżycu łagodny, księżycu jasny! czemu, czemu w północną dobę nie błysniesz po raz ostatni nad moją nieszczęśliwą głową!? czemu przez bryły ksiąg martwych nie wcielisz ty do mojej duszy iskry pociechy; dla czego na promieniach twoich nie mogę wznieść

się z potężnymi duchami wyżej nad przepaście i skały do tych niebieskich błękitów i pierś moją obumarłą w długim cierpieniu, omywszy w twojej złocistej rosie, zrzucić z siebie nakoniec próżny ciężar nauk!... Ja zginę tu wśród ścian więzienia, gdzie dusza jęczy pod gniosem męczarni, i gdzie tylko słaby jutrzeński promień za ledwo draśnię szkła pomalowane. Tu ściany zawalone aż do sklepienia księgami, z których nikt pyłu nie zmiecie, a które jedno robactwo toczy i niszczy; wokoło głupie narzędzia, długi rząd słoików i naczyń, ojczyste dziadowskie uzbrojenie i różne preparaty niepamiętnych czasów; z nimi ja dnie i nocy pędzę, i one świat mój składają. Czyliż dotychczas jeszcze nie poznałeś ty, dla czego dręczą się twoje marzenia, dla czego pierś od boleści jęczy i dusza zlodowiała zamiera?... wszak z bóstwa woli żyłeś pośrodku żywych natury krańców, ale ten cudowny dar bogów, zmieniłeś na zgniliznę grobów. O! precz ztąd, precz z tych ścian duszących, ulataj do błogiej krainy, przed tobą podwoje święte otworzy księga Nostrodama, ciebie natura natchnie, jako duch z duchem zamówi i ty potężnymi siłą odkryjesz skryte sprężyny światła; — lecz z próżną dumą oglądam te święte oznaki istnienia; — ja czuję, słyszę nad sobą cudowny roj żyjących duchów, dusza ma zdjęta pragnieniem, do nich więc zwróć pytanie....

Faust odkrywa księgę i spostrzega wyobrażenie Mikrokozmu.

Jedno spojrzenie i płomienista radość ożywia zgnępane fantazy! wspomniła się ognista młodość i krew świeża w żyłach zawrzała! Czyliż sam Pan Bóg stworzył te święte piśmiona; one w momencie przelały do mojego umysłu łagodną spokojność i dusza przejęta nieznaną radością w zapale dziwnego uniesienia, przenikła aż do żyjących wszech stworzenia nasion. Czy nie Bóg ja?!... Już świta; — po tych oznakach poznaję tajemnice bytu, widzę naturę w twórczej odzieży i dopiero zaledwo pojmuję słowa odwiecznej mądrości: „dla ciebie dostępny świat duchów, tylko rozum ścięśniony w więzach ciemnoty; powstań, ocknij się z letargu i omyj pierś ziemną w rosistych promieniach jutrzeńki.”

Rozpatruje rysunek.

Jak dziwnie w ogromie całym cząstka się z cząstką spaja, jedno radza drugie i żywi, jak cudownie wyradzają się władcze siły i błogiemu skrzydły otulając nasz świat ubogi, brznią harmonijnymi dźwięki pośród sfer bez granic. Tonę oczyma w czarownym widoku, dusza ma czuje nowe nieznane dążenie, lecz ob-

Jać ciebie o naturo-matko, mnie sił nie staje! ja nie-
mogę stopić ust swoich na twojem łonie, z kąd żywy
zdroj życia wytryska i ożywiając świat cały, toczy się
przedemną pełnemi, świętymi falami; cieką fale, szem-
rzą fale, lecz piersi zbolątej oświeżyć nie mogą...

*Przewraca z nieukontentowaniem kartę i natrafia
na wyobrazenie ducha ziemi.*

Lecz oto znowu nowe wrażenie; o duchu ziemi! ja
czuję twoją obecność, nowe wzburzenie mną miota i
bardziej wyteżają się siły; ja cały gorzeję płomieniem;
bez drżenia puszcze się na trwożnej fali, wypiję smu-
tki i roskosze ziemi, lecz głowy mojej nie skłonię w
walce z piorunami, chociażby nawet łódź moją zgru-
chotała burza, ja nie dbam o gromy, dusza nie zadrży...

Ciemniej lampy

I księżyc nie świeci,

Dym słupem wali, tuman kłęby ciska,

Ja cały w chmurze...

Promienie krwawe ognistemi pręgi

Głowę mą rażą;

Ja bojaźń czuję,

I chłód grobowy wśród ścian moich wionął.

Duchu żądany

Rozstąpi się nade mną!..

Myśli me zmieniając się myślami
 Zlały się w jedno nieznanie dążenie
 I wichrem fantazyi lecą ku tobie;
 Ukaż się duchu, jam ciebie pożądał!...

*Faust porywa księgę i tajemniczo wzywa ducha;
 w tém w czerwionawem płomieniu zjawia się
 duch ziemi.*

D U C H,

Kto wzywał mię?

F A U S T,

Okropny widok!!

D U C H,

Azaliż nie twoje zuchwałe wołanie przywiodło mię
 tutaj od sfer nieznanych, ty dawno pragnąłeś mię wi-
 dzieć, i cóż?

F A U S T,

Ja cię nie zniosę!

D U C H,

Ty długo i długo na próżno błagałeś
 Ażeby mię słyszeć lub ujrzeć me lice,

I cóż, jam wysłuchał błagalne wołanie;
 A ty strachem zdięty uchyliłeś głowę;
 Ale gdzież o Fauście, gdzie twa pierś potężna
 W której tyś tak dumnie cały świat zawierał,
 Gdzie owa pierś dzielna, co w twórczym zapale
 Do nas wołała od grobowych krańców?
 Czyż nie ty pośmiałeś odzywać się do mnie
 Wśród marzeń zuchwałych o stworzeń równości,
 Czyś nie ty mię szperał swoją dumną duszą,
 Ja tu, i jedno tchnienie zniszczyło już ciebie,
 Ty u nog moich godny zlitowania!...

F A U S T.

Nie, wyrzutku płomieni! my z tobą na jednej szali
 w liczbie niepoliczonych stworzeń!...

D U C H.

Na skrzydłach czasu wśród burzy stworzenia
 Z kolebki do mogiły
 Jam światy obleciał,
 I śmierć i życie
 Łzy i wesele
 Wiecznie wrzą burzą
 Jak odwieczne morze,
 Ja na szumnym warstacie znikających wieków,
 Pracuję nad żywotnią odzieżą dla bogów!?...

FAUST.

Ty i ostatnich krańców wszech świata dosięgnęłeś, o
luchu potężny jakem blizki ciebie!

DUCH.

Tyś zaledwo do tego zbliżony wśród światów
Co tylko pojąć możesz, lecz do mnie daleki!

duch znika.

FAUST *padając na twarz.*

Ja od ciebie daleki!? i nawet od ciebie, ja, stwo-
rzony na obraz przedwiecznego bóstwa!?,...

pukają do drzwi.

O Boże! wszak to idzie wychudły postuchacz, współ-
stawodnik moich samotnych dumań, on mnie oderwie
od dziwnego widoku.

*Wchodzi Wagner z lampą; Faust odwraca się od
niego z nieukontentowaniem.*

WAGNER.

Przebacz mi, ty zdaje się coś sobie czytałeś, może jaki
urywek z greckiej tragedyi i ja przyszedłem z lekcyi

korzystać; wszakże to może przydać się kiedykolwiek. — Pracując bezustanku w mogilnem zamknięciu i jakby przez perspektywę tylko spoglądając na ludzi podczas jakiego święta, powiedź mi jakim sposobem można trafić do ich przekonania?

F A U S T.

Nie nam przeznaczono podbijać umysły przez cudowną przekonań siłę, gdyż my nazbyt dalecy jesteśmy (od błogiego natchnienia serca. Mozol się w pocie nad brzęmiącym próżnych słów doborem, cudze myśli wykradaj i wyciskaj z popiołu bladawe światło, próżna pracal.. osłów tylko i dzieci potrafisz zachwycić u nich ledwo twe twory znajdują podziwienie, lecz serce nie spoi się z sercem, kiedy ty serca swego wynurzyć nie zdołasz.

W A G N E R.

Decyzya twoja błyska sławą mówcy, — do której wcale niemam pretensyi...

F A U S T.

Tak; to dochód pocziwy i zabawa korzystna, a głupiec tym czasem znika z brzękliwą grzechotką; po co szukać wyrazów, kiedy rozum dojrzały znikomej ciżby, pochwyca słabe umysły jedną władzą potężnych du-

mań; co znaczą napuszone słowa lub próżna wasza mowa, która lskni się jak błaha błyskotka i tak sucha jak powiew jesiennego wiatru, unoszący z sobą po żółkłe liścia.

W A G N E R.

Wszak sztuka bezwzględna jest na upływ czasu, a życie nasze tak krótkie; mój umysł zaczyna już słabnieć pod ciężarem mozolnej pracy; czasem tęsknota zapada do duszy; — i w rzeczy samej, jak to trudno wynaleść takie środki, ażeby już przebić się nakoniec do źródła; wreszcie zdarza się, że natrafisz czasem na drogę, a śmierć jakby tu była, porwie ciebie za kark.

F A U S T.

Nie w pergaminowych foljach mój przyjacielu istnieje to tajemnicze źródło, które spragnionych ożywia świeżością rosy; napróżno ty uganiasz się za szczęściem, kiedy twa dusza nie czuje, co znaczy szczęście...

W A G N E R.

Miło jednak zwrócić się do przeszłości czasu i poznać jakto człowiek chwycił się za rozum, a potem samemu sobie wynosić się w duchu, żeśmy tak daleko swój wiek podzwignęli.

10*

FAUST.

Czyśmy w górę podnieśli, lub co my umiemy, sądzić o tём nie do nas należy; — a przeszłości o której mówisz, my wcale nie rozumiemy, ona zakryta przed nami świętą niewzruszoną pieczęcią; to zaś co duchem czasu dziejopis nazywa, jest własną dziejopisa duszą, w której jak w mglistym tumanie, zaledwo migoce się wiek czasu i ten karlik — człowiek. Śmiesznie i boleśnie was słuchać, choć w nogi zmykaj przy pierwszym spotkaniu; u was przeszłość Bóg wie w jakiej odzieży; próżna gadatliwość i opowiadanie bez sensu; starożytnie pomyje, kupa odartych gałganów, stoletnie przytęchłe brudy — i to wszystko zaprawione wyniosłem głupstwem wymowy...

WAGNER.

Lecz któż jest bez pretensyi na rozum, kto nie ma ochoty być sędzią ludzi i świata?

FAUST.

Powiedz mi naprzód co znaczy twój rozum i komu rzeczywiście mądrymu przyjdzie do głowy ogłaszać prawdę; wszak kto obnażał święte tajniki swej duszy, kto myśli jasne wzbudzał, lub ciźbie to dowierzał co

skrywał w swem wnętrzu, takich ogniem smalili i na krzyż wspinali.... Lecz pótnoc, mnie dawno już pora do spoczynku, a więc czas nam pożegnać się pono.

W A G N E R.

A ja choćby do jutra nawet, gotow przesiedzieć przy takiej gawędce; lecz jutro jako w dzień Zmartwychwstania Pana, ty mnie może pozwolisz znowu zająć do siebie; wszak to do rozumu należy rozprawiać o rzeczach, ty sobie dowodzisz, ja słucham, a chociaż wprawdzie ja wiele już umiem, jednakże chciałbym dociec wszystkiego.

Uchodzi.

F A U S T.

I w nim jeszcze nie zmarły młodzieńcze nadzieje, on osiwiąły głupiec upędza się za złotem i kontent jeśli napadnie gdziekolwiek na deszczowe robaki. Stał głupiec pośród nadziemskiego zjawienia i zniszczył błogie fantazy szczęście... niech znika szczęście! O ślepy głupcze, jak wporę rozsproszyłeś ty owe cienie! ty wybawiłeś mię od tego obłąkania, kiedym jak błahy nie-dołężny karzeł, znikał już prawie pośród ogromu straszniejszego widzenia. Z trwożnymi myślami, ja stworzony na obraz bóstwa, zbliżałem się do obrazu przedwie-

cznej mądrości, przeniosłem się z tej ziemi do krainy sfer odwiecznych i pragnąłem osiągnąć tajemnic natury, nakoniec stanąwszy wyżej aniołów na niebie, w zapędzie rozognionej siły, ważyłem się szaloną myślą, przeniknąć do samego gruntu wszechstworzeń i w tworach swoich spoić się z bóstwem; ale potęga moja znikła przed słowem przedwiecznym, — ja czuję, że nie mogę zrównać się z tobą! ja mogłem ciebie wezwać, lecz nie mam siły utrzymać; kiedyś ty w promienistym blasku zjawił się przedemną, jam poznał wtedy swą siłę i słabość, dopiero ty odepchnąłeś mię od dziwnego zjawienia i ja znowu godny politowania niewolnik niezbadanej wątpliwości! Kędyż są drogi moje!? czy mnie wybrać wypada nową ścieżkę życia czyli znowu ciągnąć się śladami błyskotnej fantazyi? O biada!... biada! bezczynność nasza równie jak i działalność sama, wiecznie skrzepowane niezgiętymi więzami, i nikną jako proch marny w ogromie natury!...

My nie możemy zachować w swej duszy tych nieskalanych i czystych myśli, które nas wznoszą ku niebu, my pojmujemy tylko ziemne szczęście, a szczęście nieba zowiemy mamidłem; nakoniec wśród szafu świeckiego wędnieją nasze uczucia i myśli... Podnosząc się od ziemi na pysznych marzeniach, my aż gwiazd dosięgamy bujnemi skrzydłami, tym czasem burza niszczy te złote nadzieje i znowu je zapędza do ciasnych

obrębów! — wnet błahe ubiegania się opanują duszę i w głębi jej tysiąc trosk porodzą; one tajemnie przywdzianą tysiączne postacie i zdradliwie zatrują ostatnią iskrę pociechy! — Daleki więc od bóstwa ja biedny robak ziemi, dla mnie piasek pokarmem, a błoto mieszkaniem; o nie dotykaj się jego niebaczną nogą, gdyż ty w momencie zburzysz mój domek zbutwiały!..

Przede mną grube warsty pyłu, z pod którego wyglądają stopy mądrości ziemnej, zawartej w pocieszenie posklejane tektury; czy znajdę tu koniec mych szperań?... Jam jedno tyle zbałał w tych piśmionach, że człowiek zawsze męczył się i płakał i że gdzie niegdzie tylko uchodził za szczęśliwego....

Co szepcze tam ów blady czerep? może i on równie męczył się na świecie, goniąc się za niezbadaną prawdą z pełną ufnością w tajemnice wiary; i wy napuszone wały, zapory, śruby, koła, i wy podkpiwacie ze mnie; wy macie wiele chytrego, lecz mało pomocy, wy nie otworzycie czarodziejskiego zamku skrytego pod grubą zasłoną. Natura zawsze będzie dla nas tajemną, nad nią i w dzień pogodny leży ciemny tuman, i czego ona sama przez się nie odkryje, do tego nam nie dosięgnąć nigdy. Koło mnie marne sprzęty walają się w pyłe, a tam blok zwichnięty kurzy się pod lampą; zaiste, kto chowa u siebie te niewdzięczne dary, ten napróżno zupełnie dzwiga nieznośny ciężar; —

aż przykro mi do czegoś dożył, czemu by lepiej tego marnego spadku nie zmarnować na nocnych bankietach...

Lecz dla czego wzrok mój tak się wyteńczył do tego kąta?... czarnoksiężkie naczynie stoi przedemną! — wnet lżej mi stało i ja okryłem się światłością jak pielgrzym w godzinę północy, niespodziewanym zjawieniem księżycą!

Z pobożnem uczuciem biorę cię do rąk o tajemniczy wieńcu mądrości ludzkiej, zelżyj zabójcze cierpienia mej duszy i powróć znowu straconą spokojność; ty dobroczynno władzo ziemnego uspienia, ty siedliśko wszystkich sił śmiertelnych! z tobą ja nie czuję boleści serca, w twojem obliczu nie doznaję burzliwego dążenia i duch mój przyśmierzał w płomienistym locie!... zamiast ciasnego świata i tych miejsc ponurych, przedemną otwarta droga do oceanu bez granic; — płynę, u nóg moich zwierciadlana wód płaszczyna, ja widzę kraj nowy pośród dali mglistej i nowa gwiazda zowie mię do nowej krainy!...

Tam rydwan w momencie zerwał się z wysokości na płomienistych skrzydłach, dusza zapałem tknięta i czarowne fantazy porywają mię dla nowych dzieł do innego świata. Czyliż ty biedny robaku zatratowany w pyłe ziemi, — uniesiony ognistą nadzieją, wytrzymasz urok niebieskiego szczęścia? — tak... ja się pożegnam

z tym nędznym światem i ze słońcem miłym dla ziemi, ja zerwę wrzeczydże grobów i dumną ręką odemknę bez drżenia straszne bramy śmierci, przed którymi blednieje odurzona ciżba; człowiek nie ustąpi w walce z przeznaczeniem; rozwarła się przed nim ciemna i groźna pieczara, lecz czyliż on opuści przed nią dumne spojrzenie. — Tam wytknięta mi droga zkąd zimny strach powiewa i całe piekło ochrania wejście, lecz ja łącząc się z prochem wieczności, ostatnie dzieło moje zapieczętuję własnem zniszczeniem.

Do mnie więc, do mnie o ty czaro moja! do mnie, do ust moich! zrzuc z siebie powłokę smutku i zjaw się jak w owe starodawne czasy, kiedy na uczcie ojców, w godzinę północy przechodziłaś z rąk do rąk wśród szumnej biesiady; sztuczne na tobie rznięcia przypominają mi młodość burzliwą i czasy wesołe, lecz teraz napełniając twe brzegi napojem śmierci, ja nie oddam cię bratu zapraszając na śmiertelne gody! — burzy się, zatruty napój, dla woli nie ma granic; — ja śmiało podnoszę do ust moich czarę, piję poraz ostatni i witam poranek!...

FAUST *podnosi do ust truciznę.*

Echo dzwonow; chór spiewa.

CHÓR ANIOŁÓW.

Chrystus zmartwychwstał
 Siłą zwyciężką,
 Więzy niewoli
 Ludu biednego.
 Upadły dziś.

F A U S T.

Jakiż to znajomy odgłos odezwał się kołomnie, on
 odrywa od ust moich czarę; huczą dzwony w półno-
 cnej ciszy, one grmią świętą wieścią dla naszej sła-
 wy;— tak, to godzina w którą Pan Zmartwychwstał, i
 ten odgłos był zwiastunem tryumfu;— tak niegdyś spie-
 wały aniołowie nieba, na znak przymierza, u grobu
 Bożego.

CHÓR NIEWIAST.

Myśmy grob ubierały
 Kwiatami wonnemi,
 Ze łzami oblekały
 W białe prześcieradła;
 Z tęsknotą niemą
 Jego strześliśmy tu,
 Lecz niestety, Chrystusa
 Już nie znajdujem dziś.

CHÓR UCZNIÓW.

Chrystus Zmartwychwstał,
 Dla tego kto w ucisku
 Wśród srogich udręczeń
 Czekał Zbawiciela
 Boga odkupiciela,
 Zbawca Zmartwychwstał!.

F A U S T.

O, po co z takim zachwycającem uczuciem odezwa-
 łyście się wy koło mnie cudowne oddźwięki!? dajcie
 mnie umrzeć spokojnie, — jam spędził bez nadziei ży-
 cie i nie mam gdzie odetchnąć od ziemskich udręczeń;
 brzmijcie wy tam, gdzie wysłucha was człowiek z po-
 korną czystością i da wam łagodną odpowiedź! dla
 mnie znikł już załog świętej miłości; ja czuję wieść,
 lecz w sercu wiary niema, a kto cudu nie uznał, ten
 już jest bez wiary; podnosząc się z tego padołu z go-
 rącemi modły, mnie nie dosięgnąć już teraz do sfer
 ukrytych, jam uczuł ten odgłos w poranku życia, on
 wyzwał mię z przedsionka grobu. Bywało w godzi-
 nę pokoju, pocałunek nieba, unosił się na demną przez
 wiarę zbawienia, echo dzwonów falami szumiało nad
 głową młodzieńca i dusza jedną wiarą żyła; ja drża-
 łem od uniesienia, płakałem, modliłem się i modlitwa

ta była niebieską roskoszą; porwany cudownem uniesieniem, jam uciekał w lasy i góry, jam lży palące wy-lewał i w płomienistej piersi cały świat zawierał! O dzwinki uroczę .ozwijcie się jeszcze, przelejcie we mnie choć promyk nadziei, wy znowu odnowiłyście w pa-mięci mojej dziecinne zabawy i roskosze wiosny; gło-su waszego ja słucham nawet w godzinę ostatniej mę-ki; ozwijcie sięż tedy boskie odgłosy w tej śmiertelnej chwili nad grzeszną głową moją , ja słucham was , ja was rozumiem ; lza drży na oku. . . ja znowu żyć za-czynam! . .

CHÓR UCZNIÓW.

Z prochu mogiły
Do tronu Wszechwładcy
Wstępuje Zbawiciel,
Mękę podjąwszy
Niebo osiągnie,
On nie porzuci nas
Na smutnym padole,
On wiarą oświeci nas
Dla błogich przyszłych dni.

CHÓR ANIOŁÓW.

Chrystus Zmartwychwstał!
 W krainie zniczczenia
 Pokoj ogłoście,
 Słowo zbawienia
 Opowiedzcie ludom,
 Pan z grobu powstał!!!

LAS I PIECZARA.

FAUST *sam jeden.*

Potężny duchu, ty dałeś, dałeś mi wszystko o co
 błagałem ciebie!.. niedarmo zjawiłeś się ty przedemną
 w płomienistym obrazie; ty dałeś mi tę dziwną
 naturę, dałeś władzę czuć ją i z roskoszą używać; —
 i ja nie z oziębłym podziwieniem zdumiewam się nad
 jej wysokimi tajemnicami; ty pozwoliłeś zajrzeć mi,
 do świętej piersi przyrodzenia, jak do przyjaznego serca,
 ty wyprowadziłeś przedemną hufy żyjących stworzeń,
 ty braci nauczyłeś mię poznawać w powietrzu,
 wodach i lasach drzemających; ty w godzinę burzy, kiedy
 dąb stóletni, sąsiednie drzewa z trzaskiem druzgo-

cząc, upada, i straszny upadek, głaz osiwiaty z jęczmieniem głuchem powtarza, przywiódłeś mię do samotnej pieczary; ty tajemnicze i święte cuda mej duszy odkryłeś przedemną; a kiedy księżyc łagodny postaniec pokoju, błysnie na niebie po nad głową moją, wtedy zlatują ku mnie z odwiecznego głazu zeszyłych wieków srebrzyste cienie i rozbijają na chwilę posępne dumanie.

Ja czuję że dla człowieka tu nie ma doskonałości; ty do świętego uczucia, które mię wznosi ku niebu przydałeś towarzysza; surowy i oziębły, on jednakże potrzebny dla mnie, chociaż w oczach moich on mię i poniża, on wznieca w sercu mojem dzikiej miłości wybuchy, wzburzone pragnienia chwilowie zmieniają się żądzą rokoszy, a dosięgłszy celu, zapalają się nowym pragnieniem.

Wchodzi Mefistofel.

MEFISTOFEL.

A co, czy nie nudno czasami tobie; patrzno w jaką głusz on zabrnął; no raz położmy, ty udaliłeś się od świata, a tam i znowu żyj uprzednim trybem.

F A U S T.

Precz odemnie piekielny duchu, i w godzinę błogą nie wzburzaj mej duszy!

MEFISTOFEL.

No, no — nie gniewaj się, idę, nie bardzo mi wesoło w tej głuszy, bądź pewny nie wielka osobliwość popatrzeć na takiego zwierza; — jak się nie staraj, nie pracuj, niczym nie dogodzisz wielmożnemu panu; tam bieź, tam pełzaj, tam kręć się, i każdy dzień jedno a jedno.

FAUST.

Jeszcze śmie szemrzeć, a czyliż nie on sam umorzył mię z nudy.

MEFISTOFEL.

Azaliż nie ja nędzniku w zamianę cierpień udarowałem cię szczęściem roskoszy, azaliż nie ja wyrwałem cię z zapалу szaleństwa i bałamuctwa twojej wyobraźni; bezemnie według najpewniejszych rachunków, dawnobyś nieżył na świecie. Ocknij się ponury mizantropie i porzuć skrywać się jak sowa w tych ciemnych pieczarach, wszak ty uschniesz prędko pośród tych gór samotnych; zaiste szkoda mi ciębie, ty wszystko jeszcze trącisz uczonym.

FAUST.

Gdybyś ty wiedział o czarcie, że w tej pustyni, życie nieba spoiło się ze mną, ty byś sam zwaryował z zazdrości.

MEFISTOFEL.

Jest czemu zazdrościć! dzień i noc rzucać się jak szalonemu po dołach i górach, przyłgnąć duszą do ziemi i do nieba, i siako tako karabkać się do bóstwa, przeniknąć do wnętrza ziemi, wszystkie cuda stworzenia ogarnąć uczuciem, marzyć, wysilać się, duszę całą wylać w upojeniu miłości własnej, i potem to cudowne, święte natchnienie, zakączyć tak...

z grymasa.

..... że aż wstyd powiedzieć!...

FAUST.

Ten wstyd niech spadnie na ciebie!...

MEFISTOFEL.

A co, to jegomości nie pod humor; łąać mię ty może masz prawo; w tym razie może być obraziło się twoje niewinne ucho, ale pierś ognista i dusza dumna dawno już przywykły do ziemskiej zabawy; zresztą co tu mówić, w tych miejscach nuda każdego zamęczy i tobie nie użyć w pustyni; spójrz jakieś ty wychudł i zgarbiał, zostań tu jeszcze dzień jeden, drugi, ty niechybnie postradasz ostatnie zmysły. Ty więdniesz tu, a ona tam bez snu, bez pociech, gorzkie łyzy roni, i męczy się samotna wśród okropnych marzeń. Ty isto-

tnie, szalenie jesteś kochany. Naprzód w zapale słodkiej imaginacji, ustępując uczuciu rokoszy i nie mogąc ukryć przed nią gwałtownej miłości, tyś zaszczepił namiętność w jej duszy, a teraz zawartyś się w ponurej pieczarze, śmiejesz się potworo, z nieszczęsnej dziewczyny! Czém powiedź ty odpłacisz za tę skromną miłość! Jej biednej nudno żyć samotnie; czasami kiedy ogromne chmury ciągną się czarnemi kłębamami przed jej oczyma i skrywają się za starożytne oświatłe mury, ona chmur błaga „dajcie mnie skrzydła” — jej oczy dawno już snu nie znają; wśród niemej tęsknoty to śmieje się, to płacze nieszczęsna, a myśli jej wszystko dążą do ciebie, do ciebie kochanka jej duszy!...

FAUST.

O zmiejo, zmiejo!

MEFISTOFEL *na stronie.*

Teraz złapałem...

FAUST.

Nadaremnie ty czarcie starasz się ukryć przedemną; ty nie wtrącaj znowu mej duszy do zgrai pasorzystych ludzi; pocoś obłudnemi barwy odmalował ty przedemną jej lice rokoszne, na coś czarowną pięknością zapalił w mem sercu gwałtowną burzę?

MEFISTOFEL.

No, cóż — kiedy się ona lęka abyś ty czasami nie zdradził; wszak i to prawda, że tu w tej dziczy, zdajesz się od niej jakby ustraniać.

FAUST.

Ja zawsze z nią i wszędzie, i serce me jak wprzódy, wrzy ogniem miłości.

MEFISTOFFL.

Przyznam się, że mnie samego czasami porывała zazdrość, spoglądając ukradkiem, jak ona bywało pięści się z tobą w spokojnem zaciszu.

FAUST.

Precz...

MEFISTOFEL.

Więc bądź że drów, zaiste niewielka dla mnie pociecha patrzeć na twoje waryacye; ja cię prosto prowadzę do jej sypialni, a nie do chłodnej mogiły.

FAUST.

Ja szczęście nieba piłem w jej objęciach, daj mnie i duszę stopić na rokosznem łonie; lecz czyliż ta namiętna i porywcza dusza, potrafi ulżyć cierpiącej nie-

doli; — Jak nędzarz w rospaczy, jam rzucał się ze skały na skałę, i z upragnieniem szukał bezdennych przepaści piekła, jam ginął; a tam, w samotnem zaciszu, rozkwitła ona jako róża polna i nie znając trwożliwego smutku, czysta niewinna jak dziecko, żyła sobie w malenkim domeczku z radośnym uśmiechem. Ale ja odrzucony od wszystkich, pasując się z okrutnym losem, nie dosyć żem w rospaczy obruszał na siebie skały szaloną ręką, jam dziewicę biedną przeraził, zjawiwszy się przed nią jak djabeł, i błogą spokojność jej duszy zniszczyłem ogniem namiętności. Mnie straszno czaracie, ty rozbroy strach, niech ziszczą się groźne wyroki i gniew niezbędny nieba, niech spadnie na nas wśród gromów piorunnych!...

MEFISTOFEL.

No, otoż i znowu zapalił się gorączką; pójdź lepiej do niej i pociesz w ciężkiem strapieniu; kiedy on czasami choć raz zdurzeje, dla jego już nie ma ratunku; ja radzę tobie brać przykład ze mnie, wszak my zdaje się, już dobrze zbratali się z sobą; — nic niema nie-
znośniejszego na świecie, jak djabeł w rospaczy...

P. TURCEWICZ.

Petersburg.

M A Ł E M U

J. BUJNICKIEMU.

Józio! ty nie wiesz co te życie znaczy,
Był twój w troskliwej rodziców pamięci,
Z uśmiechem każdy słówka twe tłumaczy,
Każdy z pośpiechem wypełnia twe chęci.

Czas będzie, ujrzysz teatr tego świata,
Obaczysz różne gry ludzi na scenie,
Tu smutek włada, śmiech na czas przylata,
Skargi na bliźnich i na przeznaczenie.

Ujrzysz — bogactwo, urzędy, nauka,
Siłą się sławę swą podnieść wysoko,
Lecz Józio! w życiu jest największa sztuka,
Komu dać brawo, gdzie odwrócić oko.

Gdy niedopuszcza biednego do progu,
Możny lub bogacz, i mędrzec ochoczy,
Bieg planet pojął nie myśląc o Bogu,
Nie dawaj brawo, odwróć twoje oczy.

Innego mowa przyjemna i śmiała,
A myśl ukryta i zdradą zaćmiona,
Pamiętaj; słowo jest do serca strzała,
Trucizną gorzką bywa napojona.

Modl się, Bóg tylko utrzyma te groty,
On w myśli duszy zagłębia głęboko,
Józiu! w postępkach gdzie nie widzisz cnoty,
Nie dawaj brawo odwróć twoje oko.

Inny się stara mieć związki przyjaźni,
Pochlebstwem chytrym wychwala przywary,
Niema szczerości bez bożkiej bojaźni,
Niema przyjaźni, tam gdzie niema wiary.

Niech w Życiu twoim prosta będzie droga,
W smutku, w radości, zgodna z wolą nieba,
Co mamy, wszystko my mamy od Boga,
Dla niego wszystko ofiarować trzeba.

Ciąg życia twego niech będzie bogaty
W cnoty, skromnością twarz zawsze ubrana,
Anioł stróż zbierze młodości twej kwiaty,
I bukiet złoży ten przed tronem Pana.

Bóg młodość twoją od przygod ocali,
Zesze ci szczęście prawicą łaskawą,
I chór Aniołów cnoty twe pochwali,
I kraj rodzinny odda tobie brawo.

JAN BARSZCZEWSKI.

1839 roku.

W Panowie.



D O

Więc już po wszystkim? — więc i marzenia
 Które mi siebie poilem
 Znikły na zawsze? — nawet wspomnienia
 Już dziś na wieki zgubiłem?
 Jak żeglarz morski, gdy wprąd zaleci,
 Niesion wodami bystre mi,
 Patrzy w nadzieję co przed nim świeci,
 Mamiąc się czasy miłemi;
 I płynie długo z równą chyżością
 Walcząc z skrytymi skałami,
 Aż uniesiony prądu bystrością,
 Złączy się z śmierci wodami —
 Tak ja płynąłem w życia kolei,
 Mamiąc się ciągle dość długo,
 A żem się ujrzał w krańcu nadziei,
 Twoją sprowadzon postugą.
 Lecz żeglarz za to przeklnie sam siebie,
 Że się zapędził w tę drogę,
 Ja mógłbym za to mieć żal do ciebie,
 Ale przez przyjaźń nie mogę.

EM. KAR. SIEDR.

28 Grudnia 1841.

Ant kalnela
 Pry sodnela
 Ar amatot pójku goju?
 Ten mergieli,
 Lieli jeli
 Graudiaj aszoras ledama!
 Bocze ach! Bocze ach! Bocze ach!

Kto w tym grobie? powiem tobie. —
 Ty myślałeś że tu jej kochanek,
 Że mogiłę sypała, nad mogiłą płakała
 Lilia — dziewa co chwila, co ranek. —
 Nie kochanek tu leży. Czegoż dziewczę przybieży,
 Grób — kurhan okrapia wciąż łzami,
 Oczy w niebo podnosi, śmierci wzywa i prosi
 I rozpacza i świat ją nie mami?
 Bo i za co kochanka, od wieczora do ranka,
 Już zmarłego na wieki, żałować?
 Umarł, umarł niewróci — łza zmarłego nie cuci,
 Drugi — będzie goręcej całować. —
 Drugi czulej przycisnie, — ogień w oku zabłyśnie,
 A w tym ogniu moc duszy stopnieje,

Żądze w piersi jej sypnie; do ust lubych przylipnie,
 W ogniu czucie, z czuciem się zleje!
 Ona w ogniu tej duszy pamięć przeszłą wysuszy
 Całunek całunkiem zmyje —
 Oko czarne przymróży — i na wieki i dłużej
 W tej gorączce przemarzy, przeżyje,
 Więc kochanek na ziemi! Czegoż łzami gorzkimi
 Grób — kurhan codziennie oblewa?
 Może pusta jej chatka? może ojciec i matka,
 Pod zielonym wzgóreczkiem spoczywa?
 Ojciec wyszedł na pole, matka krzące w stodole
 Żyją zdrowi, weseli oboje —
 Choćby nawet schowała, dzień by może płakała,
 Na drugi zetrze łzy swoje —
 Może który z jej braci? Brat bez żalu się traci.
 Przyjaciółka zapewne jej młoda?
 Dostyc oczy odwrócić, — przyjaźń z serca wyrzucić!
 Za cóż wędnać ma we łzach uroda?
 Ona miała kochanka, — od wieczora do ranka
 On ją ścisnął sam przez nią ściskany,
 Ale druga zajrzała, — serce chybkie wyrwała —
 I on rzucił kwiateczek wyspany;
 Zazdrość w oku jej błyska, zazdrość łezki wyciska,
 Jej serduszko pęka z rozpaczy.
 On na drugiej już łonie — w pośród piersi utonie,
 O niej wspomnieć, pomyśleć nie raczy.

Na kurhanie — kochała, na kurhanie ścisłała,
 Kurhan wiąże wspomnieniem boleści,
 Na kurhanie są kwatki jej miłości, łez świadki,
 Wonny wiaterek jej włosy tam pieści.
 A jak ciemno na dworze, — Ona nie śpi w komorze;
 Na kurhanie z boleści omdleje;
 Noc z oczyma złotemi, noc — kobieta jasnemi
 Swemi łzami zimnemi obleje.



DUMANIE.

Czegoż się nudzę, — wzdycham bez ustanku?...
 Wgronie przyjaciół zawsze jestem niemy,
 Więcej nie myślę o laurowym wianku,
 Ani myśl pędzę w roszkowne haremy.

Gdzież są owe chwile, szczęścia i sławy,
 Dla których wszystko miotalem pod nogi?
 Gdy z piersi moich, jak z wulkanu lawy,
 Potok niszczący rozlewał pożogi....

Teraz spokojny, — marzę tylko sobie
 O przeszłych szalach — tworach wyobraźni,
 I tylko niekiedy wspomnę o tobie —
 Mój ty aniele sprawco moich kaźni....

Tak wszystko mija; — lecz pamięć zostaje
I ona jedna nas tylko pociesza;
Pamięć prowadzi nas w przeszłości kraje
Pamięci szczęścia nigdy nic nie zmiesza.

L. Z.

St. Petersburg.



SAMSON.

Szczękę oślą porwawszy i wiarą świętą wzniecony,
 Cudowny Samson w okrąg śmierć po polu szerzy,
 I rozbity wróg dumny, własną krwią swoją zbroczony,
 Zaległ ziemię śmiertelną mogiłą rycerzy.

Izrael więzy kruszy, brzmia hymny w przybytkach Pana,
 Pieśń duszy Bogu wdzięcznej do nieba przenika,
 Narod powstał, znów odżył, wiara naddziadów uznana
 I krwawe ślady wojny zatarł pług rolnika.

Lecz wrogami niezbity, Samson potęga swych braci,
 Duszą dzielną upada na niewieścim łonie,
 Zapomina na Boga, cudowną siłę swą traci,
 I przez zdradę kobiety w więzach wrogów tonie.

Ci mu oczy wydarli, żarna obracać kazali,
 A tym czasem na narod bez wodza strwożony,
 Nowe hufy wysławszy, starców i dzieci, ścinali,
 I znów jęczał z Samsonem Izrael więziony.

Od Pana opuszczony, siedząc w sromotnej niewoli,
 Dopiero wielki więzień, uczuł niebios karę,
 Więzy ciała przejadły, echo rodzinnej niedoli
 Zatruiwa jeszcze bardziej srogiej męki czarę.

W tém wyrznawszy plemiona, powraca Filistyn dumny
 Z pola bitwy, do grodu wśród dzikich okrzyków,
 Narod brnie do bożnicy, gdzie pomiędzy kolumny
 Każe stawić Samsona wśród swych wojowników.

Tu zelżony od wrogów, srogie znosząc kacerstwa
 Czuje potęgę zemsty niegdyś olbrzym był,
 Czuje swe poniżenie, z wiary prawej bluźnierstwa
 Więc błaga Pana w duchu o uprzednie siły.

Pan głos żalu wysłuchał, wołą potężną skinął;
 I gdy wrog bardziej bluźni z Jego cudnych czynów,
 Samson wstrząsnął kolumny, gmach ogromny runął,
 I w gruzach poległ więzień z tłumem Filistynów.

P. TURCEWICZ.

Petersburg.

WIEZIENÍ.

W wilgotnych murach więzienia

Słuchać jakiś tęskny głos;

Ocierając łzy cierpienia,

Więzień szemrzał na swój los:

Jak tu ciemno, jak tu nudno,

Czy dzień gaśnie, czy dnia brzask,

Tu minutę przeżyć trudno —

Tu nie wschodzi słońca blask!

I wiecznie cisza grobowa

Tylko czasem kajdan brzęk,

Lub dozorczy grozne słowa

Przebudzą uspiomy jęk.

Czém zasilić pierś zmęczoną?
 I powietrze duszne tu,
 Czém pocieszyć myśl strapioną?—
 Spokojnego niema snu.

Tu ni jednej nie ma duszy,
 Co rozumie serca żal,
 Jęk niedoli nieporuszy
 Twardszych uczuć nizli stal.

Tych cierpień srogiej kolei,
 Boże! chiba skrócisz Ty,
 Zeszlij choć promyk nadziei
 Przez pocieszające sny.

J. SWIATKOWSKA.

9 Września 1843.

Petersburg.



D O M

K O P E R N I K A

W TORUNIU.

Cesarz Napoleon w czasie swej wyprawy do Polski przejeżdżał przez Toruń, a zdjęty ciekawością chciał odwiedzić dom, w którym się urodził Mikołaj Kopernik, i powziąć wiadomość o szczegółach dotyczących się pamiątek tego sławnego astronoma. Kazał przyzwać do siebie burmistrza miasta, „opowiedz mi podania miejscowe przechowane o Koperniku” burmistrz prusak zmieszany obecnością Cesarza, i bardzo mało obeznany z historyczną tradycją niepotrafił odpowiedzieć, biedny człowiek, spodziewający się zapytania o żywności dla woj-

ska, i podatkach, patrząc na Cesarza Francuzów stracił przytomność; szczęśliwym dla niego trafem, kilku obywateli Torunia będąc także przedstawieni, podratowali burmistrza zawiadamiając Cesarza, że dóm gdzie się urodził Kopernik exystuje do tego czasu, i jest własnością tkacza nazwiskiem Matias, dokąd Napoleon natychmiast kazał siebie zaprowadzić.

Ten dóm bardzo skromnej powierzchowności i zbudowany na zbiegu dwóch ulic, składa się z dziedzińca i dwóch pięt, obrócony jest frontem do fontanny zwalonej przed tą epoką. — Cesarz wszedł na pierwsze piętro, gdzie się znajdował pokój Kopernika, urodzonego 19 Lutego 1473 r. o 4ej godzinie po południu. — Wszystko było religijnie zachowane; od ojca do syna szanowano pomieszkane wielkiego człowieka. Wizerunek Kopernika zawieszony był nad łóżkiem i zasłona z materii czarnej z całą świeżością zachowana; stół jego, szafa, dwa krzesła, wszystkie ruchomości były tamże złożone. Ten pokój, ta uboga cela, była przybytkiem na który spoglądano, lecz nieśmiano ruszyć!

Cesarz zapytał tkacza, czy niechciałby sprzedać portretu Kopernika, miał bowiem chęć posłać go do Paryża dla umieszczenia w muzeum Napoleońskim w Louvre, lecz tkacz mu odmówił, ponieważ portret jest uważany za relikwiją udzielającą szczęścia temu kto go

posiada. Cesarz już się więcej nie domagał, szanując ten szlachetny zabobon.

Od tego czasu dom Kopernika był odwiedzany z większą ciekawością przez wielką liczbę podróżnych, z rozkazu Napoleona fontanna zepsuta została naprawioną i na jej szczycie glob umieszczon.

Opuszczając dom Kopernika Napoleon, udał się dla zwiedzenia kościoła Ś. Jana. Pomimo wszystkich ciekawości które ten kościół w sobie zamyka, zwrócił szczególnie swą uwagę na Kopernika grobowiec, czas go wprawdzie zniszczył; lecz Cesarz kazał go starannie poprawić.

Grobowiec Kopernika jest ustawiony na północ od wejścia po prawej stronie, pomnik jest z marmuru białego, wystawiający Kopernika klęczącego u stop krzyża, a na podstawie następujący znajduje się napis:

Non parem pauli gratiam requiro,
Veniam Petri neque posco, sed quam
In crucis ligno dederas latroni
Sedululo Oro.

Niżej:

Nicolao Copernico Thorunensi
Absolutæ Subtilitatis
Mathematico, ne tanti viri, apud extera
12*

Celeberrimi in Sua patria periret memoria, hoc
Monumentum positum.

Mortuus Varmie in S^{co} Canonico

Anno, 1543 Ætatis XV.

Pomnik i napis jest zrobiony kosztem obywatela Pynesiusa doktora w Toruniu urodzonego. Pynesius żył w końcu XVIgo wieku; Kopernik zaś umarł jak wiadomo w Travenburgu w Warmii starożytnej prowincyi Polskiej i został pogrzebiony w kościele katedralnym tego miasta. Lecz Pynesius chcąc unieśmiertelnić pamiątkę na ziemi rodzinnej sławnego Astronoma Polskiego, wznosił mu pomnik w kościele Ś. Jana w Toruniu.

Z rozkazu Napoleona pomnik był postawiony koło wielkiego ołtarza, ponieważ tam był widziany z wszystkich stron kościoła, wszystko to robiono kosztem Cesarza.

d. 26 Września 1841 r. Cybulów.

MŁODOŚĆ KOPERNIKA.

WIADOMOŚĆ XV WIEKU.

Lekki wietrzyk cicho wieje
 Zwiastując pokój naturze,
 Po czystym niebios lazurze
 Tysiąc światel goreje. —
 Toczy się kregem wspaniałym
 Księżyc, sen rozwodząc głuchy,
 I nad światem oniemiałym
 Przedwieczne czuwają duchy.
 Z nimi czuwa przyjaźń prawa,
 Ona nasze wiedzie kroki,
 Słodsza niżli snu uroki
 Roskoszą duszę napawa!

IGNACY CHODŹKO.

Młodość jest wiekiem wycieczek błędnych poszukiwań, których cel jest w rzędzie podróży, które się kończą z podarciem obuwia i wypróżnieniem worka; człowiek niema jeszcze żony, któraby go obarczała, rąk dziecinnych, któreby go zatrzymywały, ani stanu którego by go wiązało do miejsca, ani obowiązków za któreby

odpowiadał. Wiek to czynny dla uzbierania zapasów swego zapału, jak dziecko zbiera kwiaty leśne, motyle na łąkach, dla ich kształtu, dla blasku i barwy; tak wiek młody ugania się za łudzącymi powabami świata. Po czem porównanie cierpienie nauki przychodzi natychmiast.

Każdego roku widać wyjeżdżające tłumy studentów, z uniwersytetu krakowskiego, rozpraszających się wesoło i śpiewając po całej Polsce.

I.

Pięknego ranku letniego roku 1489, statek pędzony przez kilka wioseł, szybko przelatał po wodach Wisły; młody student stał na nim i spoglądał za sobą na oddalający się Kraków z obszernymi równinami i kształtnie zasadzonymi ogrodami, już nasi podróżni witali mury starożytne Sandomierza, już zwracali uwagę na sławne spichlerze Kazimierza i na zasadne gmachy Warszawy, gdy statek się zatrzymał w miejscu gdzie Bzura wpada w Wisłę, przeciw zamku Wyszogrodzkiego, wiosłarze przytwierdzili do słupów otaczających małą wyspę statek, a sami wysiedli na ląd.

Zamek Wyszogrodzki wznosił się na spadzistej górze, jego architektura średnich wieków tworzyła poważny

gmach, a dzisiaj jest tylko kartką historii wrytej na kamieniu. Lecz jeżeli Wyszogrod zadziwił podróżnego swoją majestatyczną wielkością, jakież jego było wzruszenie przebiegając oczyma wsi go otaczające? Tam znajdują się okolice z zbytkowym plonem, doliny mchem usłane i z opłatami powoju cierniów dzikiego chmielu, tysiące gniazd zielonych, z pod których wylatuje dym chatek, wszystkie te oczy kwieciste, z pośród których sterczy strzała dzwonnicy, a bluszcz i winna latorośl purpurowa swemi giętkimi postaciami przyozdabiają mury zamkowe.

Drzwi główne są obrócone ku Wiśle na przeciw wyspy, gdzie się zatrzymały statki, zajazd wzmocniony był przepaścią, na której rzucono most zwodzony; na wystawie bramy dawał się widzieć herb książąt mazowieckich połączonych z familiją Piastów, a obok herbów polskich, zawieszona była tarcza zagraniczna świetniejąca złotem i drogiemi kamieniami.

O zachodzie słońca, wiosłarze i młody student roznieciwszy ogień przyrządzili wieczerzę, światła zamku dochodziły aż do nich odbijając się w rzece. Tam życie sztuczne, tu natura w całej swej wzniosłej piękności.

Młody student lekko posiliwszy się, opuścił swych towarzyszy, dla przejścia się w okolicach wyspy, noc

była tak cicha, skłaniała mimowolnie ku myśleniu, więcej jeszcze do marzeń.

Otoż go widzisz oddzielonego od tych pierwszych przyjaźni, na które drży jeszcze serce, gdy ci życie odmówiło wszystkich nadziei; młody student opuścił szkoły i swe ciężkie prace; ma ujrzeć swoich rodziców, śpieszy ich ucałować po długiej nieobecności; wyjechał dzieckiem, wraca człowiekiem, stawia przed sobą terazniejszość i przyszłość; ma jechać do Włoch dla skądzenia swych nauk w akademii bolońskiej, marzy o naukach i chwale.

Młodość żyje żądzą i nadzieją, nie myśli o niebezpiecznym zawodzie, który ma przebiegać; jakże się nierozczulać nad nieuchronnemi niebezpieczeństwami co ją mają otoczyć. Młoda i tkliwa ofiara otoczona kwiatami, niewie gdzie ją czas unosi, ulega losowi nieodmiennej, który ją wskazuje na cierpienia.

Biskup warmiński stry młodego studenta, odgadłszy szczęśliwe usposobienia swojego synowca, postanowił wysłać go do Włoch, lecz przed tą daleką podróżą, młody człowiek chciał odwiedzić rodziców, którzy opuścili Kraków dla zamieszkania w Toruniu.

Nasz bohater był zanurzony w myślach o przyszłości, kiedy usłyszał szelest łodzi przybijającej do wyspy, wkrótce wioślarze wysadzili na ląd dwóch ludzi, mówiących językiem obcym; byli to Grecy, a student,

który się szczególnie oddawał wschodnim językom niestracił czasu dla wszczęcia z nimi rozmowy; dowiedział się, że ci ludzie należeli do księcia Nicifora Lascarice, potomka familij panującej w Grecyi. Książę zaś słyszawszy o piękności Anny córki księcia Konrada mazowieckiego, opuścił swój kraj, udał się do Wyszogrodu z prośbą o rękę Anny, o którą postanowił rozprawić się z swojemi spółzalatnikami.

Na żądanie księcia zapowiedziano turnieje, bo w tym czasie z włócznią w rękę ogłaszano swą miłość. Tarcza Lascarisa została umieszczoną na wystawie zamku Wyszogrodzkiego; był to znak wyzwania; wszyscy panowie dworu księcia mazowieckiego przybyli walczyć z Laskarisem.

Anna była nieczuła na miłość księcia; wytrwałość i odwaga te dwie cnoty, które tak się podobają kobietom, niemogły zwyciężyć jej obojętności, a w dniu kiedy młody uczeń przybił do brzegu wyspy, książę mazowiecki oświadczył Laskarisowi, że ręka jego córki była obiecana Bolesławowi księciu Legnickiemu, potomkowi Piasta. Chcąc ją zostawić wolną w wyborze, dodał książę, przyjąłem twoje żądanie, lecz ona sama obowiązała mię odjąć ci wszelką nadzieję.

Lascaris udał zasmuconego, ale się nie zraził, i postanowił swój zamiar przyprowadzić do skutku nasła-

ny przez gwałtowną miłość! to była kobieta którą żądał, a żądał nad wszystko.

II.

Księżniczka na kilka dni przed tē m zdarzeniem obiecała Lascarysowi byđź na polowaniu, które on przygotował dla niej, błagając ją jak o ostatnią łaskę, jak o ostatnią pamiątkę, i o ostatnie pożegnanie, by dotrzymała tej obietnicy. Książę Konrad nieśmiały przeciwie się, a Anna lubiąca namiejętnie jazdę konną odpowiedziała, że będzie na łowach w towarzystwie swych dwóch braci i dam honorowych.

Świeżość nocy zapowiadała piękny dzień na jutro, wszystko zdawało się sprzyjać zamiarom Lascarisa. — Rozmowa dwóch Greków objaśniła studenta o wszystkim co się dzieje w zamku. Będąc pewni, że nie zostaną podsłuchani, mówili o spisku, w którym mieli grać rolę ważną, mieli bowiem porwać i uwieść księżniczkę. Kilku ludzi z orszaku księcia miało się zasadzić na przeciwnym brzegu dla przyjęcia księżniczki z rąk Lascarisa, i przeniesienia ją na łódź, gdzie dwóch Greków miało byđź ukrytych przez cały dzień, a skroby raz opanowali księżniczkę, mieli ją jak najspieszniej przewieść przez rzekę.

Młodość jest zawsze gotową do poświęceń, postępek szlachetny, czyn odważny, są to ponęty, którym się oprzeć niezdolą; zaczynające się życie jest tak piękne, pełne nadziei i wiary. Młody student postanowił ocalić księżniczkę jakimkolwiek bądź sposobem, przepędził całą noc na wyspie, niestracił z oczu łodzi na której byli oba Grecy.

O świcie usłyszał odgłos rogu wzywającego myśliwych, natychmiast zamek cały był w poruszeniu: słudzy, pokojowi, strzelcy, dojeżdźczace, wszystko się ruszało. Straż księcia okryła wały, a herold wojenny wyszedł na szczyt wieży i wstrząsł w powietrzu sztandar. Wnet spuszczone i most zwodzony, a brzęk ciężkich łańcuchów potrzykroć powtórzyło echo.

Wieślarze krakowscy stanęli na palcach dla przypatrzenia się temu widokowi tak nowemu dla nich, i prosili o pozwolenie dowódcy swego, dla przygotowania posiłku rannego bliżej zamku, by tam mogli widzieć przeciągające polowanie, co bardzo się zgadzało z zamiarem naszego rycerza; przypatrzwszy się za tem dokładnie wszystkiemu, prosił dowódcy, żeby można wprowadzić statek w małą odnogę otoczoną krzakami, ponieważ z tamąd widział zamek i gościniec wiodący do lasu barowickiego.

Wszyscy myśliwi zajęli swe stanowiska, strzelcy z sokołami na pięści uszykowali się w porządku, całe

zgromadzenie było w oczekiwaniu, i gdy się księżna Anna pokazała; odziana była w długiej szacie amarantowej, podbitej gronostajami; Lascaris cały połyskujący złotem i stał, podszedł ku niej i podał jej rękę dla podsadzenia na koń, po czem wszyscy się ruszyli.

Księżniczka wyjeżdżając z zamku, spotkaną była przez tłumy ludu zebranego dla oddania uszanowania w jej przejeździe, a ze wszystkich stron dawały się słyszeć głosy: „niech żyje księżniczka Anna!” Anna uśmiechała się z dobrocią, była szczęśliwą widząc przywiązanie, które wzbudzała. Lascaris wznosił dumnie głowę; jego wzrok zdawał się mówić: „Ona będzie moją!”

Wkrótce myśliwi udali się ku lasowi, Lascaris nie oddalał się od Anny, a kiedy stracił z oczu całą zgraję, powiedział do niej, bądź łaskawa zatrzymajmy się tu chwilę, niech jeszcze pomówię z tobą, niech jeszcze spojrzę na ciebie, daj dla mego serca pamiątkę, jedną na całe moje życie.”

Laskaris spostrzegł łodkę, na której byli ukryci dwaj Grecy; Anna poruszona litością lub zalotnością, niewiem czem; zsiadła z konia; natychmiast Lascaris porwał ją w pól i uniosł ku łodzi.

Młody student pilnując obu Greków ciągle, przekonał się, że całą noc pili, a przed dniem usneli.

Skoro ujrzał przybywającego Laskarisa, zbliża się do łodzi, przecina sznury, któremi była przytwierdzona do

brzegu i trąca ją na środek rzeki. Wioślarze widząc postępek młodego studenta zawołali o pomoc, wnet straż książęca przybywa, Lascaris rzuca swą zdobycz, siada na koń i jak najspieszniej ucieka do lasu, ale w ucieczkę upuszcza swą tarczę. Młody student unikając podziękowań księżniczki, wraca do swej łodzi.

Książę Konrad dał rozkaz szukania wszędzie oswobodziciela swej córki, i nasz rycerz został zaprowadzony w tryumfie do książęcego zamku, Anna go przyjęła nie z dumą księżniczki, lecz z uprzejmością, z dobrocią kobiety. „Jakże ci potrafię wyrazić wdzięczność, którą czuję powiedziała mu, jestem przejętą tem coś dla mnie uczynił, uwielbiam twoją odwagę; iść w zapasy bez broni przeciwko ludziom uzbrojonym; poświęcić się z własnej woli, poświęcić się bez widoku, to by za wiele było, gdybym ci niebyła tak głęboko wdzięczna.”

Książę Konrad myślał że potrafi innym sposobem wywdzięczyc się za jego poświęcenie się, ofiarował worek młodemu studentowi, lecz ten odrzucając go odpowiedział: „Książę! zrobiłem to dla mego serca i sumienia, słowa księżniczki Anny zrobiły mnie dumnym z samego siebie, nieuniżaj mnie, nadając cenę temu co nazywasz pięknym uczynkiem.”

W czasie tej rozmowy paziowie księcia przynieśli tarczę, którą Lascaris zgubił uciekając.

O mój ojcie! powiedziała Anna, pozwól mi ofiarować tę tarczę memu oswobodzicielowi; moja pamięć będzie się łączyła wspólnie z jego poświęceniem; po tem obracając się do młodego studenta dodała: „Lecz ja żądam ażebyś coś także miał o demnie” a odwiązując przepaskę aksamitną amarantową, która przyozdabiała jej piękne włosy, ofiarowała jemu. Po tych oznakach wdzięczności, młody student wyszedł z zamku; uwielbiali go, błogosławili wszyscy, a nikt niewiedział jego nazwiska! Cóż mogło obchodzić dwór książęcy nazwisko biednego studenta? zapewne nigdy go już nieujrzą, nigdy nieusłyszą mówiących o nim; nie jest że on dosyć szczęśliwy, ocalwszy księżniczkę?

Kiedy nasz rycerz wrócił na statek, wszyscy go uprzejmie witają, ściskają, chwają, wioślarze co nieodrzucili pieniędzy przysłanych od księcia Konrada, cały dzień wesoło spędzili i śpiewając opuścili brzegi wysznogrodzkie.

III.

Droga z Wyszynogrodu do Torunia trwała trzy dni, młody student umieściwszy tarczę na przeciw siebie, nieprzestawał na nią spoglądać, chciał on wytłómaczyć te znaki symboliczne, te heroglify wschodnie. Na dnie

lazurowym błyszczało słońce, otoczone dwónasto znakami zodiaku, u dołu był umieszczony genjusz ukazujący palcem na słońce, i następujące wyrazy: *On wskazuje jego prawdziwe stanowisko.*

Wrażenie trudne do wytłómaczenia przejęło młodego człowieka, zdawało mu się jakoby słyszał wewnątrz głos przemawiający do siebie, słuchaj natchnienia które ci Bóg zsyła, a imię twoje zostanie wyryte na głazie nieśmiertelności. Dusza się jego ocknęła obudzona iskrą gienjuszu i zgłębiła tajemnice stworzenia. On przeniknie rewolucje niebieskie, stanie się wielkim, sława zanieś imię jego w najdalsze części świata, on zrozumie Boga! Tarcza i przepaska amarantowa będą jego talizmanami.

Nie wypadek, lecz Opatrzność wskazała mu jego przeznaczenie, a niebo będzie zdobyczą genjuszu.

Zdarzenia które nas zajmują, były pamiętne w rocznikach nauki; idźmy za dziwnym popędem wynurzonym u brzegów Wisły i wrażonym na całą Europę, której sprostował wyobrażenia astronomiczne; za popędem obudzającym czynność umysłu ludzkiego, i nadającym mu całą jego dzielność; a jeżeliśmy się zatrzymali chwilę nad stroną romantyczną tej historii, to dla tego, że niema nic obojętnego w życiu człowieka, który położył zasady nieśmiertelnej nauki; i stał się, że tak powiem nauczycielem narodów i wieków.

Cofając się nazad myślą do wieku, w którym żył ten wielki genjusz, a nawet do odleglejszej epoki, niemożna nieprzejąć się uwielbieniem, niejaką rokoszą, czytając wykład jego o ruchu rocznym ziemi, w którym po ustanowieniu linii równoległych do jej osi, wyprowadza ztąd z takim porządkiem i jasnością zmiany i powrót perjodyczny pór roku; czytając to wzniosłe dzieło, do którego doskonałości pisma starożytnych żadną niebyły pomocy, a nowe światła nic dodać niemogły, zdaje się, że natura sama odkryła mu tajemnice swojej budowy, kiedy przebiegając jego dzieła przechodzimy do rewolucji światów niebieskich, widzimy w każdym prawie rozdziale wykładu historycznego rozwinięcie myśli, będących przedmiotem tej przedziwnej księgi.

Przed Kopernikiem tysiące wyobrażeń ludzkich dociekało i tworzyło nowe postrzeżenia, błąkając się myślą po obszernych krainach niewiedomości. Lecz Opatrzność natchnąwszy genjuszem, jednego z grzesznych dzieci Adama, zesała go na ziemię dla obalenia fałszywych wyobrażeń, trwających tyle wieków, ażeby na ich gruzach wznosił potężny system, którego tysiące lat nieodmienią.

Niechlubiąc się swoją nauką, ani jej podając za nowe odkrycie, stara się przeciwnie ukryć jej nowość by nieprzerazić swego wieku śmiałym swoim systema-

tem. Zdawałoby się wnosząc po staranności, z jaką zgromadzał i przytaczał wszelkie wiadomości starożytnych o ruchach ziemi; iż chciał odjąć swoim własnym pomysłem wszelką cechę pierwotowości. Ale zgłębiany rozbiór jego dzieła wystarcza dla przekonania nas, że cały ten systemat uważany w swojej całości i w swoim rozwinięciu nie jest budową wzniesioną z szczątków dawnej nauki, ale zupełnie samodzielnym utworem.

Zbliżając szczęśliwe i pierwotne pomysły zebrane w tym dziele, musimy uznać w nim geniusz *transcendentalny*, którego orle spojrzenie zgłębia w niejaki sposób całą przepaść wieczności, ponieważ odgadł następstwa przyszłych pokoleń, w najtrudniejszym i najdelikatniejszym poszukiwaniu, ponieważ zapowiada z zaufaniem te drobne nierówności w ruchach niebieskich, których powolne postępy, ledwie po upływie wieków objawiają się. Nakoniec najdokładniej wskazał potężności prawdziwą przyczynę tych nierówności.

Wróćmy do szczegółów powszedniejszych, do podróży naszego studenta. Podróż artystowska, kiedy dusza czuje, a umysł myśli; jest to pielgrzymka z okiem błakającym się z nieba do ziemi; przenikającym religijną ciemność wielkich lasów, wstępującym na wysokie góry, a przez to zbliżającym się do Boga; jest to zatrzymanie się i zniżanie dla zobaczenia ułomnych dzi-

wów drżącego zwiru, obrazu duszy delikatnej i czulej, a którą noga obojętna niszczy i ugniata; jest to mierzyć okiem niezmierzone horyzonta oświecone słońcem w całej swej pełni; przelotne chmury przesuwają się po tych śmiejących się polach, szybkie i uciekające cienie jak błędne smutki przenikające serce pośród uciech biesiady.

Podróż artystowska jest nauką o człowieku; to jest o człowieku, duszy tej wielkiej całości, której każda cząstka przyczynia się do potrzeb jego podwójnego życia, jako potrzeba albo jako rokosz, i o człowieku podobnym do owadu wylęgłego na roślinie, która go żywi; o człowieku przybierającym barwę ziemi, na której złożyła go ręka Opatrzności, by tam żył i umierał.

Dusza młodego studenta była rozczuloną przebiegając brzegi Wisły; mój Boże! o jak jest piękna moja ojczyzna! powiadał, będąc jej godnym, zostałem natchniony światłością z nieba, którą mu w daninie poniosę; poczem rzucał wzrok rozczulony na malowniczą okolicę; wkrótce opuścił wszystko dla czerpania nauk, dla rozwinięcia geniuszu, którym mnie Bóg obdarzył, spoglądając na całą naturę jakby jej oddawał dzięki. Rzeka rozlewała swe wody cicho i niewinnie, nagle ukazał się spad tej pięknej rzeki, jak niespodziany wybuch namiętności, i rzucał się w kształcie wodospadu, rozlewając się w swem łożysku w kolorze błękitu nie-

ba, a złociste promienie słoneczne, i zieloność rozłożystych drzew, spadającej strugami wodzie po skałach granitowych, nadawały czarujący widok, jak młodość niszcząca wszelkie przeszkody niedociekając ich przyczyny, z przeszkody na przeszkodę, ze skały na skałę, ginie w otchłani niezmiernej.

Wkrótce Toruń z wzniosłymi wieżami ukazał się na horyzoncie, każde uderzenie wiosła przybliżało młodzieńca do rodzinnego dachu, nakoniec statek się zatrzymał, i ujrzał dóm stary czerwono malowany dóm swego ojca, pobiegł tam spieszenie, serce zaniemiało, ojciec wyszedł naprzeciw niemu porywając go w objęcie z radością, a łzy matki błogosławiły jego przyjazd. Matka nie jest w stanie mówić ujrzawszy syna po długiej nieobecności, szczęście matki wynurza się łzami i modlitwą; ojciec zaczął go zapytywać o przeszłości i przyszłości, w swoim synie widział skończonego człowieka, a matka niewięcej jak swe ukochane dziecko. Młody uczeń uściskawszy swych rodziców, zapytał o swojego stryja biskupa warmińskiego: „Twój stryj odpowiedział stary Kopernik jest zawsze najlepszych chęci dla ciebie, myśli o twojej przyszłości, a jeżeli masz jaką ochotę do nauki, on ci dopomoże wszystkimi swojemi sposobami. Tak rozmawiając dążyli ku domowi.

Skoro stanęli, młody człowiek opowiedział swoją przygodę w zamku wyszogrodzkim; mówił z zapałem o pię-

kości księżniczki Anny, powtórzył każde jej słowo, pokazał potem swoim rodzicom tarczę Lascarisa, ale jego objawienie wewnętrzne natchnienie ku umiejętności, pozostały tajemnicą; obawiał się by go nieoskarżono o zarozumiałość — gdyby powtórzył te słowa, które za słowa Boga uważał: „On mi wskaże prawdziwe jego stanowisko.”

Chwila rozłączenia nadeszła, i młody Kopernik w połowie tylko podzielał boleść swej matki, miłość nauki zajęła jego duszę i wszystkie uczucia umilkły, przed tą szlachetną dumą. Była to pora, w której kupcy Toruńscy udawali się w rozmaite strony dla interessów handlowych, jeden z nich jadący do Bolonij, obowiązał się towarzyszyć młodemu Kopernikowi. Po długiej podróży, przybyli do jednego z piękniejszych miast Szląska. Na wyniosłości dawał się widzieć przepyszny zamek, który jednoczył w swej budowie wszystkie działości sztuki XV wieku; te korunki kamienne, te ramy złote, te posągi z szczerzego srebra, zwracały na siebie oczy wszystkich podróżnych. Okolice miasta były tak bogate w ciekawości tego rodzaju, że karawana kupiecka, ledwie nie za każdym krokiem zatrzymywała się, tym sposobem przybyła bardzo późno do bram miasta, straż przeciwiała się wejściu, ztąd zaszły kłótnie między kupcami a żołnierzami, przyszło do bitwy, w skutek której wielu kupców wzięto do więzienia.

Kopernik bardzo się zasmucił tym wypadkiem, bo się obawiał aby się nie spóźnił na otwarcie biegu nauki. Miotany przykremi myślami, przechadzał się wzdłuż i wszerz w miejscu, gdzie była zaszła bitwa, gdy jakiś człowiek z gminu zbliżył się do niego, i rzekł: »Spółziomkowie twoi są w przykrem położeniu, zle zrobili że się ze strażą zwaśnili, wytoczą im process, i Bóg wie na czym się skończy.

Czy władze tego miejsca bardzo są surowe? zapytał Kopernik, ale najpierw jak się nazywa to miasto?

To Lignica odpowiedział człowiek co z nim rozmawiał, a książę Bolesław nami rządzi, dopiero się ożenił z księżniczką mazowiecką, piękniejszą i świetniejszą od słońca; uroczystości trwają w zamku od chwili małżeństwa, tańczą, piją, z tem wszystkiem księżna jest tak dobrą, że niezapomina o swoim biednym narodzie.

Anna rządzi tym krajem, krzyknął Kopernik! pocziwy człowieku, ty mnie wracasz życie! Aeh ja jestem pewny, moi rodacy otrzymają przebaczenie.

Tarczę zostawił u swoich rodziców, lecz przepaskę amarantową nosił przy sobie, i cała jego nadzieja spoczywała na tym zakładzie danym mu przez księżniczkę.

Nazajutrz skoro bramy miasta otworzono, młody człowiek, odziany w długą szatę jasno błękitną przepasa-

ną pońsowym paskiem, udał się do zamku książęcego, tu niewolno wejść powiedziała straż książęcia, widząc strój zagraniczny. Kiedy niechecie mnie puścić powiedział młody Polak, oddajcie tę przepaskę księżnej, a mnie dozwólcie czekać w przedpokoju na jej roskazy. Oficer od służby uśmiechnął się szydersko, obowiązując się wypełnić jego prozbę.

Anna postrzegłszy przepaskę, wyrzekła głosem słabym, ach niech wejdzie szlachetny młodzieniec, usiłując ukryć wzruszenie powiedziała: „mój mąż będzie rad oświadczyć mu swoją wdzięczność.”

S podziwieniem całego dworu, Kopernik został wprowadzony; lecz jakie jego było wzruszenie przybliżając się do księżnej.

„Co też tu przyprowadzić mogło mego oswobodziciela, powiedziała Anna; dobrze zrobiłeś przychodząc do mnie, jeżeli jesteś nieszczęśliwy, znajdziesz we mnie osobę, która wszystko podzieli i czym będzie mogła pomoże, a wrzeciwym razie będzie szczęśliwą jeżeli ei wszystko dobrze idzie, pamięć serca niezaginie, a ja nigdy niezapomnę twego szlachetnego poświęcenia się.”—

Po krótkiej chwili oświadczył Kopernik księżnej przyczynę swego przyjścia, prosząc o przebaczenie winy swoim spółziomkom, którzy tegoż dnia zostali oswobodzeni.

Księżna usilnie starała się zatrzymać Kopernika, lecz gdy oświadczył jej cel swojej podróży, niebył dłużej zatrzymywany. Anna obdarzona pojęciem otwartym, rozumiała więcej jak inne kobiety, miłość i potrzebę nauki. Kopernik przed wyjazdem, był przedstawionym księciu Bolesławowi, który go przyjął z odznaczającą się grzecznością. Nakoniec opuścił zamek dla złączenia się z swymi spółziomkami, a serce jego było żalem ścisnięte.

Za przybyciem do nich obsypany był podziękowaniami wdzięczności, jako za jego wstawieniem się zostali oswobodzeni: przez cały pobyt karawany w Lignicy, dodano im straż zabezpieczającą od prześladowań zuchwałego ludu.

IV.

Po tych wypadkach tak dobrej wróżby, Kopernik przybył do uniwersytetu bolońskiego; pilność jego, zdatność, wielkie usposobienia rozwinięte ku nauce, zyskały mu wkrótce uwielbienie nauczycieli i współuczniów, a zaledwie trzy lata upłynęły, a już odbierał zaszczyty akademickie, i mianowanym został pomocnikiem i towarzyszem prac Dominika Mario z Ferary: był zatem wyjeżdżając już z Polski biegłym w astronomii i matematy-

ce. Nauka jego tak mu wysoką wziętość i sławę przyniosła we Włoszech, iż będąc powołanym do Rzymu w 27 roku wieku swego, na nauczyciela matematyki, publiczne jego lekcje ściągnęły mu zewsząd liczne zebranie uczniów.

Kopernik był wybornego składu i urzędnika wewnętrznego: wielki gienjuszem, wielki duszą, mógł kochać, musiał kochać: pamiątka Anny pozostała nazawsze niezglądzoną, a ta pamiątka miłości tak czystej ochroniła serce jego od namiętności niszczących pierwotną młodość. Pod pięknem niebem włoskiem, w tej atmosferze miłości i wrzących roskoszy, pozostał wiernym nieposiadłszy celu swych życzeń; wiernym niemając nadziei otrzymania go kiedy.

Kopernik wracając do Polski, niezatrzymał się w zamku Lignickim, może winien był tę ofiarę nauce, może by sobie wyrzucał to roztargnienie duszy swojej od wzniosłych rozmyślań, bo milczenie jest także religiją. Wróciwszy do swej ojczyzny, zajął się wyłącznie odkryciami astronomicznymi, a świat ogłosił jego cuda.

V.

W tym czasie księżna Lignicka straciła męża, a gdy niemając dzieci, powierzono jej rządy księstwa, Anna często słyszała mówiących o Koperniku, lecz się nie-

spodziewała, żeby tym wielkim genjuszem mógł być jej oswobodziciel, skromny młodzieniec w czasie swej bytności u dworu, utaił swoje imię; podróżni zwiedzając Mazowsze i Warmenię, opowiadali że wielki astronom Polski wybrał stan duchowny i osiadł w Trauenburgu. Księżna Lignicka powodując się przecuciem swego serca, chciała się udać do Trauenburga dla widzenia Kopernika, ten zamysł nikogo niezadziwił, bo po wszystkie czasy była opiekunką nauk i uczonych. Nakoniec postanowiła zwiedzić miejsce, w którym cała jej nadzieja spoczywała! — Ochmistryni Anny towarzyszyła jej w tej podróży, a kilku służących przywiązanych składało cały jej orszak.

Po przejechaniu Prus polskich i Prus książęcych, dały się widzieć jeziora przezrocyste, piaszczyste równiny i szerokie lasy. Anna spoglądała na wszystko z uwagą, lecz jakie było jej wzruszenie spostrzegając miasto Trauenburg z katedrą i należącą do niej wieżą służącą za gwiazdouwaznią Kopernikowi.

Był to dzień świąteczny, z rozmaitych okolic wierni przybywali do kościoła. Księżna Anna odziana w żałobie z twarzą ukrytą pod długą zasłoną korunkową, przechodząc między ściśnionym ludem do katedry, nie była uważana; wszedłszy rzuciła się na kolana przed wielkim ołtarzem, dziękując Bogu za szczęśliwą podróż. Oddana modlitwie niezwracała uwagi na to co ją ota-

czało; ruch w kościele przerwał nabożne rozmyślanie. Krzyżacy i rycerze Teutonscy przychodzą złożyć ofiary na wielkim ołtarzu z darów zdobytych na poganach. Dalej matka z oczami łzami zalanymi przychodzi zawiesić *votum*; Bóg wysłuchał jej modłów, Bóg ocalił życie jednemu jej dziecięciu. Wszyscy wierni cisną się do ołtarza Boga-Rodzicy, dla złożenia modłów dziękczynnych.

O jak była piękna ta świątynia Boża, napełniona wonnami kadzidłami, drżąca świętą harmonią i cała promieniująca trofeami. Wskroź gęstych dymów z kadzideł błyszczą włócznia Żmudzina, szabla Litewska i sajdak tatarski. Wszystkie kolumny katedry okryte zbroją Niemiecką, a w miejscu odosobnionem na zawieszonym perskim kobiercu połyskiwała tarcza świetniejąca złotem i kamieniami z przepaską amarantową. Ta ofiara wzbudzała wielkie poszanowanie, bo każdy z pochyłym czołem, mimo niej przechodził. Anna poznała w tej ofercie tarczę Lascarisa, gubiąc się w domysłach, kto mógł umieścić w kościele tę tarczę, należącą do jej oswobodziciela.

Pamiętka przeszłości cisnęła się do jej serca, była wzruszoną jak wprzód wstępną chwilę do wielkiego szczęścia, a trwożliwa jak młoda sarna wszedłszy pierwszy raz na rozłożystą łąkę bez przewodnictwa matki.

Wychodząc z kościoła księżna zapytała zakrystjana, dla czego wierni pochylając głowę przechodzą mimo tej tarczy? Jak to odpowiedział zakrystjan, czy pani tego nie wiesz, nie jesteś więc pani z naszych stron, ponieważ tu wszyscy mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy znają historję cudowną tych błogosławionych relikwii, chętnie zatem opowiem; ta tarcza była daną naszemu kanonikowi przez Ś. Michała Archanioła, a dając mu wytłómaczył obrót słońca i planet. Ta tarcza przedmiot poszanowania dla nas dużo już zrobiła cudów, ciemnym przywróciła wzrok, głuchym słuch.

Księżna uśmiechnęła się słuchając tego opowiadania, nikt niemógł od niej lepiej wiedzieć pochodzenia tarczy, a zadowolniona tēm zdarzeniem dała kilka dukatów zakrystjanowi.

Przybycie księżny do tak małego miasta jak Trauenburg, było przedmiotem rozmów wszystkich mieszkańców, kobiety powiadały, że Anna przyjechała widzieć pięknego młodzieńca, w którym się kochała przed zamęściem. Mężczyźni mając mniej złośliwości w swoich domysłach, przypuszczali, że księżna była sprowadzona przez interessa polityczne, powiadali także o projekcie zamiany księstwa Lignickiego na biskupstwo Warwińskie.

Anna niebyłaby kobietą, gdyby się była oparła chęci widzenia Kopernika, jednakże z tēm wszystkiem po-

winiem powiedzieć na jej pochwałę, walczyło w niej serce z rozumem, lecz wiadomo która strona zwyciężyła w podobnym razie.

Nakoniec wzięwszy postanowienie zrzuciła suknię aksamitną czarną, a przywdziała na siebie ubiór wieśniaczy, swoje długie włosy ukryła pod przewiązką z muslinu, a tak przestroiwszy się wyszła do katedry mówiąc rożaniec.

Księża siedząc w chórze śpiewali nieszpory, głos piękny i czysty jak głos anioła, roznosił się w odgłosach pod sklepienia świątyni, ten głos zadrzął w sercu Anny: przeszłość przyszłość, wszystko się zmieszało w tej chwili. Ach! przebacmy jej! to jej to szczęście bez jutra, to szczęście bez nadziei, to szczęście, które się miało skączyć za usłyszeniem tego głosu.

Śpiew ucichł, pobożni pomału zaczęli wychodzić z kościoła, a księża opuścili swoje ławy dla udania się wewnątrz klasztoru. Jeden tylko odłączył się od nich i przechodząc samotnie ukląkł przed wielkim ołtarzem dla odmówienia swych modłów.

Anna śledziła go wzrokiem i natężyła swój słuch, dla usłyszenia jeszcze jego głosu.

Światłość niebieska otaczała lice księdza, ogień Bożki błyskał z jego oczu; Anna w świętym zachwyceniu poglądała na to zjawisko.

Dzień już się miał ku schyłkowi, cała świątynia była przejęta religijną pośpnością, kapłan odmówił swoje modły głośno. A przed odejściem podniósł oczy ku niebu i wymówił te słowa:

Wielki Boże! daj mi łaskę, abym zapomniał o tém anielskiem stworzeniu, ażeby mój umysł tylko tobą był zajęty, lecz pozwól mi ją pierwiej pobłogosławić, nim zapomnę na zawsze, niechaj jeszcze raz ją ujrzę, i niech się spełni Twój święta wola.

Anna siłą niepokonanego pociągu wiedziona, zbliżyła się do księdza i przemówiła do niego głosem wzruszonym.

Ty coś mnie ocalił w młodości, przychodzę do ciebie! odgadłam tajemne życzenia twojej duszy, przychodzę nieodbierać, lecz błagać twego świętego błogosławieństwa.

Błogosławię cię powiedział Kopernik, wierz i módl się, niechaj się tak stanie! Amen.

W obecności Boga przebacającego wszystko, te dwa serca były wzajem dla siebie; ksiądz odzyskał dawne uczucia, ten głos, ta spokojność, to piękne lice wracają mu chwile najszczęśliwsze już dawno upłynione.

Anna wstaje, bierze za rękę Kopernika i wiodąc go przed tarczę, rzekła:

Tutaj cię po raz ostatni żegnam, a podnosząc oczy do nieba, dodała łzawym głosem, tam się zejdziemy i już się nigdy nierozłączymy.”

Powiedziawszy te słowa, jak najspieszniej z katedry wróciła do domu i przemieniła swój strój na suknię żałobną z postanowieniem nigdy już jej niezrzucić.

Tegoż wieczora opuściła Trauenburg: ona także chciała oddać Bogu, wszystkie swoje myśli, i poświęcić mu wszystkie swoje pamiątki.

Kopernik długo dociekał przyczyny tak dziwnego postępowania, bo doszedł już do tych lat, w których łatwiej mu było odgadnąć tajemnice stworzenia, aniżeli serca kobiety.

Kopernik żył odosobniony w zupełnej samotności, niewychodził za mury klasztoru, tylko w wielkie uroczystości: dla tego to niewiedział o znajdowaniu się księżny lignickiej w Trauenburgu; — tym czasem cała kapituła o tém tylko mówiła, i gotowała się do złożenia jej swego uszanowania, gdy zagnała dowiedziano się o jej odjeździe. Kopernik w imieniu kapituły miał do niej przemówić. — Nikt niemógł pojąć postępowania księżny, nikt niemógł wytłumaczyć przyczyny znajdowania się jej w tak małym i ubogim jak Frauenburg mieście.

Anna zniknęła jak marzenie szczęśliwe, jak nadzie-

ja , lecz jeżeli zostawiła pamiątkę , jedną tylko pamiątkę! — nieżałujmy jej! — Na pociechę śmierci i rozłączenia mówimy sobie: „Szczęśliwy po kim płaczą , i kto był kochany.”

Napisała po francuzku OLIMPIJA CHODZKO.

Przełożył na Polski, Władysław HERBU LELIWA.



SMIERĆ MŁODZIENCA.

Cóż to za smutek krąży do koła,
Nieme dokoła milczenie,
Twarze wybladłe, posępne czoła,
Na ustach każdego drzenie,
Nieśmiem przerywać grobowe cisze,
Może niewczesne pytanie.
A w tym w przyległej komnacie słyszę,
Cichy szmer, lekkie stąpanie,
Gdy się powoli rozwarły podwoje,
I cóż ja widzę? młodzian dogorywa,
Ledwo rozkwitnął kończy życie swoje,
Blady, wzrok gaśnie, tchnienie się przerywa.
W poranku samym ten kwiatek zerwany,
Okrótne śmierci! straszne groty twoje,
Niszczą nadzieje i plany
Lecz on zapomniał o tym co być miało,

Anioł pokoju osiadł w jego duszy,
 Przed tron sędziego stanie nogą śmiałą.
 Nic w nim nadziei wiary niezagłuszy,
 Bogaczu który niepominisz żeś człekiem,
 Pogardzasz biednym, pognębiasz bliźniego,
 Tę jedną chwilę zapłaciłbyś wiekiem,
 Byś tak spokojnie stanął przed tronem sędziego.

EMILJA A.



WYJĄTKI Z POWIEŚCI

MALWINY.

I.

SPIEW MALWINY.

„Gwiazdko luba, gwiazdko błoga,
 Leć na powrót do mnie leć;
 Twa zrenica dla mnie droga,
 Twą zrenicą znów zaświeć!

Bo bez ciebie rozpacz wściekła,
 Trawi życia mego kwiat,
 Bo bez ciebie widma piekła,
 Mglą nadziei błogi ślad.

Bo bez ciebie bez ustanku,
Strach — za strachem biegną w trop;
Bo bez ciebie o kochanku,
One wciąż mi wróżą grob.

Kto nie poznał tej władczyni,
Co miłością trzeba zwać,
Niechaj swoje serce wini
Ów niegodzien, by go znać.

Nie wart nawet człeka mienia,
Jest to raczej z chwastu snop;
Żyje z sercem — jak z kamienia,
Umrze?... kamień wrzucą w grob!

A ty luby! kochać umiesz,
Przeto prędeż leć tu — leć!
A ty luby mię rozumiesz,
Przeto prędeż mi za świeć.

2.

SPIEW TEODORA.

Falo modra, falo dzwięczna,
Dzwięczniejsza od innych fal;
W twoim kraju noc miesięczna,
Ma dać dzisiaj świetny bal.

Tam — król księżyc w twej powadze,
Jak u ludów mocarz pan,
Dworskie gwiazdy — czczą w nim władzę,
Ród zaś wodny — czci w nim stan.

Muzykiem eol łagodny,
Wywołuje tony z lir;
A taniec tej uczyt godny,
W ślad za tobą spada w wir.

Duszo moja, duszo czuła,
Tyś czulsza od innych dusz,
W twoim łonie tron usnła
Moja luba — dawno już!

Na nim świeci w tej powadze
Jako mocarz — władzca pan...
Czucia moje czczą w niej władzę,
Myśli?... czczą w niej serca stan.

Muzyką ciche westchnienie,
Co leci za lubą w trop;
Tańcem mych oczu płomienie,
Które za nią — spadną w grob.

WINCENTY GOZDAWA REUTT.



Z IMIONNIKA R. Z.

I ty jeszcze chcesz pieśni biednego pielgrzyma,
Chcesz słuchać jeszcze zbitej lutni brzmienia,
Pieśni w której innego nigdy czucia niema,
Oprócz jednego uczucia cierpienia.
Chcesz, a więc niech się stanie podług twojej chęci,
Biorę lutnię mą do ręki,
Zbieram tony do piosenki,
Która niech będzie ci piosnką pamięci;
Kiedy będziesz w Litwy stronie,
Gdy ujrzysz gwiazdy na Litewskim niebie,
I gdy Wilejskie obaczysz błonie
Wspomnij tego, co niegdyś chciał spiewać dla ciebie.
A może o nim przypadkiem zapytasz,
Lecz gdy nikt o nim nie powie tobie,

Szukaj więc wśród smętarzów i jego schronienia;
A gdy na skromnym grobie,
W pośród imion wielu,
I moje imie wyczytasz,
Wtenczac od ciebie mój przyjacielu,
Jadnego tylko żądam westchnienia.

ANTONI KOPANSKI.



Godzina.

E L E G J A.

Zadzwoił zegar, jam stanął na nogi,
 I w różnych myślach zostając natłoku,
 Wybiegłem nagle, przestąpiwszy progi,
 Stałem smutny — ze łzą smutną w oku. —
 Chwile omamień ileż szczęścia macie!
 Ileż radości przynosicie sercu,
 I ileż smutku szczęściem powlekacie
 By smutek w szczęścia wystawić kobiercu!
 Jam myślał o tém, że szczęście spłynione
 Jeszcze ma świecić zbolałej zrzenicy,
 Że już niezgaśnie — szczęście zawiedzione
 Przyszłych męczarni krwawi poprzednicy; —

Jam myślał o t \acute{e} m, \acute{z} e znowu z kolei
Jak dawniej poj \acute{d} ę widzieć t \acute{w} e oblicze,
I tak w najst \acute{o} dszej zostaj \acute{a} c nadziei
Chwile przeszłości nieszczęśliwe liczę. —
W t \acute{e} m dźwięk zegaru doszedł mego ucha,
Zrywam się, biegnę; lecz moja \acute{z} w t \acute{e} m wina,
 \acute{Z} e serce mocno tych uderzeń słuca,
Jak niegdyś, gdy biła szczęśliwa godzina.
Tak ten co długo słucał trąby g \acute{o} osu
Gdy w myślach o niej usłysz \acute{y} jej tony,
Choć ju \acute{z} daleki od swej powinności
Jeszcze się wzruszy i stanie strwo \acute{z} ony,
Jeszcze chce lecieć wśr \acute{o} d wojny choasu,
By jeszcze ziemi nowych dodać kości.
Jam mu podobny — z t \acute{a} tylko różnic \acute{a} ,
 \acute{Z} e on ma uśmiech — ja ł \acute{z} ę pod zrenic \acute{a} ;
Po c \acute{o} ż tam p \acute{o} jdę w zadanej mi męce,
Chybaby po to bym widział jej d \acute{l} onie,
Cisn \acute{a} c obce miłsze dla ni \acute{e} j r \acute{e} cę,
Lub usta w obce przytulone skronie;
Niechcę pomna \acute{z} ać tych m \acute{a} k i rospaczy,
Co pi \acute{e} tnem strapień me życie naznaczy.
Lecz, o godzino! ty swemi sposoby,
Mo \acute{z} esz dla ziemi przyczynić daninę,
I tak og \acute{l} osić godzinę \acute{z} aloby,
Jak niegdyś szczęścia g \acute{l} osiłaś godzinę.

O gdybym szczęściem lub nieszczęściem losu
W ostatnich chwilach usłyszał twe jęki,
Lub też z ostatnym odetchnieniem głosu
Kres mego życia twe głosiły dźwięki;
Wtenczas ja może tak byłbym szczęśliwy,
Jak w owych chwilach błogich mej pamięci,
Bo bym w mej duszy widział obraz tkliwy
Który ostatne me tchnienie poświęci.
O tobie myśląc ja zawrę powieki,
Kochając ciebie raz jeden na wieki;
Niechęć narzekać, że ginę w lat kwiecie
Niepowiem tego, że ginę z twej ręki,
Ani westchnieniem w życia mego mecie,
Narzekać niechęć na zadane męki, —
Tylko spokojnie jak woda wśród ciszy,
Szczęsnej godziny poczekam przy grobie,
Ciche westchnienie jeśli kto usłyszy,
Będzie ostatnym westchnieniem o tobie.

EM. KAR. SIEDR.

1837.

D O

M Ł O D O Ś C I.

O młodości kwiecie nieba!
 Raz tylko w życiu jaśniejesz,
 Jakże cię cenić potrzeba
 Nim zgaśniesz, nim zwiędniejesz.

Bo twoje nie trwałe wdzięki
 Choć swym widokiem czarują,
 Lecz nikną z blaskiem jutrzeńki,
 Jak mgły ranne ulatują.

I zostają tylko ślady
 Minionych uczuć uroku,
 Jak cień szczęścia wąły, blady,
 A łza tęskna błyszczy w oku.

I świat pusty, a wśród ludzi
Samotnie, jakby przy grobie,
Nic już nas więcej nie łądzi
Serce i dusza w żałobie.

O młodości! słońce życia
Zabłyśnij mi choć przy skonie,
Oświeć grobowe ukrycia
I roznieć życie w mem łonie.

ANIELA z KOZŁOWSKICH MARCINKOWSKA.

2 Maja 1843 r.

Stary Konstantynów,



KRAINA WSPOMNIENÍ.

Gdy lekki statek, syn burz, niepogody,
Po światłych kryształach Oceanu płynie —
Miedzianą piersią kraja światłe wody,
A nim z oczu zniknie, w tumanach zaginie —
Ślad przejścia za sobą zostawia na fali,
Ślad sięga daleko — i znika na dali.

Tak biedny człowiek, by dóść do kresu zabiegu,
Po morzu życia wprzód musi żeglować;
A nim stanie u portu wiecznego noclegu,
Na piersi własnej zawady rujnować;
Gdy zaś wzrok tęskny wtył drogi obruci,
Ubiegła przeszłość nie raz go zasmuci....

Raz дума podobna w mej duszy zaległa;
 Umysł w tumanach przeszłości zaginął —
 Pamięć w krainę pamiątek odbiegła, —
 I sen czarowny na oczy na płynął. —
 Jam widział dni smutku i światłe godziny,
 W obrazie czarownej przeszłości doliny. —

Myśl moja jak zorza krajobraz oświeca,
 Przez mgłę się pamięci porannej przebija,
 I cudne uczucia w mej duszy roznieca,
 I dziwne obrazy przedemną rozwija: —
 Poranek złoty swe światło rozlewał,
 A gaj cienisty roskoszą powiewał. —

Wchodzę do gaju — i wskrzesiło marzenie,
 Dusza ożyła wśród miłej ochłody —
 Pomiędzy kwiatów i konarów cieni,
 Kryształny strumień pędził światłe wody,
 Wesołą piosnkę po gaju roznosił,
 A rój motylów nad nim się unosił.

Gdym był dziecięciem, gdym jeszcze był mały,
 Moją rodziną był ten gaj cienisty;

Wesoło dziecięta dni mego spływały;
 Duszom miał jasną jak ten strumień czysty;
 Lecz ranne szczęście i me złote chwile,
 Znikły, zleciały jak złote motyle...

Marzenie znikło — łza w oczach stanęła;
 Smutek przeszłości mój widok zacienił;
 A gdy ostatnia łza żalu spłynęła —
 Umysł rozjaśniał — a widok się zmienił.
 Tak czasem obłok na słońce naleci
 Obłok przebiegnie i słońce zaświeci.

W cieniach gałęzi tkliwy słowik śpiewał;
 Łąka płonęła w barwnej kwiatów fali;
 Na końcu łąki las bukowy drzemał;
 W nim było słyhać synogarlic żale,
 Gdzieś chor remizow ogłaszał ustronie, —
 A ja płynęłam przez kwieciste błonie; —

Staję u brzegu, i duch się zachwyca:
 Głębokie milczenie w koło mię obiegło —
 Przedemną się wznosi czarowna świątynica;
 A drzewa odwieczne do nieba wybiegły;

Splotły się w górze jak sklepienia arki,
A mech szary pełznął na ich śniade barki. —

U wchodu stały dwie wierzby płaczące,
Drobne gałązki ich na dół spadały,
I swe listeczki jak lzy żalu lśniące
Na biały marmur rzewnie rozsypały —
Zwolna je ręką rosplatom, rozwodzę;
Stąpam na marmur — do świątyni wchodzę:

Złote promienia mię światłem oblały,
A zapach ambry me czucia obleciał;
W środku świątyni stał pomnik wspaniały,
Na stopniach jego anioł smutku siedział;
Wieniec róż białych mu czoło oplatał,
Spływał na ramie, i na marmur spadał. —

Na jednym ręku swoją główkę wspierał,
A w drugiej trzymał pochodnię tlejącą,
Na jego ustach żal gorzki zamierał,
Łzy miał na oczach, a twarz pałającą —
Widno że jego jakaś strata smuci,
Strata najdroższa, co nigdy nie wróci.

Podnoszę oczy — w tęczy obłoku
 Imie Maryi jak gwiazdka jaśnieje;
 Topi się w łzawem anioła oku,
 I złote światło po świątyni sieje —
 Drogie wspomnienie mą duszę przejęło,
 Serce zadrżało — a lice spłoneło. —

Ta gwiazdka jasna — to moja dziewica —
 Pączek mych uczuć — pierwiosnek miłości —
 Najmilszy kwiatek szczęśliwej przeszłości...
 A ta świątynia — duszy tajemnica,
 Gdzie anioł smutku troskliwe kryje
 Najstodszą pamięć miłej Maryi...

Marzenie znikło — łza w oczach stanęła;
 Smutek przeszłości mój widok zaciemnił;
 A gdy ostatnia łza żalu spłynęła —
 Umysł rozjaśniał — a widok się zmienił:
 Stałem na pustej i bezpłodnej błoni;
 A żdzwir i krzemień pod nogami dzwoni.

W końcu równiny gaj cyprysowy
 Ponuro szumiał, coś z wiatrem rozmawiał;

W wierzchołkach jego gnieździły się sowy,
 I głos się dziko puszczyka rozdawał.
 Posępnem okiem po błoniu tam krążę,
 Chrzęstam po szczątkach i do gaju dążę. —

A gdym się głębił w mroczne jego cienie,
 Wstrzęsły się wierzchy i mech mię zaproszył;
 Gdyż niespodzianem tu moim zjawieniem,
 Dzikich mieszkańców gaja rozpłoszył —
 Tak myśl zbrodniczą z czarnej zbójcy duszy,
 Świadek sumienie czasami wygłuszy. —

U brzegu wyschłej strugi koryta,
 Jakby pustelnik, lub pustelnica,
 Bluszczem usłana i mchem okryta,
 Stała samotna stara kaplica —
 Przez tarń i piołun co rosły po drodze,
 Idę na wschody — do świątyni wchodzę:

Trwoga i bojaźń przejęły mi zrazu —
 Młtawe promienia światło swe lały;
 Pomnik się wznosił z czarnego głazu,
 A na nim urny trzy rzędem stały —

Na wierzchu jednej — zeszcłej róży związka,
A na dwóch drugich — cyprysu gałązka. —

Wszystkie zielonym bluszczem uwite;
Smutna lampeczka w górze pałała;
Na głazach zimnych było wryte,
Imie Franciszki, imie Michała —
Łzy się polały, zaćmiły zrenice —
To moja siostra, — to moje rodzice. . . .

Marzenie znikło — i boleść minęła —
Lecz smutek jeszcze mój widok zacieśniał,
A gdy ostatnia łza żalu spłynęła —
Umysł rozjaśniał — a widok się zmienił:
Jeden, jak pielgrzym wśród południa śpięki
Szedłem samotny w kraj obcy, daleki. —

A droga pełna obrazów ponurych:
Posępne skały w stropach nieba wiszą —
Odwieczne lasy porosły na górach —
Wieczne tumany na nich się kołyszą —
Na stromych szczytach odwieczny śnieg świeci;
Z urwiska skały bystry potok leci,

A nim spadnie w przepaść, w pomrokach się skryje,
 Z okropnym jękiem o skały się bije,
 Wrzy na dnie przepaści, wkoło wszystko głąszy,
 Jak dzika rospacz w biednej człeka duszy.—
 Czas leciał jak potok, jak potok upływał,
 A jam kraj obcy, daleki przebywał. —

Szedłem samotny gdzie mię dola niosła —
 W tem czarna chmura z północy nabiegła,
 Z grzotem i burzą w górach się rozległa,
 I jak wieść groźna nad głową przeniosła —
 Zacichła przyroda, czas zgrozy przeminął,
 A byt mój ostatni z tumanów wypłynął:

Wzrok mój w pustynnej przestrzeni tonie —
 Bezbrzeżne stepy obiega —
 Dzień jasny gaśnie w zachodniej stronie —
 I mrok po drodze zalega. . . .
 Jam się ocucił, marzenia minęły,
 A lzy gorące po licu płynęły. . . .

IG. RUDZIŃSKI.

17 Grudnia 1841 r.

Nikopol.

ZAPAMIĘTAŁOŚĆ LUDZKA.

Zawsze błękitne niebieskie sklepienie,
I tak jak zawsze w górze obłok płynie,
I niepogoda dzień zaćmi i minie,
I słońce skrywa wieczorem promienie.

I wiosna także daje życie nowe,
I dęby szumią, wiatr w polu powiewa,
I także słowik w gęstym lesie śpiewa,
I w Dzwynie wody szumią kryształowe.

Wszystko w naturze idzie jedną drogą,
Wszystko się rządzi prawem przyrodzenia,
Człek tylko niezna swego przeznaczenia,
I gnębiąc bliźnich świat nabawia trwogą.

JAN BARSZCZEWSKI.

OFIARA ZAZDROŚCI.

DRAMAT WE DWÓCH SCENACH.

PRZEZ

ALEKSANDRA PUSZKINA.

Ainsi que la vertu, le vice a ses héros.

CHAMFORT.

SCENA PIERWSZA.

(*Pokój*).

S A L J E R Y.

Mówią powszechnie, że *tu* niema prawdy: wierzę.
Lecz prawdy niema i *tam*. Dla mnie to rzecz tak ja-
sna, jak najprostsza gamma. Urodziłem się z ochotą do

sztuki. Dziecięciem jeszcze będąc, gdy wysoko w starym kościele naszym organ huczał; jam się wsłuchiwał namiętnie, i słodkie łzy mimowolnie z mych oczu płynęły. Wcześniej puste rzuciłem zabawy; nauki, obce mej skłonności, wstrętem mię nabawiały; upornie i dumnie ich wyrzekłem się, a poświęciłem się całkiem jednej muzyce. Pierwszy krok jest trudny i przykra pierwsza droga. Gdym cierpliwie pokonał pierwsze przeszkody, naówczas wziąłem rzemiosło za podstawę sztuki; jako rzemieślnik starannie słuchowi siłę pewności, a palcom mechanizm biegły nadałem; umorzywszy dźwięki, rozsięknęłem całą muzykę jak trupa i harmoniję algebrą sprawdziłem. Zdątnym już wtedy czując się w nauce, śmiałem oddać się twórczej wyobraźni: zacząłem tworzyć, lecz w zaciszu, skrycie, nieśmiając jeszcze myśleć o sławie. Nieraz w samotnej komnacie pracując dwa, trzy dni, na sen i pokarm niepomyślny, po zachwyceniu i łzach słodkich, trud mój w ogień rzucałem i patrzałem zimno jak myśl i dźwięki przezemnie stworzone płonąc, wraz z lekkim dymem przepadały. Co mówię! kiedy na muzycznym świecie wielki Gluk błysnął i odkrył nam tajnie, tajnie głębokie, śmiałe, czarujące — czyliż wszystkiego, com pierwej posiadał, czemu wierzyłem święcie, com tak tkliwie kochał, czem duch mój całkiem był przejęty, nieodstąpiłem i nieposzedłem za nim powolnie, owszem ze szczerą wdzięcznością, jak błędny pielgrzym

za swym przewodnikiem?... Długą, cierpliwą i mozolną pracą, nakoniec w sztuce niemającej granic, pewnej znajomości doszedłem, i sława na mnie spłynęła, a serca słuchaczy wdzięcznie na utwory me odpowiedziały. Byłem szczęśliwy; cieszyłem się szczerze własnemi trudami, postępem i sławą, tak jak trudami i sławą przyjacioł — spółzawodników moich w pięknej sztuce. Nigdy ja podłej zazdrości nieznałem, nie, nigdy! — nawet, gdy sławny Piecini płochych Francuzów zachwyć potrafił; nawet, gdy po raz pierwszy boskie tony Ifigenii słuch mój uderzyły! Któż śmie powiedzieć, by Saljery dumny był kiedy nędznym zazdrośnikiem, gadem zdeptanym nogą ludzką, co ostatkiem życia swojego bezsilnie proch gryzie? Nikt! nikt! a dzisiaj, sam ja powiem, dzisiaj zazdrośny jestem! Ja zazdroścę mocno! strasznie, piekielnie zazdroścę! O nieba! gdzież sprawiedliwość, kiedy dar najwyższy, gdy nieśmiertelny genjusz nie uczuć namiętnej duszy, nie ofiar najdroższych, nie trudów ciężkich staje się nagrodą, a oto głowę jednego szaleńca, jednego trzpiota, gawrona, próżniaka boskiem swém światłem uwieńcza?... o Mozart! Mozart!

(Mozart wchodzi.)

MOZART.

Ha? szkoda, żeś mię ujrzał! chciałem niespodziewanym zabawić cię żartem.

SALJERY.

Ty tu! czy dawno?

MOZART.

Dopiero. Uważaj, szedłem do ciebie z jedną bagatelą; w tém, przed oberżą będąc, usłyszałem skrzypce — ha, ha, ha! — nie, drogi Saljery, ty w życiu swoim nic bardziej śmiesznego nigdyś nieśłyszał! Dziad ślepy w oberży wygrywał *voi che sapete*. Cudnie! niewytrzymałem, przywiódłem skrzypaka, by ciebie swoim zabił talentem. Choć tu!

(wchodzi starzec ślepy ze skrzypcami.)

Z Mozarta zagraj nam cokolwiek!

(starzec gra arje z Don Zuana, Mozart chychocze.)

SALJERY.

I ty się możesz śmiać?

MOZART.

Ach, mój Saljery! czyliż i sam ty nieśmiejesz się?

SALJERY.

Czegoż? mnie to nieśmiesz, gdy malarz niegodny kazi swym pędzlem Marję Refaela, lub gdy żak szkolny lichą parodją znieważa treny wyniosłego Yunga. Precz starcze!

MOZART.

Czekaj, masz oto nagrodę; wypij za moje zdrowie.
(*starzec wychodzi.*)

Ty Saljery dziś nie w humorze, a więc innyu cza-sem przyjdę do ciebie.

SALJERY.

Cożeś ty mnie przyniosł?

MOZART.

To małej wagi rzecz, fraszka. Bezsенność całą noc przeszłą srodze mię trapiła i kilka myśli przyszło mi do głowy. Dziś je rzuciłem na papier i chciałbym o nich twe zdanie usłyszeć; lecz teraz tobie, jak widzę, nie do mnie.

SALJERY.

Ah, Mozart! mogeż być kiedy dla cię obojętnym? siadaj, ja słucham.

MOZART (*przy fortepjana.*)

Wystaw sobie... kogoż? nu, choćby i mnie — ale młodszym nieco i zakochanym — tak, niewiele, trochę — siedzę z kochanką, albo — choć i z tobą — jestem wesoły... w tém — grobowa mara, ciemność okropna, lub coś podobnego... słuchaj że.

(*gra.*)

SALJERY.

Boże! ty szedłeś z tém do mnie i koło karczmy mogłeś się zatrzymać i mogłeś słuchać ślepego... ach Mozart, samego siebie ty niejesteś godzien! —

MOZART.

Cóż, dobrze?

SALJERY.

Bosko! jaka myśl głęboka! co za wspaniałość! ile wdzięku w tonach! ty bogiem jesteś i sam o tém nie wiesz! ja to wiem, ja wiem.

MOZART.

Doprawdy? być może... ale coś moje bóstwo głód już czuje.

SALJERY.

Ot wiesz co, dzisiaj razem objad zjemy, gdy chcesz, pod godłem Lwa złotego.

MOZART.

Zgoda. Lecz pozwól, pójdę na chwilę do domu powiedzieć żonie, aby nieczekała na mnie z objadem.

(odchodzi.)

SALJERY.

No, przychodź-że czekam. — Nie! już się dłużej przeciwnić niemogę memu losowi— Dosyć— Ja wybrany, by go zatrzymać. Bez tego, nie jeden ja z moją głuchą sławą, ale wszyscy, wszyscy kapłani muzyki zginęli. . . . Cóż za pożytek, gdy Mozart żyć będzie i stopnia jeszcze wyższego doścignie? czyliż on sztukę tem wznieśnie? bynajmniej; skoro on zniknie, sztuka znów upadnie; godnego siebie on nam niezostawi. Cóż za pożytek z niego? Jak Cherubin, on kilka pieśni rajskich z sobą przyniósł, aby w nas, tworach poziomych, wznieciwszy bezsilne chęci, precz odlecieć potem? a więc odlatuj! im prędzej, tem lepiej! Oto ostatni dar mojej Izory: już lat ośmnaście ten jad z sobą noszę, i odtąd życie często dla mnie było srogą męczarnią, i często z mym wrogiem siedziałem razem u jednego stołu; a jednak żądry trapiącej mą duszę nigdym nieu-

legł, choć ja nieznam trwogi, choć krzywdę własną głęboko czuć umiem, choć mało życie cenię. Zawszem zwlekał. Kiedy pragnienie śmierci mię dręczyło, — po co się spieszyć? myślałem: ot może, jeszcze w mem życiu wielkich doznam odmian; może mię z czasem nawiedzi szczęśliwy zapał, noc twórcza, wysokie natchnienie; może Haydn nowy, nowe-arcy dzieło tworzy' jeszcze i mnie oczaruje... Kiedym ucztował z nienawistnym gościem, myślałem, może straszniejszego wroga gdziekolwiek znajdę; może większa jeszcze ze szczytu sławy spadnie na mnie krzywda; — wtedy Izory dar ten nieprzepadnie. I dobrzem myślał! znalazłem nakoniec mojego wroga, drugi Hajdn cudownym, boskim mą duszę napoił urokiem! Tak, teraz pora! niechaj dar miłości dzisiaj przechodzi do czary przyjaźni!

SCENA DRUGA.

(osobny pokój w oberży. Fortepjano.)

MOZART I SALJERY *(u stołu.)*

SALJERY.

Co ci, że smutno dziś wyglądasz?

MOZART.

Nic — tak.

SALJERY.

Zapewno ciebie złego co spotkało? Objad wyborny, wino doskonałe, a ty milczący i ponury?

MOZART.

Wyznam, moje Requiem trwoży mię.

SALJERY.

Requiem? ty nad Requiem pracujesz? czy dawno?

MOZART.

Będzie trzy niedziel. Ale traf szczęśliwy... czym ci niemówił o tem?

SALJERY.

Nie.

MOZART.

Więc słuchaj. Trzy niedziel temu, wróciłem ja późno do domu. Zaraz dano mi znać, że ktoś przychodził do mnie, czego? niewiadomo. Całom noc myślał, ktoby to był taki i czego chciałby odemnie? Nazajutrz znowu tenże przyszedł i znowu mię niezastał. Kiedy trzeciego dnia (podczas, gdym z moim chłopczykiem grał w karty,) mnie zawołano; wyszedłem. Człowiek w żałobnym ubiorze powitawszy mię uprzejmie, zażą-

dał, bym mu ułożył Requiem i odszedł. Usiadłem zaraz do dzieła: lecz odtąd już nieprzychodził do mnie czarny człowiek; a ja i kontent, bo żalby mi było rozstać się z moją robotą, choć całkiem już ją skończyłem. Z tém wszystkiem coś mi....'

SALJERY.

Co ?

MOZART.

Wstydzę się przyznać tobie...

SALJERY,

W czémże? powiedz.

MOZART.

Mnie dniem i nocą pokoju niedaje ów czarny człowiek. Za mną nieodstępnie jak cień on wszędzie gości. I tu teraz mnie się wydaje, że z nami samotrzeć siedzi.

SALJERY.

I, wstydź się! co za strach dziecinny? Oddal czczone mary. Beaumarchais rozsądny nieraz mi mówił: „Słuchaj przyjacielu, kiedy cię czasem złe myśli opadną, odkorkuj wtenczas butelkę szampana, albo *Wesele Figara* przeczytaj.

MOZART.

On też był szczerym przyjacielem twoim; ty ułożyłeś dla niego *Tarara*, sztukę wyborną. Jest tam motyw jeden, zawsze go twierdzę, gdy jestem szczęśliwy... la, la, la, la, la... Ah, powiedz Saljery, czy prawda temu, że on kogoś otruił?

SALJERY.

Nie zdaje mi się: zbyt on był komiczny, by się odważył na to.

MOZART.

Przy tém. jak ty i ja, on był genjusz, a genjusz nigdy w parze z występkiem niebywa. Wszak prawda?

SALJERY.

Takie twe zdanie?

(rzuca truciznę do szklanki Mozarta.)

Pijże.

MOZART.

Twoje zdrowie mój przyjacielu! niechaj słynie przyjaźń, która Mozarta i Seljery ściśle dwóch harmonii synów łączy! *(pije.)*

SALJERY.

Czekaj, wstrzymaj się!... cóż to?... wypiteś!...
bezemnie?

MOZART (*rzuca serwetę na stół.*)

Dość jużem syty (*idzie do fortepiano.*) Słuchajże
Saljery moje requiem (*gra.*) Ty płaczesz?

SALJERY.

Lży takie pierwszy raz leję i gorzko i słodko, jak
gdybym ciężką wykonał powinność, jak by w tej chwili
ostry nóż lekarski odciął mi członek cierpiący! Ach, Mo-
zart! lży te... niezważaj na nie — graj, graj dalej, spiesz
tony swemi napełnić mą duszę...

MOZART.

Gdyby potęgę harmonii wszyscy tak jak ty czuli! ale
nie, natenczas i świat niemógłby istnąć, niktby niechciał
o prostych życia tręszczyć się potrzebach; wszyscy by
wolnym oddali się tworom. Nas mała liczba wybranych
kapłanów, co samą treścią żyjem i natchnieniem za-
wsze się rządzim gardząc podłym zyskiem. Prawda
Saljery? Ale coś mi słabo, jakiś na piersiach ciężar;
pójdę, zasnę. Żegnaj cię.

SALJERY.

Bądź zdrow (*sam*). Ty zaśniesz na długo!... Czyż więc spełniony. Ale maż on słuszność? ja nie genjusz?... eo? genjusz nigdy w parze z występkiem niebywa?— to kłamstwo, a Bonnarotti? azali to tylko ślepego tłumu gwar i watykanu wielki budownik niebyłże zabójcą?

przełożył B. Dołęga.



D U M A N I A
O ŻYCIU CZŁOWIEKA.

„Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie.”

A. M

Nie kwil niemowlę na łonie matki,
Choć młodość kwiatki teraz ci ściele;
Bo wkrótce zwiędną młodości kwiatki,
I łez ci braknie może aniele,
Jak kwiatu wonie — wonne twe słówka,
Żyjesz, i wzrośniesz nieznając życia.
Lecz zwolna — zwolna — cała wędrówka,
Krok nieszeroki, w grobiec z powicia!

16*

Ach mija szybko młodzieńcza radość,
 Krasa ucieka z roskoszną chwilką,
 Niesmak — gdy stało życzeniom zadość;
 Tylko wspomnienie, i tęskność tylko.
 O nie kwil długo — nie kwil radośnie,
 I pierś na burze nie mknij zuchwale,
 Bo pierś twa sama w mogiłę wrośnie,
 A wieczność długa!... a próżne żale!...

Kiedy świat wszystkie pieśni wypiewa zdradliwe,
 Kiedy wszystkiego doznasz, jakbyś żył już wieki,
 Kiedy wszystkiemu znojne zatulisz powieki,
 Przyciśnię ciężar życia, twe piersi burzliwe.
 Bo kwiat wtedy zakwita, kiedy wiosna świeci,
 Burze i mgły jesieni trują młode zioła,
 Bo zdradliwe uciechy mroczą młode czoła,
 Gdy z nich zetrze się uśmiech i wiara uleci —
 I dusza burz tajemnych wieczna męczennica,
 Gdy z niej z młodu wylęgnie gadzina tęsknica!...,
 Wtedy... ni jedna piosnka ust nie rozpromieni,
 W której przesyków bładych — nie ozwą się głosy,—
 Ani jedna uciecha lic nie zarumieni,
 Z którejbyś niewysączył gorzkich znużeń rosy.

Chcesz żyć długo, żyj zwolna — nieznaj młodych szatów
 I myśl ściśnij z początku gdy się latać uczy,

A będziesz kochał życie, żyć ci niedokuczy. —
 Nie zrozumiesz ni marzeń, ni serca zapalów,
 Będzie słodki śmiech igrał na rumianych wargach,
 I piosnkę zadowoleń wypiewasz za życia,
 I niewypatrzysz prawdy w przesycenia skargach,
 I myśl cię nie udręczy ze zmysłów powicia.

Bóg gdy stworzył człowieka dał mu czarę w dłonie,
 W którą po same brzegi wlał nektary życia,
 I żądzę palącą ogniem umieścił mu w łonie,
 Najstraszliwszą męczarnię — pragnienie wypicia.
 A im kto prędzej chyli zdradliwe nektary,
 Tém prędzej dno zobaczy tajemniczej czary.
 Lecz nie zagaśnie w piersi zabójcze pragnienie,
 Zostanie pusta czara — smutek — i wspomnienie.

Lecz są tacy, co nektar uciech ich nie nęci,
 Zaczarowane nieba są dla nich nieznanne,
 Łzawe życie, burz cichych — i dziwaczne chęci;
 I uczucie anielskie i niepokalane;
 Oto ich świat i niebo....

Gdy dziecięcia nogą,
 Tę ziemię po raz pierwszy półsenni zwiedzili,
 Kiedy ich młode piersi wzdymały się trwogą;
 Do każdego przechodnia swe piersi tulili,
 I wszystko co w niej czuli przechodniom prawili.

Ale o biedne dzieci!... ileż razy wtedy
 Odepchnięto ich srogo lub zimno wysmiano!
 I jadem nienawiści zatruto tak rano,
 Tak rano!... że matki łono — i opieka matki
 Mogły jeszcze osłaniać znieważone dziatki!...
 A oni odrzuceni od ludzi swych braci,
 Wrzuceni na świat sami, sami pozostają,
 Ponurzy, pochyleni — lecz w czucie bogaci,
 Tych, którzy ich odepchnęli — tych jeszcze kochają!
 Lecz gra życia tak cięży w ich męczeńskiej duszy,
 I świat cały tak pusty — dla serca — dla oka,
 I nudność samotności — tak silna, głęboka,
 Że źródło życia wcześniej w ich piersiach wysuszy.

Lecz są inni — co w całej wędrówce przewłóce,
 Niezażądali nigdy — współczucia, opieki;
 Serce jakby z opoki — kołace w opoce,
 I usta się nieśmieją — bez łzy są powieki.
 Każdy z nich choć samotnik — w życiowej kolei,
 Jednakże coś wypatrzy — coś ukocha przecie,
 Bo życie jest w miłości — i życie w nadziei...
 I któryż z nas niedoznał obojga ich w świecie?
 I jeżeli on ukocha;

Nie Boga — nie ojczyznę — rodzica — dziewczynę,
 Nie sławę — nie urząd — nie złoto — kadzidło:

To ukocha sam siebie!... swych myśli drużynę!...
 I sam z siebie wystawi bożyszcze mamidło...
 I będzie mu się kłaniał i kochał bałwana!!!
 To kres ludzkiej miłości.. to miłość szatana! —

Czy rokosz — czy sąd — czy śmiech, czy cierpienie,
 Nie płacz, i milcz człowiecze — bo to sny są twoje —
 Bo kiedy niebieskich arf brzmienie,
 Odgoni sny złowieszcze — i osłodzi znoje:
 Pokój świętych — i cichość i rokosze raju
 Czuć możesz; i żyć w duchów kraju...
 A i ten świat jest piękny — tylko doświadczenie,
 Zrywa po kwiatku z wieńca co ściele marzenie.

Wyrzuć serce, i spojrzysz po rozłogim świecie,
 A ujrysz: i pieniądze — i rachuby koła —
 Zmruż oczy, — włóż serce — bo serce wywoła:
 Miłość, łzy — śmiech, i płacze — do koła, do koła!
 I znajdziesz jad śmiertelny w najpiękniejszym świecie!...
 Wyrzuć serce — zmruż oko — a wywołaj duszę
 Ona przysnie ku niebom — ciało ją dogoni,
 I pomału — nieznacznie — natchnienie wysuszy,
 I utopi ją w mętnej zmysłowości toni. —
 Oczy twe — i twe serce — i ducha marzenia
 Wysączą łzy zawodu — z kielicha cierpienia!
 Strzeż się częstych uśmiechów — za śmiechem łzy blizkie,

Bo uśmiech, jest to zwiastun niedoli złowieszczy,
 A nie umkniesz . . . nie skruszysz — złęgo losu kle-
 szczy,

Bo ślizkie ścieszki Życia — i nadzieje ślizkie —
 O! jest wiele uśmiechów na ustach człowieka,
 Jak wiele kwiatów w łące — ile uczuć w duszy —
 Kto śmieje się radością... nieszczęścia doczeka —
 Kto śmieje się do szczęścia — doczeka katuszy...
 Miło jest śmiać się z sereą młodemi ustami,
 I nieboleśno płakać dziecęcemi łzami. —
 Ale później... ach później; — gdy zbledną marzenia,
 Zakwitnie śmiech pogardy — na świat i cierpienia;
 Zakwitnie w bladych ustach, — promieniem rozumu,
 Niepojęty i dziwny . . . dla niskiego głumu...
 O! kto tak śmiać potrafi... niech się wesół śmieje
 Niezawiodą go ludzie... nie zwiódą nadzieje. —

Młodzianie! ty się chlubiśz, że kochasz dziewicę!
 Słodki napoj kochanie!... a gdy dziewczę zdradzi,
 Czy będziesz wierzyć w miłość? tyś pewny stało-
 ści,

A ja wiem ten tańznan co obraz twój zgładził!
 Czy znasz ty młody majtku, złota błyskawicę?
 Złoto jest kamień próby — człowieczej nicości!
 Czy znasz ty młody majtku próżności podniety?
 Pochlebstwo jak miód lipnie, do serca kobiety!

Czy wiesz ty młody majtkn — jak czas prędko płynie?
nie?

Z nim — twa miłość — kochanka — i świat ten zaginie! . . .

Czy wiesz ile masz życia? — ile dobrych czynów! —

Czy wiesz ile masz szczęścia? — ile dzieł mądrości! —

Czy wiesz ile za dobre odbierzesz wawrzynow

Niezwiędłych — nieskalanych? — laur nieśmiertelności.

ALEKSANDER OSIPOWICZ.

St. Petersburg.

1843 roku.



(WYJĄTEK Z RĘKOPISMU).

Droga a w niej przeszkody do szczęścia człowieka.

..... Niedostąpi jednak tego szczęścia, nie użyje długo tej roskoszy ten, kto olbrzymią siłą nie oprze się wszystkiemu co w nim jest zwierzęcem i nie wzniesie czoła z pogardą na to wszystko, a z dumą godności swej i jedną czczią dla siebie! — Kto się nie przejmie tym niemyślnym przekonaniem i niczem niezachwianą wiarą nieuwierzy, że, ze wszystkich istot, jeden człowiek, własnym tylko w sobie samym mianym siłom, połączonym z siłami podobnych mu; wszystko na świecie jest, ma i może być winien — że świat następnie nie dla jednego, dwóch, kilku stworzony; a jest równą wszystkich własnością, jednym dla wszystkich warstwą, jedną pracownią; a wszyscy są znowu wzajem dla siebie, i winni stanowić jedno ja, jedną siłę, jedną dążność, słowem, jednego robotnika! nakoniec tym je-

dnem przekonaniem nie zrzuci z siebie jarzma nałogu przesądów i błędu dziecinnego wieku człowieka; nie przyjmie miłym okiem i pobratymstwa tworzą resztę ludzi i niepoda sercem wspólnej potrzeby dłoni swej każdemu z nich i wszystkim! — bo jak nikt jeszcze w niczem sam sobie niewystarczył, bez niczyjej się pomocy nieobszedł, tak i w tym wielkiem swém Stwórcy przeznaczeniu, tym bardziej nie może, nie potrzebować drugich, lub drugim nieudzielać własnej! kto przeto nawet poznał swą wyższość, wznosił się do swej godności i został szczęśliwym zostawszy człowiekiem, a wypełnianiu swego powołania czuje roskosz życia; nie osiągnął jeszcze zupełnego szczęścia, nie uczył prawdziwej roskoszy — bo jak w naturze rzecz każda więcej jest tylko od niczego, jednostka więcej od zera, a w połączeniu się swém dopiero prawdziwej nabiera wielkości i znaczenia, tak i człowiek ze źródła tylko roskoszy życia wszystkich ludzi; pić bezpiecznie, i swego wśród ich szczęścia znaleźć i własne, a wśród ludzi, człowieka znaczenie i siłę mieć może; — inaczej próżne marzenia o zupełnem szczęściu, próżne poszukiwania prawdziwej życia roskoszy. — Stąd niewierzyć we własne, lub połączone ludzi usiłowania, a w jakąś nadludzką niewidomo nami kierującą siłę, czyli w przeznaczenie, — chcieć i starać się wyłącznie o szczęście dla siebie, o roskosz życia własną, bez przyłożenia

swych starań do szczęścia i roskosy życia drugich, czyli ogółu, bez wiary, że szczęście i pomyślność jednego z nas, na szczęściu i pomyślności wszystkich tylko oparte — jest to dopiero zejść zupełnie z drogi na której nas sam Bóg, Ojciec nasz powszechny postawił, — niedójsć nigdy do naznaczonego nam przez niego celu, powołania; to jest, nie stać się nigdy człowiekiem, nigdy w niczem jemu podobnym, a być zwierzem, żyć i umrzeć po zwierzęcemu.

O PRZEZNACZENIU CZŁOWIEKA.

„I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi.”

Jan R. VIII. w. 32.

Kto lekko i powierzchownie tylko, rzecz każdą uważa, — kto drogą uwag i przekonania, zródła wypadków nie szuka, — kto ich skutków nie bada, następstw nie przewiduje; ten łatwo wszystkiemu przyczynę naznaczy, gdyż powie tak chciał Bóg, tak przeznaczenie kazało.

Nikt zupełniej dobrodziejstw zapomnieć, — czarniejszą je niewdzięcznością odpłacić, ciężej dobroczyńcy swego pokrzywdzić niemógł, jak ten, co pierwszy śmiał

wolę Boga, przyczyną działań ludzkich zrobić, — nikt też boleśniej zasmucić, podlej arcy-dzieło Jego, człowieka, wbrew zamiarom Stwórcy, poniżyć nie zdołał, jak ten, co księgę przeznaczeń uroił.

Nierozsądny czy przewrotny człowiecze! wierzysz, że wszystko co o twe uderza zmysły, jest dziełem Jego! — wierzysz, że cię z niczego utworzył, został twym Ojcem, przez miłość jedynie ojcowską, uczynił cię panem wszystkiego co zdziałał — najtrudniejszą do szczęścia utorował drogę, bo sam wyrył w twém sercu prawa, to jest miłość bliźniego, siebie i Stwórcy, wprzód, nim ich potrzebę poznałeś; a nadto jak czuły i troskliwy Ojciec wszędzie swą pomoc obiecał! — czujesz że ci dał rozum, który cię uczy wszystko poznawać; — pamięć, byś poznawszy co jest złe, szkodliwe, pamiętał i tego się chronił, a co pomocne i dobre, o tém niezapominał i używał! — czujesz! że cię te dwa tylko dary, już istotnie z pokrewniają z Bogiem i czynią synem Jego, bo pamięć robi obecną przeszłość, zatrzymuje terażniejszość, a rozum z ich stosunków tylko przewiduje przyszłość, iż cię własnego losu, ledwie prorokiem, władcą nierobi, — ich także pomocą, wszystko czegoś został panem albo dziedzicem, jak sam chcesz, używasz, zdobisz, kształćcis, przerabiasz, i prawie twórcą się stajesz! — wierzysz! że gdyś zsedł z wytkniętej przez niego drogi, drogi rozumu, zgwał-

cił i podeptał prawa! — rozsiał niezgody! — okrył się
 nędzą! — jarzmo niewoli włożył, — słowem!, brzemię
 całej niedoli, na swą głowę zwałił! — wtedy istotnie
 ziścił swe święte pomocy słowa, — zesłał Syna Swe-
 go na świat, — ręka jego na gałęziach niezgod, ró-
 szczki jedności pozaszczepiał, — zdarł szatę nędzy, —
 pokruszył więzy, — podał dłoń silną, — otrząśł cię nią
 z wszelkiej niedoli i znowu na drogę zbawienia wpro-
 wodził, — a że jest nie mylną, krwią Jego na krzyżu
 zaręczył! — Wierzysz temu wszystkiemu, — czujesz te
 dobrodziejstwa, mówię — a czemuż nie pojmujesz lub
 niechcesz tego przywileju, który tobie jednemu, wyłą-
 cznie ze wszystkich żyjących istot nadany, — to jest:
 że gdy wszystko co żyje zna pana ciebie, ty tylko je-
 den wszystkim i sam sobą władasz??

Jeśli ty niczém sam dla siebie jesteś! — Jeśli przy-
 ście twe na świat, i twój na nim pobyt w urojonej
 przez ciebie księdze zapowiedziany! — pocóż tyle dróg
 do przyjścia i utrzymania się tu twego? — Matko! wy-
 rzuć to błogie brzemię, precz z wnętrzości swoich! —
 ono nie jest owocem miłych, z miłym przelanych uczuć,
 w skutek nadanej ci dla unieśmiertelnienia jedynie rodu,
 organizacji, wydanym, a przypadkiem lub igraszką narzu-
 conym ciężarcm! — Rodzice! stłumcie głos, którym do
 serc waszych przez przelew tychże nczuć dzieci wasze
 o obowiązkach zachowania danego im życia, o tro-

skliwość w biegu jego, przemawiają! — zrzucicie już z siebie choć wtedy ten ciężar, obowiązującym jedynie wspomnieniem przeszłości i nadzieją z iszczenia uroczych o nim marzeń, tak cierpliwie, tak miło dzwigany! — ręka co jego przeznaczenie kreśliła, jeśli on żyć ma, zapewne mu wbrew wszystkiemu da życie, nakarmi go, napoi, od wpływu szkodliwych przemian powietrza zabezpieczy, od przygód w życiu ochroni! — nieuczcie go mowy, poznania i miłości prawdziwego Boga, świata, ludzi i siebie! — nie mówcie mu jaki jest cel bytu jego! — co jest cnotą, a co występkiem! — jakie względem kogo przyniósł z sobą na świat, a jakie już na nim zaciągnął obowiązki! — jak ma szanować religią i prawa! — co go uszczęśliwić może, i t. d. — ręka niwidoma wszystko to mu okaże! wszystkiego nauczycy! — O! przetwarco! jeślibyś istotnie nie sam sobą, a ręka cię twego Twórcy wiodła, powiedz mi, na cóż by ci się przydały, te drogie Jego dary, własny rozum i pamięć? — na co to chcenie, dążność i czucie potrzeby? — na co to z samym sobą walka w poskromieniu, lub własne staranie w dogodzeniu im? — na co to poznanie złego i dobrego? — a jeśliby wszystkie twe czynności niebyły skutkiem własnej twej złości lub dobrej woli, a chęci rządów Jego! skąd że w tobie sumienie, ta wewnętrzna, słodka przy dobrych twych sprawach, spokojność, a przy złych ciężka zgryzota? —

skąd cnota i występki? — skąd moc wytknięcia granic dobremu, karcenia złego, czyli prawa? — skąd słuszność domagania się u nich za pierwsze nagrody, a za drugie kary? — Nie dość ci tych przekonywających jakie masz w sobie dowodów; zastanów się nad tem — gdyby ci twój najlepszy ojciec, odmówił siły władania sobą! — gdyby mimo udzielonych ci twórczych darów, sam tobą kierował, nie wlałby w ciebie tych praw, które właśnie są celem i jedynym ujęcia jej siły środkiem, — nie miałbyś mocy sprzeciwić się i zboczyć z wytkniętej ci niemi drogi, gdyż by ci do tego głównej sprężyny, siły kierowania sobą, a nawet woli brakowało! — a jeśli już jakim chcesz sposobem je przestąpił, nie miałby potrzeby zsyłać na świat Syna, by sprostował twe błędy, — drogą własnego swego przekonania i rozumu nauczał prawdy! — osobistém ciężkich, w złém upartych braci, prześladowań, wytrwaniem, do jej przyjęcia i utrzymania zachęcał! — a jedném skinieniem palca, zwrócił by cię mimowolnie do twych karbów i jak my jaką maszynką, dalej by tobą kierował! — Wreszcie sam mówisz, że kiedyś z użycia danych ci przez Niego darów, dobrodziejstw, a stąd zwłasnych spraw, masz mu zdać rachunek! — że on sam dopiero, sownie ma nagrodzić cnotę, ukarać zbrodnie. — Skądże tobie ta myśl odpowiedzialności? — skądże to oczekawanie nagrody lub kary? — kiedy ty

nie sam przez się nie mocen zrobić! — kiedy wszystkie twe czynności, dzieła! są tylko skutkiem woli i rządów Ojca twego?! — O! synu wyrodny czci godnego Ojca! O! nierozsądny czy chytry bracie bałamucie! — jakiż zły duch natchnął cię tą myślą! — czemże byś uważał najlepszego Boga, a czem nas dzieci Jego? — Ha! wiem już! — powiem ci to kiedyś i dowiodę żeś chytry i kłamca! — Niczem mnie ująć niezdolasz! — mimo uszów jak wiatr ulecają słowa twoje! — wszystkie twe dowody chytrego dowcipu niezmienią! nie zachwieją nawet ani na jedną chwilę przekonania mego! — nie! nie! niezdola zmienić mych uczyć, jakimi tchnę ku Ojcu i braciom moim! — ja słucham głosu mego rozumu i serca! — ja wierzę w natchnienia duszy! duszy! która jest częścią Ciebie o Boże! i czuję żeś mi dał rozum, pamięć i zupełną wolę! — czuję! bo inaczej, Ty Boże! nie byłbyś mym ojcem a ciemiężycielem, a ja nie twym synem, a podłym niewolnikiem!!!

Istotnie! obok tak dotykającego przekonania, że w całym przyrodzeniu nad to ogólne, cokolwiek wzięło początek musi mieć i koniec, innego niemasz przeznaczenia; zwrócić uwagę, zgłębić ją i rozszerzyć pojęcie szkodliwych następstw, z wiary jego wylęgłych — i jeszcze uparto wierzyć i wierzyć tak ślepo w to prze-

Kłężę przeznaczenie, jest mniej, niż bydź bydłęcienr,
 niż być niczēm! — Powiedzieć by można, że ludzie,
 przy silnem w sobie zamiłowaniu, wysokim dla siebie
 szacunku, raz ciężko względem siebie samych zbłą-
 dziwszy; woleli już i tego cokolwiek kiedy w świe-
 cie zdziałać by mogli dobrego wyrzec się i niewdzię-
 cznie na rozporządzenia najwyższej woli lub jakąś u-
 rojoną księgę przeznaczeń, wszystko zwalić, aniżeli do
 błędu własnego się przyznać i tem niby sobie ubli-
 żyć! — dotąd by się jednak opamiętali — tak się bo-
 wiem ciężko poniżyć, znikczemnić, by sobie nic nie
 przypisywać, w nic swe dary i siebie samego obró-
 cić, jest że to siebie kochać! szacować!? — i za-
 co!? — wreszcie, czucie i pragnienie dobra, palą-
 ce zawsze człowieka, dawno by już ukołysały du-
 mę jego, wyznanie błędu i poprawę wymogło! — bo
 czegoż dziś ludzie z sobą i z ludzmi dla siebie, dla
 osobistego zle zrozumiałego najczęściej dobra nie ro-
 biają?! — Ale nie tu podobno szukać przyczyn wiary,
 a raczej chcenia wiary w przeznaczenie, bo by
 im dziś za nadto już pochlebiało, za nadto uniewinnia-
 ło! — chytrze z widoków i własnych korzyści wy-
 snute i wpajane przez jednych w drugich mylne o-
 szczęściu i roskoszy życia człowieka wyobrażenia,
 zródło ogólnych klęsk i nieszczęść rodu ludzkiego i

przeznaczenia dały początek! — O przeklęstwo temu, który go pierwszy wymyślił i w drugich wpoił! o biada nieszczęsnemu, który w nią dziś jeszcze wierzy! lepiej by z przywiązaniem do szyj kamieniem na dno topieli się rzucił!

Antoni Gołek.



D O

NADZIEI.

Nadziejo! kwiecie marzeń — twój listek zielony,
Błyszcząc nam uprzyjemnia przykre życia szrony,
A wieniec twego kwiatu stokroć jest piękniejszy,
Nad samą roskosz, szczęście, nad różę wonniejszą.

Szczęśliwy młode komu uwieńczywszy skronie
Nigdy nie zwiądł, nieusechł, i nawet przy skonie
Kiedy przyjdzie opuścić ten padoł nicości
Nowem światłem gwiazd błysnął u progów wieczności. —

Bo tam gdzie nieśmiertelność, tam trwa jej istnienie,
Zkąd niekiedy tu zlewa bładawe promienie

Na ten świat — lecz jej źródło niedojrzane oku,
Wnieskończoności wiecznej gubi się potoku.

Nadziejo! ty mi teraz błyszni choć zdaleka,
Gdy serce moje cierpi, łzą zlana powieka,
Ukaż przyszłość i dawne życie roznieć w łonie,
Zakwitnij dla mnie szczęściem, gdy dni me przy skonie.

ANIELA z KOZŁOWSKICH MARCINKOWSKA.

8 Maja 1843 r.

Stary Konstantynow.



SATELITA I PLANETA,

M I Ł O Ś Ć.

Tylko o luba! tylko ty z upiorem
Powitaj się po dawnemu....

(DZIADY.)

Wiecznie gonię za tobą, o niebieskie ciało i dognać nie mogę, ja ciało ziemskie. Zawsze zostaję się od ciebie daleko; ty i ja opisujem wcale inne elipsy. I kiedy ty już znikasz z oczu, pędząc ku słońcu, ja le-dwim jeszcze na zawrócie, w cieniu nocy. Być to-warzyszem, twoim towarzyszem!, gdy ty lecisz ciągle naprzód, naprzód, i opuszczasz mię nie dając znaku! Gdzież cię powitam, kiedy pożegnam? Nigdy się nie schodzę z tobą ulubiona gwiazdo! ty pędzisz a dla mnie tylko wiatr zostaje, co za tobą i przedemną goni. O-bym ja mógł zmienić swój bieg! stanąć ci na drodze,

spotkać się, porwać i ucałować choć raz w życiu, ścisnąć i patrzeć ci w oczy, luba! Gdziebym się to zaczął, aby mię spotkało to szczęście? jak los i ciebie oszukać, a siebie uszczęśliwić — niewiem doprawdy. Być towarzyszem twoim, wiecznie żywej, ruchomej, wolnej, niebieskiej istoty, co za rokosz! co za boleść! Pragnąć cię, jako ziemia rosy, pałać i schnąć w pogoni za tobą! Nie móżdż wyczerpnąć z ciebie życia, słodyczy, ognia, szczęścia! Być ciągle na drodze do rajy i wpadać we mgły chłodne i czarne! za rajskie wesele, za gwiazdziste niebo, nieć ciągle padół i smutek! O, nie objąć cię nigdy, wiecznie, bez końca goniąc za tobą! — Mnie się co dnia zdaje, że ja stanę, i zdrętwiony nie pójdę dalej. Lecz i tym ciebie nie ukarzę, a siebie tylko. Nawet niewiem co byś mi rzekła, gdybym ci zaszedł drogę, i pytał z dawno tajoną boleścią, łzami mrocząc twoje promienie złote? — Tyle pragniona, szukana, ścigana! Ugryzłabyś się w usta i poleciała dalej. — Ileż to ślicznych światów widziałem goniąc za tobą; ile oaz! a ty mój byt cały czynisz prawdziwą pustynią! Złoczone niwy, pastwiska z drobnymi wieśniaków stadkami, zielone młode łączki, strojne w białe złote i niebieskie kwiecie, góry i wzgórza syrowej roli, osypane rżyskiem jesieni, samotne sosny, jodły, płaczące brzozy i ciemne jałłonie; cała rozmaitość tej krainy, co mię najdłużej

wstrzymuje nad sobą niemi przywiązania; przebyłem wszystkie te dziwy, a ciebie jedną zawsze mam przed oczyma, o niebieska planeto, co lecisz i lecisz, nie dzieląc ni tęsknot ni wesela. Czy ci tak lepiej, czy niebo jest bez uczuć? — Słuchaj! jak przemijać będę słońce w biegu mym nieszczęśliwym, to poskarżę się mu na ciebie! i dobre słońce, iskrę swą jedną odszczepi i ciśnie na cię, a ogień ten porwie ciebie, zatlili i uniesie, ale już nie do samotnego pędu. Cofać cię on będzie i zwracać ku mnie, i niewidząc dla czego, będziesz musiała stanąć, a ja lot mój . . . oh! czyż znowu dalej w przestrzeń uniosę?? Pomyliłem się! nie proszę już słońca o nic. Tobie samej zostawiam: mój żal i mój los!

Napoleon mówił, że od miłości jeden tylko ratunek: *uciekać!* — Ja twierdzę, że pędzić się bez przestanku. — Niewiem czyja prawda: Satelity, czy Komety?

L. PODB.

Września 5, 1843. r.

Oława.

KOCIO.

P U S T O T A P O L E C O N A.

PRZEZ

Hr. kę O. ę K...ą. 7 Czerca 1841.

Kto się poszkapi w słowie czeka go sromota.
 Tatulu! obiecałem dać ci mego kota,
 Wczoraj go przysłać miałem,
 A verbum solennego wszak niedotrzymałem.
 Wierzaj nie moja wina:
 Sliczna i miła dziewczyna
 Wzięła mi go na chwilkę... Siostrze go czytała,
 Siostrze chorej... i u niej gdzieś tam zapomniała.
 Pamiętny obietnicy, śmiałem ją utrudzić
 Proźbą — „a wiersze moje?” — „Chorą by obudzić
 Wypadało. Do rana proszę cierpliwości,
 A jutro przed dziesiątą odeszłę waszmości.
 Czekam jutra; dziesiątej; wiersz mój nie przybywa.
 Poeta więc na taki koncept się zdobywa;

Szle pannie bukiet kwiatow, szle jej pozdrowienia,
 A razem wiersz przypomniał niby od niechcenia,
 Pokazało się że panna słowna: i od rana
 Poezja trzeciemu była odesłana,
 Dla wręczenia mnie, słudze twemu;
 Ale ten pośrednik, zatrzymał niewiem czemu.
 Gdy zatem wiersze moje choć późno posiadam,
 Twojej milej przyjaźni, dobry ojcze! składam
 Każ je proszę przepisać twemu kadetowi
 I zwróć później exemplarz swemu servusowi.

Panu a Panu

Mnie wielce Mosciwemu

Kasprowi Żelwietrowi.

A ja niedawno byłem świadkiem jak kot młody
 Omal nie stał się w domu powodem niezgody...
 Bo też było pieszczone przewyborne kocie,
 Samowolne, lubiło nadzwyczaj łokocie:
 Zwieszało się na krzesłach, mile kołysało
 Aż się krzesło w kawałki drobne rozleciało.
 A bilarowe kulki... to miła zabawa:
 Uganiać się za nimi, każdej chwili stawa.
 Pędza się za chłopcami, obyczajem kotów,
 Daje placki, bo nawet na kark wskoczyć gotów.
 Pannom zrywa pierścionki, branslety, manele...

Że więc w nim wesołości, że w nim psoty wiele

Że kociątko młode,

Filutne,

I rezolutne,

Kochać go już weszło w modę.

Owoż dóm cały wybierał się w drogę.

Jechał pan, pani, wszyscy domownicy,

Niemal wszyscy znajomi, wszyscy biesiadnicy;

Jeden Kostuś zostaje: „Jaż jechać nie mogę,

„Pomimo to powszechnie, ogólne jechanie,

„Mnież tutaj zostawiacie, jakby na wygnanie;

„Obaczycie! ja będę płakać i narzekać

„Będę smutnie poglądać, z razu na was czekać.

„Sam jeden, pełen strachu,

„W tym zaczarowanym gmachu

„A na reszcie, jak się tak dugo pofrasuję,

„To się może nareszcie, i po konsoluję.”

Srogie były jego żale,

Niezważano na nie wcale,

I pomimo smutną postać

Stanęło że ma pozostać.

Nie sztuka że zostanie: ale gdzie osadzić?

Co z nim zrobić?... nad tem to wypadało radzić!

Ojciec duma jak swego obróci młokosa,

Żebyż jeszcze wśród zimy,

To dla naszej miłej klimy

Samby umiał własnego dopiłnować nosa.
 Bo na mróz go wystawiać, zacząć go wywozić,
 To go można i odmrozić.
 Ale w czasy wiosenne! chłopak zacznie latać
 I gotow gdzie figielka jakiego wypłatać.

W tej więc trosce obecni salon obsiadają
 I o kocie,
 Niecnocie,
 Głosy w kolej dają.
 Nawet goście wotują, bo kotkowi
 Nawet goście sprzyjali, nietylko domowi.
 Ta mówi: teraz gdy już wszystko ułożono,
 Powyproźniano szafki, komody spróżniono,
 To go w jaką szafkę schować.
 Inna: w kopertę jakby list zapieczętować.
 Ta znowu: tak ostrożnie, byle go niezdławić,
 To pod szkłem na kominku możnaby postawić.
 Przymomna radzie owa,
 Mówi: „Oddać na pensję co ją trzyma krowa
 Sama byłam, zważałam, nigdy żadnej sprzeczki,
 Pensionerki okrągle gdyby ogureczki;
 I mogę was zaręczyć, że wszystkie dziewczęta
 „Tej pensji, nie zwyczajcie, nie lada cielęta.
 „Każda zręczna, szykowna, prawdziwie do rzeczy;
 „Sentymentalnie skacze, i rzewliwie beczy.
 „Jeśli więc moje skromne zdanie podzielicie,

„Tam go pewnie zostawicie.”

Wszyscy wrzasnęli razem. — Jakto z dziewczętami?

Już lepiej z kogutkami,

Puścić bujnego chłopca... „Pocóż mówić razem:

„I po co mię zagłuszać, takowym obrazem.

„Już ci wiem, że niezwykle przecię mądrze radzę.

„Patrzcież sami.. jak tylko miły kotek wstanie,

„Zaraz może posmoktać mleczka na śniadanie,

„Potem go zaczną czesać, umywać, sznurować,

„Uczyć chodzić w pozycji, jak się ma prostować,

„Jak ma dygać i kłaniać,

„Nawet śród lata muchy z gracją oganiać:

„A tak nim się obejrzy, nim przyjdzie do ładu,

„Zbliży się i wesoła godzina obiadu.

„Tam go będą pilnować,

„Żeby czem niespsować;

„Może sobie za stołem,

„Ze wszystkimi społem

„Przy tuczającej stawie,

„Może się oddać jakiej niewinnej zabawie,

„Może naprzykład z pannami

„Bawić się z chleba gałkami.

„Jakby równie niewinnie bawić po obiedzie,

„Nie jestem w najmniejszej biedzie,

„By wieczor tak korzystnie schodził jak poranek,

„Dać mu ptaki, niech z niemi bawi się kochanek.

„Dać papugi uczone,
 „Z zamorza tu sprowadzone:
 „To się od nich języków brazylskich nauczy;
 „I pewno towarzystwo takie niedokuczy,
 „Bo można dać ich dużo: niech będzie zielona,
 „Co jej psotnik połowę wyskubał ogona:
 „Może być i czerwona, może być i szara
 „I nierozdzielnych para.
 „Alboż zle? czyż nie słusznie? wszyscy mię pojęli?”
 Patrzy . . . nikt nic nie mówi — bo wszyscy posnęli.

PROSZYŃSKI.

9 Czerwca 1840.



ŻYCIE I ŚMIERĆ.

Przez wszystkie szlaki po ziemi rzucone,
Odkąd wziął chaos postaci osobne,
Chodzą bez przerwy dwie siostry rodzone,
Rodzone; lecz niepodobne.
Jedna z nich cała kwiatami
Jak do ślubu ustrojona,
Zawsze chytrze ludzi, mamie
Śmiertelnych do swego łona;
Na jej ustach wdzięk i słód,
W oczach ogień, w sercu lód,
I jak bachantka burzliwa
Wciąż rzeźwi się, tańczy, śpiewa. —

Bez kwiatów siostry jej skronie,
 Odzież jej cała kirowa,
 Zrzenica martwo surowa,
 Piersi jej — bryła lodowa;
 Lecz w tych piersiach miłość płonie!
 Obca, niemiła nikomu:
 Lecz gdy we drzwi zakołata —
 Mędrzec, bogacz i pan świata
 Muszą ją przyjąć w swym domu.
 I rzędem nawiedza ona
 Trudu i niedoli dzieci;
 Przez nią bezsenność dotkniona
 Precz od nieszczęśliwych leci.
 Tamta, mocą swego chmielu
 Niestaty umysł urzeka,
 I do nieprawego celu
 Zwabiwszy raźnie ucieka;
 Ta, gdy nas boleść pożera,
 Jaka przyjaciółka szczerza
 Przychodzi, podaje rękę,
 Schyla się z politowaniem
 I jednym pocałowaniem
 Ziemską naszą kończy mękę.
 Tamta lubieżnymi tony,
 Rodzi niemoc w zdrowem ciele.
 I wyobraźni skażonej

Miękki puch rokoszy ściele;
Ta wskazuje czczość uroku,
Z myśli próżność jak pył zmiata,
I duszę z grubego mroku
Do czystego wiedzie świata.
Runie sklep ciała ponury,
Z ziemskich uwolniony krat,
Bez wodza i bez wędzidła
Wzniósłszy dziewicze swe skrzydła
Znow w rodziny wróci świat.

przełożył B. Dołęga.



DUMKA.

W obcej stronie,
Legł po zgonie,
Drogi rodzic mój!
Wawrzyn wkoło
Zdobitł czoło
Wojownika.... ach!...

W małej chatce
Przy mej matce
Błogo kwitnął czas!

Teraz w grobie
 Sypia sobie
 Matka droga — ach!

Ma Alina
 Ma jedyna
 Dumek nie zanuci!
 Głos słowiczy
 Wzrok dziewiczy
 Zgasły dla mnie — ach!

I ty droga
 Ma uboga
 Chatko żegnam cię!...
 Bo wróg srogi,
 Rodne progi
 Wydarł... splamił... ach!

Smutne oczy
 Łza nie mroczy
 Serce tęskni 'tam!...
 Bo w tej dobie,
 Płakać sobie,
 Już nie mogę... ach!

Przy mogile
Kwiatków tyle,
Miły chłodny grób!
Ach w tym grobie
Spocząc sobie,
Serce pragnie.... Ach!

ALEKSANDER OSIPOWICZ.

1843.



TRYOLETY.

1.

Widziałem brzegi Niewiaży śliczne
Jednak Krożęty piękniejsze;
O jak widoki tam romantyczne!
Widziałem brzegi Niewiaży śliczne,
Widziałem grona tam dziewic liczne
Lecz tutaj są przyjemniejsze.
Widziałem brzegi Niewiaży śliczne,
Jednak Krożęta piękniejsze.

2.

Świat jest niczem w mojem zdaniu
Mnie w kochance cały świat,
Dla mnie cały świat w kochaniu
Reszta niczém w mojem zdaniu!

Jaka słodycz w całowaniu
 Jak dla pszczołki świeży kwiat.
 Świat jest niczem w mojem zdaniu
 Mnie w kochance cały świat.

ODPOWIEDŹ NA TRYOLETY.

Zrzecze się kraju i ojca i matki,
 Byle z swą lubą zjednoczony w parze
 Ujrzy powaby wśród śniegu Kamczatki,
 I tam miłości zbuduje ołtarze:
 Młodzian co w złote kark jej chyli pęta,
 Nie dziw, że mu tak miłą posępna Krożęta.

F. z P.



D O * * *

SONET.

Wszakżem już nie oddzisiaj zapomniał o tobie!
 Wszak silna wola, wsparta dumą, przekonaniem
 Zdeptała wszelkie czucie codziennem staraniem —
 I w sercu mojem zimno, martwo, jakby w grobie.

Czemuż w bezsenne noce, kiedy półdrzemaniem
 Dusza pijana, — rady dać nie może sobie,
 Snu bledną nieprzytomność w jednej czując dobie,
 Pomieszana dziwacznie z resztami czuwania.

Twój obraz z grobu serca, jak upiór z mogiły,
 Po promieniach księżyca, w północnej godzinie,
 Pnie się po wyobraźni wątlej pajęczynie,

Wiodąc niesprzęgłe myśli w labirynt zawily,
 Kędy czuwać niemogę, zasnąć niemam siły,
 I tak w ciągłych zapasach noc męczyńska splynie.

MARCIN OSSORYJA.



SZLUB.

Już tłum zebrany u stop ołtarza
Ciśnie się, szepce i miesza:
Gdzie państwo młodzi? każdy powtarza
I spojrzeć na nich pośpiesza.
W tém świeće palą, organ się odzywa
I pasterz *veni creator* już śpiewa.

Podług świętego potem obrządku
Zadaje zwykłe pytania,
Dalej jak idzie z rzeczy porządku
Przyszło i do przysięgania.

Więc gdy kochanków ksiądz przysięgi słucha
Anioł i szatan szepcą im do ucha.

MŁODZIAN.

„Biorę ją sobie”...

ANIOŁ.

W życiu więc całym
Nie znaj nikogo na świecie,
Kogobyś z większym kochał zapalem:
Gdyż szczęście prędko uleci.”

MŁODZIAN.

„Przysięgam miłość”...

ANIOŁ.

Lecz przysięgaj stałą,
Ona twym szczęściem i przyszłością całą!”

MŁODZIAN.

„Przysięgam wiarę.”

ANIOŁ.

Wypełniaj szczerze
To przyrzeczenie: kto w życiu
Choć raz pobłądził, zachwiał się w wierze,

Ten stracił rokosz w pożyciu;
 Żona nie miła, i dom mu niemiły;
 Własne go dzieci nie będą bawiły.

MŁODZIAN.

„Nie opuszczę ją nigdy do grobu...”

ANIOŁ.

Abyś dlań wszystko poświęcał,
 Niechaj was zgoda połączy obu,
 Jeszczebym ciebie zachęcał,
 Abyś, gdy czasem niezgoda się zrodzi,
 Zawsze ustąpił, to was znów pogodzi.

PANNA.

„Biorę go sobie!”

SZATAN.

Póki godniejszy
 Nie szuka szczęścia takiego.

PANNA.

„Przysięgam miłość.”

SZATAN.

Póki piękniejszy
 Nie zajmie serca twojego.

PANNA.

„I wiare”

SZATAN.

Póki nie zwątpisz o mężkiej!

PANNA.

„I posłuszeństwo”

SZATAN.

Lecz tylko małżeńskie!

PANNA.

„Nie opuszczę”

SZATAN.

Póki w domu jego
Zarządzać będziesz jak pani;
Lecz gdy nie ścierpi jarzma twojego,
Niegodny! jeden zostanie.
A teraz życzę, póki co nastanie
Z początku pokaż, że masz swoje zdanie!

Lut. 6, 1843 r.

Z P O E Z Y J

WŁODZIMIERZA BENEDYKTOWA.

RADOŚĆ I SMUTEK.

Radość! niebieskim tyś gościem zleciała
I pustą mą pierś zasiała uczuciami.
Gdzież ludzie? chodźcie tu, dusza moja cała
Lgnie do was, ja pragnę podzielić się z wami.
Tyś z drzewa miłości łąż czystą kanęłą —
Bracia! oto nektar, dla was bal wspaniały!
To wiele, gdy kropla w mój kielich spłynęła;
Ja tą kroplą chciałbym upoić świat cały!

Przyjdź do mnie staruszku od brzegu mogiły!
 Przed tobą stanąwszy zwierciadłem przeszłości,
 Ja treścią cudowną pokrzepię twe siły
 I ty zadrzysz jeszcze uczuciem radości!
 Daj rękę młodzieńcze! niech w tęsachnej twej twarzy
 Odbłyśnie uczucia braterskiego zdrowie,
 Niech młodość z młodością mocno się skojarzy
 Przy kielichu, w pieśniach i szumnej rozmowie!
 Czarnooka nimfa, ty bożyszczce moje,
 Teraz, gdy me serce radością się śmieje,
 Chodź tu, niechaj w oczy, w usta, w piersi twoje
 Gorącym całusem miłość mą przeleję!

Lecz gdy ciężkim smutkiem dusza ma oddycha,
 O, wtedy ja skąpiec, ja samolub wielki!
 Precz ludzie, wam wtedy z mojego kielicha
 Fatalnego płynu niedam i kropelki!
 Jak klejnot najdroższy, w miejscu niedostępnem
 Najgłębiej ja smutek mój skryję przed wami,
 I niewydam światu ni wzrokiem posepnym,
 Ni głośnem westchnieniem, ni rzewnemi łzami.

Daremny wasz udział, nikt mi niepomocze;
 W smutku, jak w bezdennej tonię ja otchłani;
 W mem sercu cierpienia rozlęże się morze
 I fala goryczy nie znajdzie przystani!

Przyjaciela niechęć trapić mą tęsknotą —
Boję się, on zacznie cieszyć mię, strofować;
I kochanka moich skrytości pieśczętą
Niewyrwie, by potem lekko z nich żartować.
A tak obce światu wszystkie me zmartwienia
Do końca żywota skryję w duszy mojej;
Tam zaś cały zakład ziemskiego cierpienia
Poniosę na wykup do świętych podwoi.

B. Do łęga.



CZUMAKI *).

P I O S N K A.

(Obraz wzięty z okolic Moskwy).

Czumak jedzie drogą,
Za nim jeden, drugi —
Wolik kopie nogą,
Sto ich ciągnie cugi.

Czukam sobie jedzie,
Wolik wóz mu wiedzie.

*) Wodziciele wołów siwych z Małorosii do odległych miast państwa.

Jedzie czumak, jedzie,
W głowie dom swój kręśli,
O popasce myśli.

W mglisty poranek
Czumak sobie gryzie
Biały obwarzanek —
A wół cicho lezie
Po gościńca glinie,
Wozek jakby płynie.

Czapkę wełnianą
Głębiej nasunął,
Fajkę glinianą
Zakurzył i plunął.

Czemuż mu czumaczka
Pieśni nie zaśpiewa?
Tęskni nieboraczka,
Męża się spodziewa.

„Dziegciowa soroczka,
Szarawary spółtina;

Przyleciała sroczka
I dziobie okrótna,"

Czumak dniem i nocą
Rusza dalej, rusza,
Wiatrek z wielką mocą
Droge mu osusza.

Czumak się nie znuża,
W wozku oczy zwięzają
Jedzie sobie, jakby płynie
Po gościńca glinie.

Machnie ręką — z wołem w zmowie,
To mu czasem coś on powie.
Biczem sieknie — po raz drugi,
Nic nie rzeknie — idą cugi.

L. P.

1842. Wrzesień.

Z IMIONNIKA L. Z.

Kiedy w uczuć moich wiośnie
Szczęśliwy ujrzałem ciebie;
Ach! w uroczém uczuć niebie
Bujałem błogo, roskosznie.

Ale płynie, prędko płynie
Teraźniejszość czarująca,
Czas marzenia nam rostrąca,
I sen szybko, szybko minie.

Gdym na przyszłość pomny mało
Wzrok w niebieskie topił oczy

19*

I sploty jasnych warkoczy:
Szczęście mi się uśmiechało.

Lecz ach płynie, prędko płynie
Teraźniejszość czarująca,
Czas marzenia nam rostrąca,
I sen szybko, szybko minie.

Nie myślałem że w młodości
Tęskny, smutny, gdzieś daleko,
Gdy jasne chwile uciekają,
Wzdychać będę do przeszłości.

Lecz niestety! prędko płynie
Teraźniejszość czarująca,
Czas marzenia nam rostrąca,
I sen szybko, szybko minie.

Przeszedł, przeszedł ów czas miły
Przeszła szczęścia chwila złota;
Tylko pamięć i tęsknota
Wianek mi z ciernia uwiły.

O! jak prędko, prędko płynie
Chwila szczęścia czarująca,

Czas marzenia nam rostrąca,
I sen szybko, szybko minie.

Lecz gdy przyszłość w barwach róży,
Przedstawia urok nadziei;
Cierniowy wianek z kolei
Szczęśliwe chwile wywróży.

Bo przemienie, bo przemienie
Smutku chwila tak dręcząca,
I tęsknotę czas rostrąca;
Wreszcie szczęście nam przyplynie.

JUSTYN BIELAWSKI.

1842 r. 2 Lutego.

Moskwa.



The following is a list of the names of the persons who have been appointed to the various positions in the office of the Secretary of the State of New York.

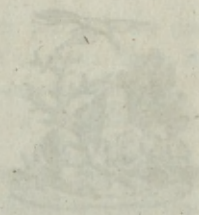
For the position of Secretary of the State of New York, the following persons have been appointed:

For the position of Secretary of the State of New York, the following persons have been appointed:

For the position of Secretary of the State of New York, the following persons have been appointed:

For the position of Secretary of the State of New York, the following persons have been appointed:

For the position of Secretary of the State of New York, the following persons have been appointed:



PRENUMERATOROWIE.

Adamowicz Leonard b. Prez. Gran. Słomim.

Archimowicz Aleksander.

Bagiński Józef.

Baranowski Jan.

Barszczewska Michalina.

Białowska Helena.

Bienkiewicz Aloizy.

Bohdaszewski Cyriak odst. Rotmistrz huzarów.

Borowski Józef Naczeln. Stołu Izb. Skarb. Kowień.

Borowski Michał Wachsztempelmejer Kowień. Tamożni.

Borucki Aleksander.

Buczyński Ambroży Doktor Medyc.

Bujalski Aleksander,

Bujnicka Austerberta.

Bychowicz Aleksander Prez. Pow. Wołkowysk.

Chlebowski Michał.

Chodakowski Julian.

Chodakowski Teodor.

Chodyński Marek.

Chreptowicz Aloizy.

Ciepliński Marcin Porucznik.
Cieszkowska Józefa Komornik. Włodz.
Cieszkowski Walery Sędzia Włodzimier.
Hrabia Czapski Edward.
Czarnowska z Zienkowiczów Stanisława.
Czmielenko Teofila.
Czyhir Felicyan.
Czyżewicz Ksawery.
Dittmar Klaryssa Półkownikowa.
Dobrowolski Włodzimierz.
Dubkiewicz Antoni
Dunin Feliks.
Dutkiewicz Michał Guber. Sekr.
Dyrwiański Stanisław ksiądz.
Dzierzkowa Regina.
Fijałkowski Józef U. G. Aug.
Frycz Aniela.
Frycz Konstancja.
Galiński ksiądz Ostian S. T. O. Lector.
Gieczewicz Józef
Gierłowicz Ignacy.
Glindicz Jan.
Głowacki Władysław.
Gnatowski Henryk.

Gnatowski Piotr.
Godlewski Franciszek Kolleg. Sekr. dozorca składu to-
warów komory celnej Kowieńskiej.
Gogolewski Leopold.
Goliszewski Józef.
Górski Seweryn.
Gościmski Franciszek.
Hrabia Grabowski Konstanty.
Gudwiłowicz Julian Student Akad. Medycz. w Petersb.
Gumowski Aleksander Koll. Sekr. i Kurator Mag. Sol. Peters-
Gurska z Orańskich Teofila.
Gurski Aloizy obywatel P. Włodz.

Hański Ignacy.
Hołuziński Hippolit.
Horwad Aleksander.
Hłasko z Łabuńskich Modesta.
Hłuzanin Fortunat St. Ak. Medycz.
Hrebnicki Stanisław.
Ilube Jan Radc. St. K. P.
Hurkowski Franciczek.
Jabłońska Aleskandryna.
Jachimowicz Antoni.
Jaczynowski Stanisław.
Jakowicki Józef.

Jankowska Michalina.
Jankowski Michał Urzęd. Minister. Skarbu.
Jankowski Edward.
Jarkowski Józef.
Jaworski Ludwik.
Jelenkowski Narcyz.
Jełowicka Antonina.
Jeżowski Józef.
Jokisz Włodzimierz.
Jundziłł Stanisław b. Prez. Ziems. Słonimsk.
Juszkiewicz Jan.
Iwanowski Konsyliarz.
Izmajłowicz Wincenty.
Iżykowski Michał.

Kamiński Franciszek.
Kaczyńska Krystyna.
Kaczyński Leonard.
Kaczyński Piotr.
Kaszewski Teodor Marszał Włodz.
Kleszczyński Józef.
Knothe Ernest.
Koch Walenty.
Komarnicki Leon.
Komarowski Józef.

Koncewicz Franciszek ksiądz.
Korczyc Jan.
Korczyc Julian.
Korsak Kazimierz.
Korsakowa Julia.
Kotkiewicz Kleofas Ksawery ksiądz Wikary Sokol.
Kowalski Sewery.
Koziełło Józef.
Kozaczewski Joanicy ksiądz S. B. Włodz.
Kozubowski Karol.
Kraśńska Maria Teofila.
Krassowski Baltazar.
Królicki Jan b. Deputat Podolsk. Cywilnej Izby.
Królicki Ignacy Kapitan b. wojsk Polsk.
Kroniewicz Paweł Stud. Akad. Medyc.
Kublicka z książąt Ogińskich Ida.
Kulpiński Izidor.
Kulwieć Szymon b. Prezes Sądu Ziem. Kowień.

Leonowicz Stanisław Ks. Pijar Profesor.
Leszczyński Fabian.
Książę Lubomirski Henryk.
Łabuński Józef.
Łukowicz Antoni.
Łukowiczówna Zofia.

Mackiewicz Rafał Naczelnik stołu Sądu Ziem. Kowień.

Malinowski Józef.

Malkiewicz Józef.

Matwiejew Katarzyna.

Markiewicz Antoni.

Markiewicz Józefat Porucz.

Metelski Walerian.

Mianowski Józef Doktor Med. i Chirurg.

Michalski Konstanty.

Michalski Seweryn Gubern. Sekr.

Milwid Ferdynand.

Miładowski Jan Brygadier.

Miniatt Aleksander.

Mnichowski Konstanty Stud. Akad. Medyc.

Mochlińska z Siedleckich Dominika.

Mohuczy Stanisław.

Mossakowski Wincenty.

Możejkowa Weronika.

Munerott Stanisław.

Nahujewski Ignacy.

Narwid Norbert.

Nieprzecki Tomasz.

Nikanowicz Józef Stud. Akad. sztuk pięknych.

Nowomiejski.

Nowowiejski Mikołaj.
Olechnowicz Antoni.
Osipowicz Jan Koll. Ass.
Ossendowski Aleksander.
Oszowski Pius odst. Kapitan wojsk Ross.
Pakosz Gaspar.
Papkiewicz Aleksander Urzęd. Minist. Skarbu.
Pawłowski Wawrzyniec obyw. Pow. Wołkowysk.
Perminon Bazyli Stud. Akad. Medycz.
Perott Karolina Chorażyna.
Perott Tadeusz Choraży.
Perott Faustyn Kapitan Kor. Inż. Kom. Wod. i Łąd.
Perott Hilary Porucznik Kor. Inż. Kom. Wod. i Łąd.
Perott Klaryssa.
Perott Wiktoria.
Piasecki Kazimierz.
Piasecki Marian.
Pietkiewicz ksiądz Dziekan.
Pietkiewicz Jerzy.
Pietraszewicz Justyn.
Piotrowska z Zaniewskich Benedykta.
Piotrowski Kajetan Ksiądz.
Plisowski Bazyli.
Hrabia Plater Konstanty.

Podbereski Piotr Kolleg⁷Ass.
Podtiagin Paweł.
Podwiński Józef.
Połoński Aleksander.
Hrabina Potocka Aleksandryna.
Popławski Józef.
Praga Józef Doktor Medyc.
Pruszyńska Emilia Marszałkowa.
Pruszyńska Olga.
Pruszyńska Tekla.
Pruszyński Antoni Marszałek Gub. Woł,
Pruszyński Dionizy U. L. O. Rich.
Pruszyński Przemysław A. U. D.
Przesmycki Jan.
Przewłocki Leon.
Przybylski Walenty Doktor Med. i Chir.

Radomski Florenty Architekt Ziemi Kozak. Dońskich.
Radziejowski Jan.
Radziejowski Kalasanty.
Radziszewski Michał.
Radziwiłłowicz Ignacy Doktor.
Ragiński Konstanty.
Rdułtowska Julia.
Rdułtowski Chryzostom.

Reutt Stanisław.
Reutt Tomasz.
Reutt Wincenty.
Rodziewicz Prosper.
Rodziewicz Tomasz Stud. Ak. Medycz,
Rosselli Karol.
Rotaryusz Franciszek.
Rouba Klemens Tytul. Sowiet.
Rozwadowski Łukasz Kolleg. Sekr.
Rudnicki Adam.
Rudnicki Edward.
Rudnicki Leopold Sędzia Owrócki.
Rudomina Hieronim.
Rudziński Ignacy.
Ruszczep Leopold obywatel P. Włodz.
Rymkiewicz Jerzy.
Ryzenko Polikarp.

Sakowicz Tekla.
Salcewicz Ignacy.
Salcewiczowa Antonina.
Książę Sanguszko Roman.
De Sardi Tomasz.
Sawicki Jan.
Serafinowicz Antoni Koll. Ass.

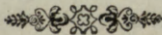
Sękowska Maria.
Siedlecki Franciszek.
Siedlecki Franciszek Salezy.
Sikorski Cyrylli.
Śladowski Józef.
Słomowski Władysław.
Smuglewicz Piotr.
Smuglewicz Szczęсны.
Sokalski Franciszek.
Hrabia Stadnicki Kazimierz Chorąży od huzarów.
Hrabia Stadnicki Władysław St. Peters. Uniw.
Staniewicz Antoni.
Staniewski Maksymilian ksiądz.
Strojnowska Karolina.
Strojnowski Ludwik.
Suryń Dominik.
Światohorsztepin Aleksander.
Świątkowska Józefa.
Świrski Wincenty.
Strzałko Jan.
Hrabina Szadurska Michalina.
Szczepiło Tekla.
Szendzikowski Aleksander Major wojsk Ross. i Kaw.
Szmatowicz Bonifacy.
Szpakowska Elżbieta.

Szteger Andrzej Urzęd. P. Skwirsk.
Tarasewicz Józef obywatel P. Włodz.
Tarasewicz Rajmónd.
This Jan.
Topolska Karolina.
Topolska Ludwika.
Trabszanka Amelia.
Tułowski Leopold Nadworny Sowiecnik.
Turcewiczówna Ludwika.
Tysiewicz Jan Adwokat' Włodz.
Wagner Julia.
Wakulczycki Jan.
Wasilewski Józef ksiądz.
Waśkowski Józef ksiądz proboszcz Włodz.
Wejdlich Tytus odst. porucz. od huzarów.
Wengerski Student Uniwersytetu.
Werderewski Bazyli.
Weryha Szymon.
Wielamowski Romuald.
Wielhorski Adryan.
Wierszyło Piotr Aluminat Akad. Rzymsko-Katolickiej.
Wilczopolski Klaudiusz.
Wilezopolski Prandota.
Witerski Józef.

Winsch Róża.
Witowski Aleksander.
Wojtkiewicz Adam książd.
Wojtkiewicz Stanisław.
Wolf Maurycy.
Wyszyński Witalis.

Zaleska Feliksa.
Zalewska Szczęsna.
Załęska Gertruda Stol. Łucka.
Zdanowicz Kazimierz Sekr. Kowieńsk. Guber. Poczt. Kont'
Ziembowicz Ignacy.
Zienkiewicz Otton.
Ziemnicki Józef.
Zwinogradzki Julian.

Żaboklicki Antoni.
Żelechowski Antoni.
Żółciński Józef Kassier.
Żubro Tomasz.
Żukowski Stefan Adwokat Włodz.
Żybon Józefina.
Żyromska Laura.



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

M.P.T. 645

1844